



ODGŁOSY

► CZTERDZIEŚCI PIERWSZY — Jerzy Wilmański ► PRAWDA I LEGENDA POLSKIEGO FUTURYZMU — Elżbieta Wróblewska ► OSKAR LANGE — Ziemowit Miedziński
► OCHRONA PRAWNA ŚRODOWISKA — POWIETRZE — doc. dr hab. E. Smoktunowicz ► DROBNE NIEPOROZUMIENIA — Lucjusz Włodkowski ► WIERŚE — Elżbieta Różańska ► GENEALOGIA PIASTÓW — Andrzej F. Grabski ► MONOKL DLA GEN. DIEZ ALEGRII — Jerzy Czech ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► RECENZJE ► FELIETONY ► POLEMIKI ► REPORTAŻE



TRZECI MECZ

To był mecz, który wejdzie do historii polskiej piłki nożnej. Do tej pory najczęściej mówiło się o meczu z 1938 roku z Brazylią, kiedy to po słabej pierwszej połowie, w której prowadziła Brazylija 2:1, Polacy odrobili straty i zremisowali z Brazylią 4:4. Dopiero w dogrywce Brazylija, w której drużynie grał legendarny Leonidas, wygrała z nami 6:5. Właśnie w tej dogrywce Leonidas zdjął buty i grał bosą.

Drugim historycznym meczem jest z całą pewnością spotkanie na Wembley. Wprawdzie przedtem zdobyliśmy złoty medal na olimpiadzie w Monachium, a potem było zwycięstwo nad drużyną angielską w Chorzowie, ale wszystko przemylił pamiętny remis, który zamknął Anglikom drogę do rozgrywek w najlepszej szesnastce drużyn piłkarskich świata.

Trzeci historyczny mecz rozegrali Polacy w Stuttgarcie. Wystarczyłyby emocje na dwa mecze — powiedział po spotkaniu Polska — Argentyna komentator telewizji ARD z Zachodnich Niemiec. A znana z precyzji sformułowań angielska Agencja Reutera stwierdziła, że „Polacy rozsadzili zespół Argentyny”. Wszyscy komentatorzy zgodnie stwierdzają, że był to najciekawszy i najbardziej dramatyczny mecz obecnych mistrzostw świata. A prawdę mówiąc nie na to nie wskazywało. Przeciwnie, wszyscy martwiliśmy się o ten mecz.

W ubiegłą sobotę wieczorem okazało się jednak, że Kazimierz Górski nie wywodził nas w pole, prezentując słabą drużynę w meczach sparingowych, że doskonale wiedzieliśmy znacznie wcześniej o wygranej z Argentyną. Ale wszyscy przecieżyli dokładnie wiemy, że to nieprawda, że właśnie tego meczu, jak i meczu z Włochami,

Dalszy ciąg na str. 5

TADEUSZ SZEWEERA

MIASTEczKO

Na wyjazd do Polańca naklonił mnie przyjaciel. Zaprzyjaźnił się jeszcze w parazytancie w 1943 roku, kiedy nasz oddział zapadł na legowisko w lasy Turskie. Stamtąd do miasteczka nie było więcej jak 10 kilometrów. Wtedy Mietek K. zajął się leczeniem naszego nadwątłego szkorbutem użębienia. Przywiozł do lasu nawet bormaszynę, kleszcze i inne dentystyczne akcesoria.

Mietek K. pochodzi z tamtych stron. Kiedyś w Polańcu mieszkali jego rodzice. Przy piaszczystej drodze przebiegającej opodal rzeki Czarnej, już na

skraju pól ornych, stoi jeszcze ich parterowy domek z gankiem, otoczony

Dalszy ciąg na str. 8

RYSZARD BINKOWSKI

PO DESZCZU PACHNIAŁO GRZYBNIĄ

W Grondach, Trębaczewie, Niwiskach i Działoszynie przestały dziewczyny ciąć równo mirt w doniczkach, patrzeć w okna ze smętnym wyczekiwaniem, okazało się bowiem, że te ziemie słabo rodzące, melanż gazu wapiennego, głębszej gliny, pływającego piasku mogą stać się bogactwem; wszyscy chcieli tej budowy, więc ruszyła równoległa z wywłaszczeniami: rozstąpił się las, plugi przeorały, przemleszały drobne formy krasowe, okoliczni, chętni do pracy, jeszcze przed świtem stawiali pod drewnianym barakiem, niektórzy z kurą pod pachą, aby tylko złapać robotę...

W roku 1964 ruszyła cementownia WARTA I, dając biednemu regionowi szansę startu do lepszego życia.

W siedem lat później, obok pluących białym pyłem kominów znów rozstąpił się las; lato było ciepłe, więc po deszczu, gdy spychacze rwaly poszycie, pachniało grzybnią...

Do lasu weszli, doświadczeni na tej pierwszej budowie, ludzie z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 2, aby stworzyć podwaliny pod budowę cementowni WARTA II. Już nie tacy pionierzy, jak majster Raczkowski, potężne chłopisko, który mógł wypić litr i nie dało się tego poznać, a w ciągu trzech dni zjadał kupione od chło-

pów cielaka; ten Raczkowski to był przedni fachman, robota szła u niego bez poślizgu, kłął też znakomicie, ale kiedy na staż przyszła młoda kobieta, pani Ania, majster zrobił się szarmancki, przestał kłąć, w rękę całował Anię i tylko czasem szeptał coś do ucha obiboka, który zaraz gnał do roboty, jakby mu kto tylek zajął. Wtedy podziął; zdziwiona była tym dziewczyna, ale wkrótce domyśliła się, co to za szepł plynie z ust majstra Raczkowskiego...

Wykruszyli się pionierzy, na budowę wtargnęła młodzież, ale też nie-

Dalszy ciąg na str. 9

FELIKS BĄBOL

CZERWONY RYNEK

— Widzi pan — mówił architekt — tutaj zmienimy dzielnicę do cna. Staną 11-kondygnacyjne wieżowce mieszkalne.

I rosną te wieżowce na CZERWONYM RYNKU, ludzie chwalać sobie nowe mieszkania, patrzą z góry na małe domki, które w okolicy wiażą dzień dzisiejszy z Łodzią międzywojenną, na te drewniak i rudery, których egzotyczna reprezentacja nie tak łatwo i szybko da się zmieścić z powierzchni ziemi, porozmawiają z tubylcami, nadszli się czasem — zwrotnym epokom w dziejach Chojen, czy choćby tego Czerwonego Rynku.

Bo i architektom i tym ludziom, którzy tu przywędrowali z innych dzielnic miasta, aby rozpocząć nowe życie w spółdzielczym bloku, nie daje się zmienić wszystkiego. Nie można na przykład przekreślić lat Rewolucji 1905—07 roku, kiedy to na bruk „Ryneczku” w czasie jakiejś demonstracji padła robotnicza

krew, co dało początek nazwie „Czerwony”. Tutaj przez całe dziesięciolecie międzywojenne spotykała się podlódzka wieś z łódzkim proletariatem. Chłopi spod Tuszyńska i Piotrkowa, Pabianiec i Łasku rozkładali na wozach to wszystko czego sami nie zjedli, co zaoszczędzili, aby sprzedać i uciulać na nową brzoję czy jałówkę, na przydziałek dla Jagny pasącej krowy. Robotnicy od Geyera, Leonhardta i Stolarowa wstawiali o czwartej rano, by przed pierwszą zmianą kupić oślekę masła lub wiejski serek o 10 lub 20 groszy taniej niż w sklepie na Rzgowskiej.

Nie ma już w związku z „wybuchem” nowoczesności w budownictwie na Czerwonym Rynku domku szewca Kerbera, który śmiało konkurował z Bajerem, nie ma ogrodów Hitlera, drewnianych sadzawek wśród bogatej zieleni klaszarni, czy po wschodniej stronie Rynku aż do No-



womiejście i Łęcznej. Mieszkańcy Chojen i okolic Rynku, którzy tu jeszcze przetrwali i raz po raz dzielą się wiedzą o tamtych latach ze swymi nowymi sąsiadami, nie mogą nadziwić się szybkości z jaką powstają nowe domy, przeobrażeniom w dzielnicy, zmieniającym to wszystko, co przecież wydawało się wieczne.

Pamiętają na przykład z tamtych, złych czasów, tylko dwie znaczniejsze budowy — jedną przy Łęcznej, drugą — przy Podmiejskiej. W latach, gdy głodowali

robotnicy sezonowi, bo magistratowi ciągle brakowało pieniędzy na takie przedłużenie „sezonu” robot w parkach miejskich, kanalizacji, na ulicach, żeby sezonowi mogli nabyć uprawienia do ustawowej zapomogi z funduszu bezrobocia, gdy ludność przedmieść robotniczych dziesiątkowała gruźlicę — w tamtych latach zbudowano na Łęcznej Kasę Chorych. Ta Kasa Chorych zapoczątkowała na Chojnach, podobnie jak „Ubezpieczalnia” na Łagiewnickiej nowy dziesięcioletni etap w życiu łódzkich robotników — mogli

wreszcie zacząć leczyć zęby. Zębów bowiem nie leczyło się nigdy, gdy już się chwiały, wyrwały się silne palce ojca czy kogoś z rodziny lub sąsiadów — suwało się je przy pomocy żurawka zaczepionego u klamki drzwi, które ktoś zleniarska zamykał, na leczenie użębienia nikogo nie było stać. Wiek Kasa Chorych umożliwiała co najmniej to.

Dalszy ciąg na str. 2

KRZYSZTOF TUROWSKI DWIE UCZELNIE

Przed drugą wojną światową Łódź mimo iż była jednym z największych miast w Polsce nie posiadała ani jednej wyższej uczelni. Jedynie wokół oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej skupiała się inteligencja miasta. Dlatego też z ogromnym zadowoleniem społeczeństwo Łodzi powitało Dekret Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 24.V.1945 r., zatwierdzony następnie przez Prezydium Krajowej Rady Narodowej, na mocy którego został utworzony w Łodzi Uniwersytet i Politechnika.

UNIWERSYTET ŁÓDZKI

Pierwszym rektorem i organizatorem uczelni był prof. dr Teodor Viverer, zmarły jednak tragicznie po kilku dniach pełnienia obowiązków. Wówczas rektorem został prof. dr Tadeusz Kotarbiński.

Praktyczna działalność Uniwersytetu rozpoczęła się jeszcze przed ukazaniem się dekretu rządowego. Już w marcu 1945 r. rozpoczęły się zajęcia na wydziałach humanistycznym, pedagogicznym, matematyczno-przyrodniczym, a nieco później prawnie-ekonomicznym, w końcu maja zaś na wydziale lekarskim. W początku lat 50-tych liczba wydziałów znacznie zmalała. Wówczas to m. in. z uniwersyteckiego wydziału lekarskiego utworzona została Akademia Medyczna.

W roku 1956 rozpoczyna się ponowny rozrost Uniwersytetu, do którego przyłączono Wyższą Szkołę Pedagogiczną, a w 1961 r. — Wyższą Szkołę Ekonomiczną. W pierwszym roku działalności Uniwersytet skupiał dwa tysiące 250 studentów pobierających naukę pod kierunkiem 69 profesorów i 21 docentów. Obecnie po 29 latach kształci się w uczelni ponad 14 tysięcy studentów na wszystkich typach studiów — stacjonarnych, zaocznych, wieczorowych i podyplomowych. Do końca ub. roku ukończyło te uczelnię 26,5 tysiąca absolwentów.

O roli Uniwersytetu i jego randze świadczą nie tylko wydane dyplomy, lecz także przeprowadzone tu badania zarówno o charakterze podstawowym jak i stosowanym.

W Łodzi powstała szkoła rozwijająca wiedzę o teorii literatury i teatru, a następnie także filmu i telewizji, kierowana do ubiegłego roku przez światowej sławy teoretyka literatury prof. dr Stefanie Skwarczyńska, obecnie zaś przez prof. dr Bolesława Lewickiego. Bezpośrednio po wojnie rozpoczęło także studia nad historią gospodarczą Polski i Europy pod kierunkiem prof. Natalii Gasiorowskiej. Obecnie Uniwersytet Łódzki stanowi także poważne centrum badań socjologicznych. Ta dyscyplina nauki początkowo rozwijana była przez prof. Ossowskiego, a następnie przez prof. dr Janusza Szczepańskiego. Dzisiejsze badania w tym zakresie koncentrują się głównie nad społecznymi uwarunkowaniami współczesnej klasy robotniczej i jej drogami rozwoju. Wiąże się z tym także prace prof. dr Antoniny Kłoskowskiej na temat socjologii kultury. Ukoronowaniem osiągnięć było powołanie jej w poczet członków Polskiej Akademii Nauk, a ostatnia książka prof. Kłoskowskiej dotycząca modelu kulturalnego Belchatowa wpisana została do Księgi Czynów i Osiągnięć Roku Nauki Polskiej. Tym zaszczytnym mianem wyróżnione zostały także prace prof. dr Władysława Welfe — „Sredniookresowy model gospodarki Polski Ludowej” oraz prof. dr Jerzego Wroblewskiego dotycząca problemów prawa państwowego.

W Uniwersytecie Łódzkim w chwili obecnej prowadzona jest szeroka dyskusja nad nowymi formami kształcenia, które trzeba będzie podjąć w związku z rozszerzeniem kształcenia na poziomie wyższym. W związku z tym kładzie się spory nacisk na wzrost młodej kadry naukowej. Jednocześnie priorytet mają tu badania, które wiążą się z problemami węzłowymi, resortowymi i branżowymi ze szczególnym uwzględnieniem badań użytkowych dla rozwoju Łodzi i regionu łódzkiego. To wszystko, a także ścisła współpraca międzynarodowa z uniwersytetami w Tbilisi, w Szwedzkiej, i w Lyonie zapewnia Uniwersytetowi Łódzkiemu właściwe miejsce w nauce polskiej i światowej.

POLITECHNIKA ŁÓDZKA

25 października 1945 r. w uroczystym gmachu Państwowej Szkoły Technicznej odbyła się uroczysta inauguracja pierwszego roku działalności Politechniki Łódzkiej. Na ten promienny rok przyjeżdżało ok. 1100 studentów na trzy wydziały — mechaniczny, elektryczny i chemiczny. Uroczystości pasowania na pierwszych łódzkich studentów dokonał pierwszy rektor Politechniki, prof. dr Bogdan Stefanowski. Obecnie łódzka uczelnia techniczna zaliczana jest do jednych z największych w kraju. Kształci się tu ponad 12 tys. studentów na 7 wydziałach i wielu kierunkach.

Szczególnie ważne znaczenie ma Wydział Włókienniczy. Powstał on z konkretnych potrzeb przemysłu lekkiego i przy dużej pomocy tego przemysłu się rozwija. Istnieje po prostu w wielu wypadkach wspólne działanie usankcjonowane umową podpisaną przez Politechnikę i Ministerstwo Przemysłu Lekkiego. W samym tylko roku ubiegłym wartość wprowadzonych w przemysł prac łódzkich naukowców włókienników wyniosła ok. 80 mln złotych. Na te liczne składają się m. in. takie osiągnięcia jak — wprowadzenie w przemysł wieloletniej metody zwiększenia wydajności zgrzeblarek do przedzwojennych i przedzwojennych włókien syntetycznych. Na Wydziale Włókienniczym konstruowano także produkowany obecnie przez Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów miernik predkości czółenka dający roczną oszczędność rzędu 6 mln złotych. Włókiennicy współpracują także z Wydziałem Mechanicznym nad ciałym udoskonalaniem maszyn w łódzkich fabrykach.

Warto także wspomnieć, że aktualnie w Instytucie Mechaniki Stosowanej prowadzone są badania związane z budową pierwszej w naszym kraju elektrowni atomowej. Z tą inwestycją wiąże się także rozwój jednego w kraju Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnych. W Instytucie tym prowadzone są również badania związane z potrzebami włókiennictwa a zmierzające do uzyskania lepszych jakościowo tkanin. Ponadto w komorze radiacyjnej Instytutu odbywają się napromieniowywania żywności a zwłaszcza ziemniaków, które nie mogą być przechowywane przez dłuższy czas. Natomiast po ich napromieniowaniu — ziemniaki czy cebula nawet po roku nie tracą swych wartości odżywczych i użytkowych. Prace te wiążą się ściśle z badaniami prowadzonymi na innym unikalnym wydziale, a mianowicie na Wydziale Chemii Spożywczej.

Unikalny charakter ma też Instytut Papiernictwa i Maszyn Papierniczych. Prowadzi się tam aktualnie badania w trzech podstawowych kierunkach. Najważniejsze jest rozszerzenie i dostosowywanie do istniejących możliwości bazy surowcowej przemysłu celulozowo-papierniczego, ponieważ szczupłość owych bazy ogranicza w znacznym stopniu rozwój tego przemysłu. Instytut ma w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Między innymi w nowo budowanym kombinacie celulozowym w Kwidzynie wprowadzona zostanie technologia szerszego niż dotychczas wykrośzania do przerobu drzew liściastych takich jak brzoza i topola. Ponadto pracuje się nad technologiami przerobu w ogóle dotychczas nie stosowanych drzew, a mianowicie dębu, grabu i olchy. Przemysł papierniczy podjął także decyzję o wprowadzeniu opracowanych przez łódzkich specjalistów technologii przerobu trocin na masę papierniczą. Da to 50 mln zł oszczędności w skali rocznej. Założenia rządowe o rozwoju przemysłu papierniczego zakładają także zwiększenie wykorzystania makulatury z 30 do 40 proc. bez pogorszenia jakości. W myśl wstępnych ośrodców naukowców z Instytutu Papiernictwa pozwoliłoby to na zaoszczędzenie w latach 80-tych 200 tys. ha lasów.

Przedstawiona prezentacja dorobku obu uczelni w okresie bez mała 30 lat jest mocno niepełna. Nie sposób po prostu w jednym artykule wyrazić to wszystko czego dokonali łódzcy uczeni dla rozwoju przemysłu w mieście i kraju, dla rozwoju oświaty i kultury. Może najlepszym podsumowaniem będzie stwierdzenie faktu, że nie ma chyba w kraju większego zakładu włókienniczego, spożywczego, papierniczego czy chemicznego, w którym nie pracowałby absolwent Politechniki Łódzkiej. Nie ma w naszym regionie szkoły czy instytucji kulturalnej, która nie zatrudniałaby wychowanków Uniwersytetu Łódzkiego.

„GŁOS ROBOTNICZY” już po raz piąty obchodzi swoje doroczne święto. Z tej okazji zorganizowano wiele atrakcyjnych imprez. Odbyła się też ogólnopolska sesja naukowa poświęcona problemom czytelnictwa prasy wśród młodzieży.

W imprezach zorganizowanych dla swoich czytelników przez „Głos Robotniczy” wystąpili artyści scen i estrady z Polski i goście z zagranicy.

W sobotnim wydaniu gazety opublikowano wypowiedzi czy-

elników na temat „Głosu Robotniczego” oraz specjalny do- datek związany ze świętem, w którym zaprezentowano „Życie Twojej gazety”.

W niedzielę Łódzki Ośrodek Telewizyjny nadał audycję poświęconą świętu łódzkiej gazety partyjnej.

Δ MISTRZOSTWA ŚWIATA w piłce nożnej powszechnie absorbują opinię publiczną świata. Imprezy związane z otwarciem mistrzostw oraz inauguracyjny mecz między drużynami Brazylii i Jugosławii obserwowało — jak oblicza się — przeszło miliard ludzi na całym świecie.

Powszechnie zainteresowanie piłką nożną, stało się nie nowym, ale zjawiskiem współczesnego świata, któremu wiele miejsca i uwagi poświęca nie tylko telewizja, ale również prasa kulturalna. Artykuły na ten temat opublikowała m. in. „Kultura” i „Literatura”.

„KALEJDOSKOP” — wyszedł już drugi czerwcowy numer, który obok informacji na temat imprez kulturalnych czerwca przynosi też rozmowę

z reżyserem teatralnym Witoldem Zatorskim, recenzję ze spektaklu „To są momenta, co się pamięta”, piosenkę Leszka Orlewicza i Jerzego Wilmańskiego „Trzydzieści goździków”, krótką rozmowę z choreografem Tomaszem Gołbiewskim, noty informacyjne o działalności artystycznej dyrygenta Henryka Czyży, scenarzysty i reżysera filmów lajkowych Tadeusza Wilkosa, grafika Leszka Różgi, malarza Bogumiła Lukaszewskiego, poety i prozaika Antoniego Kasprzowicza, choreografa amatorskich zespołów artystycznych Ireny Kik oraz o „Semaforze”.

Δ TELEWIZOR W KAWIARNI. Nie jest to oczywiście żadna innowacja. Tego typu pomysły wprowadzili już od dawna restauratorzy innych krajów. Nasza gastronomia doszła do tego wniosku w obawie przed spadkiem frekwencji w okresie trwania mistrzostw świata w piłce nożnej. I dla tego postanowiono wyposażyć w telewizory marki „Beryl” niektóre kawiarnie.

„Beryl”, „Kęs”, „Relaks” i „Rarytas”. Tak więc, jeśli ktoś będzie miał ochotę na kawę, ciastko i lampkę wina, to może wybierać się do tych kawiarni bez obawy, że straci ciekawą transmisję telewizyjną z mistrzostw świata.

Δ OD 1 LIPCA zwiększy się ilość lokali, w których obowią-

zować będzie zakaz palenia tytoniu. W liczbie tych lokali znajdują się wszystkie placówki służby zdrowia, sale konferencyjne, stołówki i bufety zakładów pracy oraz inne pomieszczenia, w których przebywają ludzie chorzy.

Na mocy porozumienia ministra zdrowia i opieki społecznej oraz sześciu innych ministrów podobne zakazy będą obowiązywać w barach szybkiej obsługi, jadłodajniach, pościągach podmiejskich, wagonach restauracyjnych, salach wykładowych i salach ćwiczeń wyższych uczelni oraz w placówkach kulturalnych.

Δ ZA 4 LATA czynny ma być nowy, ogromny dom towarowy w Łodzi. Stanie on przy ulicy Głównej i otoczony będzie parkingami na blisko 2 tys. samochodów. Dom towarowy będzie mieścił się w 4-kondygnacyjnym budynku, w podziemiach którego zlokalizuje się magazyny. Obok domu towarowego będzie tu pierwszy tego typu w kraju, czynny całą dobę uniwersalny sklep, w którym można będzie nabyć towary spożywcze, drogerijne, niektóre artykuły przemysłowe, papierozy, a także zjeść coś na ciepło i zimno.

Zakończenie robót, które zaczęły się już w przyszłym roku przewidyuje się na 1978 rok. Oby nie było poślizgów.

Δ W GDANSKU w tym roku — podobnie jak było w dwu poprzednich — czeka tu rystów atrakcyjny „JARMARK DOMINIKANSKI”. Zgodnie z tradycją z 1260 roku 4 sierpnia rozpoczynał się jarmark w Gdańsku. W tym roku wpadnie rozpocznie się on 3 sierpnia i trwać będzie do 18, ale atrakcji będzie nie mniej, a znacznie więcej niż było przed wiekami.

Δ Z HISPANII w łukach statku „Orłowo” przywieziono do Gdańska aparaturę sygnalizacyjną do regulowania ruchu ulicznego. Aparaturę tę wyprodukowała hiszpańska firma „EYSSA”. Z Gdańska przewiezie się aparaturę do Warszawy, gdzie będzie regulowała ruch w mieście.

Δ WIELKI ZALEW WODNY powstanie w przyszłej pięcioletce na Ziemi Kieleckiej. Będzie nim Zalew Chęciński, który rozleje się na powierzchni 70 km kwadratowych. Zalew powstanie w widłach Białej i Czarnej Nidy i będzie zaopatrywał w wodę Kielce.

NOTY i OPINIE

z reżyserem teatralnym Witoldem Zatorskim, recenzję ze spektaklu „To są momenta, co się pamięta”, piosenkę Leszka Orlewicza i Jerzego Wilmańskiego „Trzydzieści goździków”, krótką rozmowę z choreografem Tomaszem Gołbiewskim, noty informacyjne o działalności artystycznej dyrygenta Henryka Czyży, scenarzysty i reżysera filmów lajkowych Tadeusza Wilkosa, grafika Leszka Różgi, malarza Bogumiła Lukaszewskiego, poety i prozaika Antoniego Kasprzowicza, choreografa amatorskich zespołów artystycznych Ireny Kik oraz o „Semaforze”.

Δ PRAWDA O „MELEXACH”. „Melexy” — to wózki akumulatorowe produkowane w Mielcu, a służące do przewożenia sprzętu na polach golfowych oraz — w krytej wersji — używane w dużych fabrykach, na lotniskach, do przewożenia letników na plażę i do przejazdów po parkach. Polski wytwórca — „Pezelet” — jest jednym z trzech producentów tego typu pojazdów na świecie. „Melexy” wystawione tego roku w Poznaniu spotkały się z dużym zainteresowaniem. Obecnie Mielec produkuje do tysiąca wózków golfowych miesięcznie, a w przyszłości w miarę wzrostu zapotrzebowania i w miarę dalszego doskonalenia pojazdów będzie w stanie produkować ich około 20 tys. rocznie.

Swego czasu wiele krążyło różnych wersji na temat polskiego samochodu elektrycznego, którym miał być rzekomo „Melex”. Obecnie w korespondencji z Poznania Henryk Chądzyński pisze w „Życiu Warszawy”:

KRONIKA PLASTYCZNA

W łódzkiej Galerii Rzeźby zmieniona została ekspozycja prac rzeźbiarskich. Autorami nowego zestawu prac są:

Władysław Tumkiewicz
Zbigniew Ożerski
Ryszard Wojciechowski
Antoni Bieszcza
Antoni Bieszcza
Henryk Burzec
Stanisław Horno-Popławski
Ryszard Kozłowski
Jerzy Krawczuk
Jerzy Krawczuk

Olgię Truszyński
Władysław Trojan
Anna Debska
Anna Debska
Michał Galkiewicz
Michał Galkiewicz
Jan Marlika
Halina Wincior-Ożerska
Stefan Wierzbicki
Stanisław Horno-Popławski

— „Kompozycja pozioma”
— „Walka”
— „Oltarz istnienia”
— „Kompozycja”
— „Oświata”
— „Miotacz”
— „Poranek”
— „Lotnikom”
— „Drwa”
— z cyklu „Wojna niezapomniana”
— „Pełzające”
— „Nauzyciele”
— „Konie”
— „Żubr”
— „Kochankowie”
— „Golabki”
— „Ślimaki”
— „Ikar”
— „Los”
— „Wieczne oczekiwanie”

„RUBINOWA HORTENSJA”

Już dziesięć lat odbywa się konkurs literacki o „Rubinową Hortensję”. Zdążył już obrosnąć w tradycję i znaczenie, zdobywał to pisarskie ostrogi wielu autorów o znanych już dziś nazwiskach. „Rubinową Hortensję” zdobywali m. in. Andrzej Biskupski, Roman Gorzelski, Feliks Rajczak, Edward Zyman, Ryszard Binkowski...

A oto organizatorzy tej pięknej imprezy: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, Zarząd Wojewódzki ZML w Łodzi, Łódzki Oddział ZLP, Huta „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim, Wydział Kultury Urzę-

dów Miasta i Powiatu w Piotrkowie Trybunalskim, „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” oraz Zarząd Miejski i Powiatowy ZMS w Piotrkowie.

Dziesięć lat temu — wspominają organizatorzy w okolicznościowym folderze — z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Łodzi i redakcji „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy zorganizowano w 1965 roku w Piotrkowie Trybunalskim „Turniej Jednego Wiersza”. „Rubinowa Hortensja” narodziła się rok później, jako jego kontynuacja. Znana z rewolucyjnych tradycji i pięknych dzieł szklarskich Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim, Wydział Kultury Urzę-

dując odtąd kryształowe pu-chary dla najlepszych — najcenniejsze doroczne trofea.

Od 1967 roku organizatorzy zapraszają także do udziału w konkursie młodych prozaików. Konkurs słynący z wartościowego dorobku poetyckiego, w ostatnim zwłaszcza okresie wyróżnia się także wartościowymi utworami prozatorskimi. Miara rangi „Rubinowej Hortensji” staje się udział w niej młodych poetów i prozaików z różnych ośrodków kraju, a także obecność dorobku konkursu w dwu almanachach.

X Jubileuszowy Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję” zobowiązuje do wspomnienia Człowieka, który mimo rezerwy innych ludzi wobec konkursu w jego początkach,

w pełni i to od zarania poparł inicjatywę organizatorów swoim wybitnym autorytetem pisarskim — myślimy tu o Stanisławie Czerniku, który przez pierwsze lata konkursu, aż do nieubłaganej śmierci, był przewodniczącym sądu konkursowego.

Na tegorocznym, jubileuszowym konkursie nagrody otrzymali — w dziedzinie poezji pierwszą nagrodę — Grzegorz Kościński z Łodzi, drugą Krzysztof Lis z Poznania, trzecią — Teresa Lechowska z Piotrkowa. W dziedzinie prozy pierwszą nagrodę przyznano Zenonowi Dunajczykowi z Pabianie, drugą Andrzejowi W. Mikolajewskiemu z Łodzi, natomiast nagrodę specjalną za najlepszy utwór o życiu i pracy młodzieży otrzymał Jerzy Nawrocki z Rzeszowa.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Przed 70 laty przyszedł na świat jeden z naszych największych uczonych oraz działaczy społeczno-politycznych, Oskar Lange. Urodził się 27 lipca 1904 roku w Tomaszowie Mazowieckim.

Bardzo wcześnie zetknął się z ruchem robotniczym a z nurtem socjalistycznym związał się już jako 14-letni chłopiec. W ostatnim roku wielkiej wojny przypadła setna rocznica urodzin Karola Marksa i tomaszowski uczeń wygłosił w kole samokształceniowym referat o „Manifestie Komunistycznym”. Decydującą rolę w tym akcie wyboru odegrała z pewnością duża wrażliwość młodego Oskara na niesprawiedliwość społeczną.

W tym samym czasie poznawał i rozczłupywał się w dziełach zarówno twórców socjalizmu naukowego, jak również Ludwika Krzywickiego, Karola Kautskiego a także znakomitych przyrodników Darwina i Haeckle'a.

Jak wynika z tego przeglądu, tuż przed studiami pasjonowały go przede wszystkim dwa ogólne problemy, wyodrębnienie się gatunku ludzkiego ze świata zwierzęcego i sprawa naukowego uzasadnienia postulatów społecznych. Już w tym okresie spoglądał przez krytyczny pryzmat na literaturę społeczną, wydającą się niezbyt precyzyjną, toteż coraz bardziej interesował się zastosowaniami matematyki do ekonomii i innych nauk społecznych.

Przez 31 lat przebywał w szeregach PPS, ale w przeciwieństwie do ówczesnych przywódców partyjnych, których oficjalną doktryną był reformizm, opowiedział się od 1929 roku za poglądami rewolucyjnego marksizmu a w stosunku do komunistów akcentował zdecydowanie stanowisko jednolite. Z tych względów ponosił konsekwencje organizacyjne w postaci dwukrotnego zawieszenia w prawach członkowskich PPS.

Przełom lat dwudziestych i trzydziestych był okresem konfrontacji wiedzy absolwenta ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego z nabrzmiałymi problemami społecznymi ówczesnego świata. W dodatku wspomniane czasy zapisały się czarnymi zgłoskami strasznego kryzysu gospodarczego, jaki poraził cały ówczesny świat kapitalistyczny, znajdując rezonans w ostrych walkach klasowych. Głęboki kryzys zainicjował „bezwzględnie wszystkie sprzeczności niesprawiedliwego systemu a zwłaszcza jego nieracjonalność a nawet absurdalność społecznej praktyki kapitalizmu.

Był to zarazem okres przenikania się najostrejszych sporów ogniskujących się wokół kwestii wyboru drogi do nowego ustroju oraz ściśle korespondujących z nim metod działania. Walki tego typu podzieliły również ruch robotniczy na dwa zasadnicze odcinki a zatem rewolucyjny i reformistyczny.

W swoich refleksjach teoretycznych Oskar Lange stał niezmiennie na płaszczyźnie nauki marksistowskiej. Jedynym torem wiodącym do rekonstrukcji życia społecznego mógł być, w jego polu widzenia, kierunek rewolucyjny. Z tego powodu wyróżniał się rzadką postawą w polskim nur-

cie socjalistycznym wyrażoną w nieklamnym entuzjazmie do jednego w dziełach eksperymentu jakim była budowa socjalizmu na przykładzie Związku Radzieckiego. Zwracał uwagę na doniosłość doświadczeń Kraju Rad i szukał wspólnych dróg działania z rewolucyjnym, komunistycznym szczeblem ruchu robotniczego w imię wspólnej aktywności całej klasy robotniczej.

Oskar Lange należał do najczyn-

niejszych członków lewicowej frakcji PPS na terenie Krakowa, szczególnie w pierwszej połowie lat trzydziestych. Większe zebrania tej organizacji odbywały się w mieszkaniu Wandy Wasilewskiej, natomiast spotkania kierownictwa u Oskara Langego. Ten ostatni należał również do uczestników cotygodniowego klubu dyskusyjnego, organizowanego przez członków PPS przy współudziale Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OM TUR). Jednakże głównym terenem działalności politycznej Oskara Langego w okresie międzywojennym był Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS) bardziej radykalny, aniżeli sama PPS, szczególnie w krzewieniu postulatów społecznych a tym samym pozwalający na większą swobodę manewru w działaniu.

W latach trzydziestych ZNMS organizował wakacyjne obozy szkoleniowe, skupiając reprezentantów różnych środowisk a Oskar Lange pełnił funkcję stałego prelegenta, wygłaszając największą ilość zajęć seminaryjnych nie tylko na tematy ekonomiczne. Jeśli ZNMS przeszedł do historii jako jeden z najsilniejszych ośrodków programowych lewicy socjalistycznej w Europie, to źródło tego sukcesu należy z pewnością szukać w wydatnej pomocy ze strony Oskara Langego.

Wniósł także wiele wkładu w przeróżne dziedziny nauki, ale najbardziej w rozległą wiedzę o zjawiskach ekonomicznych. Można traktować o jego roli działacza politycznego czy charakterizować jako pedagoga i wychowawcę, ale dopiero wszystkie wymienione elementy składają się na tę nieprzeciętną i interesującą osobowość. Jego działalność wynikała z głębokiej wiedzy a wpływ wychowawczy jaki wywierał był częścią jego aktywności, implikując system zwartych i ukształtowanych przekonań.

Rozgłos światowy osiągnął w la-

tach 1936/37 publikując rozprawę w języku angielskim pt. „On the Economic Studies”. Ta praca wprowadziła go na stałe do literatury historycznej ekonomii jako jednego z twórców teorii gospodarki socjalistycznej. Model Oskara Langego, zwany „rozwiązaniem konkurencyjnym” urzeczywistnił dowód istnienia rachunku ekonomicznego w socjalizmie. W ten sposób powstał pełnowartościowy model gospodarki socjalistycznej.

Szczególnie znamienita okazała się myśl, że wszelki demokratyczny program budowy gospodarki socjalistycznej musi wypływać z trzech zasadniczych przesłanek. W ich obręb wchodzi: pełne zatrudnienie, sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego oraz ubezpieczenie przed koncentracją potęgi gospodarczej zarówno

dwóch zasadniczych faz. Pierwszą można rozumieć jako „walkę o teorię”. Akceptując naukę marksizmu jako teoretyczne narzędzie społecznego poznania, pozwalające na najdoskonalszą analizę zjawisk ekonomicznych i społecznych, pozostawiało jeszcze nielatywne zadanie odizolowania wszelkiego typu obcych naleciałości. U podłoża tego rodzaju nastawienia tkwiła potrzeba wyeliminowania z marksistowskiej teorii elementów sprzecznych z jej zasadą rewolucyjną wyrażającą się w kształtach socjaldemokracji, rewizjonizmu, reformizmu czy politycznego oportunistu.

Drugą fazę wypełnił całkowicie problem relacji przebiegającej pomiędzy ekonomiczną teorią a praktyką odzwierciedlającą tę płaszczyznę. Ekonomia socjalizmu a więc ustro-

twórczego wkładu teoretycznego, konstruowanego za pośrednictwem rzetelnej analizy procesów ogólnospołecznych.

W związku z podobną orientacją postawił w centrum uwagi zagadnienie pogłębiania naszej wiedzy o procesach społecznych, a w szczególności uściślenie uogólnień teoretycznych, aby osadzić je na gruntowej analizie materiału empirycznego. Głównym terenem rozważań Oskara Langego była zatem ekonomia rozumiana w ślad za propozycją marksistowską jako dyscyplina kształtująca przesłanki ludzkich działań. W tym wypadku rola polskiego uczonego w skali nie tylko krajowej, była ogromna. Tendencja do uściślenia twierdzeń ekonomicznych, aby uwolnić je od balastu subiektywności i przypadkowości polegała na uzbrojeniu dyscyplin traktujących o procesach gospodarczych w oręż matematyczny, kładąc przy tym podwaliny pod nowe działy naukowe. W taki sposób wyodrębniła się ekonometria a szerokie zastosowanie znalazła cybernetyka.

Oskar Lange akcentował niezmiennie, że teoretyczne możliwości podobnych przedsięwzięć stworzył dopiero marksizm, ponieważ „burżuazyjna ekonomia jak i inne burżuazyjne nauki społeczne nie dawały możliwości rozumienia podstawowych praw rządzących rozwojem społecznym”. Tymczasem doktryna marksistowska proponowała uogólnione prawa rozwoju społecznego, toteż dojrzał czas do coraz śmielszego konkretyzowania praw szczegółowych.

Stąd też traktując socjalizm jako ustrój o wyższym stopniu racjonalności w porównaniu z kapitalistyczną formacją ekonomiczno-społeczną nigdy nie stawiał na tym kropki. Uważał, iż socjalizm posiada szczególne warunki dla realizacji jeszcze wyższego stopnia racjonalności ekonomicznej a wraz z tym procesem może wznieść się na doskonały stopień humanizacji stosunków między ludźmi. Te warunki należy bezwzględnie wykorzystać nie zapominając jednocześnie, iż nie mogą stać się przedmiotem jednorazowego aktu. Teza ta była konsekwencją nauk Karola Marksa dowodząc, że społeczeństwo socjalistyczne nie jest stanem skostniałym i niezmiennym, ale procesem wleczącym swe oblicze.

Sprawa kształtowania socjalizmu skupiała uwagę Langego zwłaszcza w okresie powojennym, bowiem służył jej nie tylko jako uczonego ale i działacza społeczno-politycznego. Jak wiadomo szlakiem równoległym do jego twórczości naukowej toczyła się aktywność na niwie państwowej. Najważniejszą areną jego działalności społecznej stały się Sejm i Rada Państwa. W Sejmie pełnił funkcje: przewodniczącego komisji spraw zagranicznych, następnie planu, budżetu i finansów. W roku 1955 został członkiem a w dwa lata później wiceprzewodniczącym Rady Państwa i tę funkcję pełnił aż do śmierci. Jednocześnie pozostawał w obrębie KC PZPR od przełomowego momentu zjednoczeniowego w roku 1948.

W skali międzynarodowej należał do najczynniejszych działaczy ruchu pokoju oraz rzeczników współpracy gospodarczej krajów o różnych ustrojach społecznych. Znal również dobrze tajniki świata socjalistycznego i kapitalistycznego oraz „geografię głodu” krajów Trzeciego Świata.

Śmierć zaskoczyła go w najświetniejszym okresie twórczości intelektualnej, gdy „opus magnum” całego życia naukowego, zamierzona na trzy tomy „Ekonomia polityczna” sfinalizowana była dopiero w połowie.

Oskar Lange pozostał w dziełach naszego narodu jako symbol gorliwego ześrodkowania wszystkich sił sprawie kształtowania humanistycznego oblicza socjalizmu.

OSKAR LANGE

w rękach kapitału prywatnego, jak i biurokracji państwowej. Zwykle ujmuje się rozwój teoretyczny i praktyczny Langego na tle

ju ciągle kształtującego się i reallizującego dopiero w historycznej perspektywie swoje dziecięce i młodzieżowe fazy, wymagała niezwykle



Fot. Archiwum

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

JAKIM BYŁ NAPOLEON III?

Ostatni numer kwartalnika francuskiego „Revue d'histoire moderne et contemporaine” (styczeń – marzec 1974) w całości poświęcony jest historiografii drugiego cesarstwa francuskiego.

Najpierw więc mamy artykuł wstępny, dający rys ogólny rozwoju badań nad tym okresem dziejów Francji. Badania te zaczęły się jeszcze w okresie cesarstwa. Zaczęli je dwaj poceliteraci i publicyści przebywający na emigracji po zamachu stanu. V. Hugo i także emigrant, były minister spraw zagranicznych republiki A. Lamartine. W kraju pisał bardzo krytycznie o cesarstwie republikański F. Lamennais. Istniała oczywiście nadzwrotna literatura cesarstwa, apoteozująca je zresztą kosztem przeciwstawienia dziejom wojennym pierwszego cesarstwa. Po upadku drugiego cesarstwa opublikowano wiele dokumentów i wiele pamiętników, te ostatnie są nadal jeszcze publikowane. Pamiętnikarze przeważnie ustosunkowywali się bardzo krytycznie do dziejów drugiego cesarstwa, pamiętniki przychylne znajdują się w wyraźnej mniejszości. Pamięt-

nikarze wytykali Napoleonowi III, że jego rządy opierały się o chłoptwo, choć popierał rozwój przemysłu i miast, mało korzystali na tym robotnicy i biedota, a przede wszystkim zamożna burżuazja. Cesarstwo było krytykowane przez republikanów, a także przez monarchistów różnych od-cieni.

Pierwszą obiektywną syntezę dziejów cesarstwa dał Ch. Seignobos dopiero w roku 1934. Zdecydowanym obrońcą drugiego cesarstwa był F. Girardeau w 1874 r. Inny autor, hrabia de Chaudordy rehabilitował cechy charakteru samego cesarza Napoleona III. Obrony polityki wewnętrznej cesarstwa podjął się premier E. Olivier. Na ogół przychylna dla cesarstwa jest dwutomowa „Jego historia” pióra P. de la Gorce, który krytykuje politykę zagraniczną Napoleona III oddaje sprawiedliwość jego polityce wewnętrznej, zwłaszcza ekonomicznej.

Osiągnięcia gospodarcze rządów Napoleona III uwytkła historyk angielski, lord Clarendon, który zestawiając rozwój gospodarczy Anglii i Francji

podkreśla osiągnięcia gospodarczej polityki Napoleona III.

Tu autorzy artykułu czynią uwagę ogólną: „Kłeska 1940 zmniejszyła doniosłość i wagę katastrofy pod Sedanem”. Po 1940 ukazało się znowu więcej prac oceniających pozytywnie drugie cesarstwo. Odnaleziono nadspodziewanie pozytywną ocenę Napoleona III, dokonana przez wielkiego rewolucjonistę, A. Blanqui. Historycy podkreślają, że aktywność autora „Zniesienia biedoty” (to znana broszura Ludwika Napoleona wydana przed dojściem do władzy) w zakresie pomocy dla biednych zasługuje na uznanie, tak jeśli chodzi o biedotę wiejską, jak i miejską. Dziś podkreśla się, że plebscyści nie były fikcją, cesarstwo było rzeczywiście oparte o głosowanie nowoczesne, co w ówczesnej Europie było czymś postępowym. Podobnie historycy sądzą dziś, że cenzura cesarska nie była tak ostra i wówczas pojawili się dziennikarze z prawdziwego zdarzenia. Docenia się teraz zalety sprężystości administracji prefekty, docenia postępy w zakresie szkolnictwa, historycy gotowi są zgodzić, że Napoleon III był ostatnim władcą „oświeconym”.

Na ogół we Francji historia pisana przez specjalistów jest dla Napoleona III bardziej sprawiedliwa, uwzględniając szerszą sprawę ekonomiczną niż historia pisana przez re-

publikanów. Ostatnio można stwierdzić pewne tendencje, nie tyle do rehabilitacji cesarza, co do reinterpretacji jego polityki. Pojawiają się nawet próby uzasadniania celowości wyprawy meksykańskiej, która miała tak złą opinię dotychczas. Historycy zaczynają pisać o „realizmie polityki zagranicznej Napoleona III”.

Po tym ogólnym wstępie mamy w „Revue d'histoire moderne et contemporaine” szereg kwestii szczegółowych. Tak więc osobny artykuł omawia sposób prezentowania w literaturze kwestii oporu przeciw zamachowi stanu 1852. Polemiki zaczęły się już w dobie Napoleona III. Konserwatywni historycy w III Republice przeciwstawiali się ocenom republikanów. Historycy socjaliści reprezentowali jeszcze inne ujęcia. Dla historyków burżuazyjnych było ambarasujące, że przeciwnicy zamachu wysuwali hasło czerwonego sztabdaru. Renard w historii socjalistycznej Francji niewiele odchodził od tej umiarkowanej Seignobos. Dopiero ostatnio A. Soboul pokazał klasowe oblicze przeciwników zamachu stanu.

Drugim zagadnieniem jest ocena sylwetki ministra ks. Morny. Autor artykułu wskazuje jak rozbieżne są oceny tego intryganta, działacza, światowca, a przecież według opinii historyków osobistości ważnej w całym panowaniu Napoleona III. Uważano ks. Morny za prekursora aliansu z

Rosją. Według Blancharda – Morny najlepiej realizował hasło laidu i bezpieczeństwa. Według opinii Danette Napoleon III niezbyt ufał Morny'emu, który ośmielał się często bronić własnego zdania.

Autor artykułu podnosi zasługi tego męża stanu położone dla rozwoju mecenatu kulturalnego. Morny wyłansował Sarę Bernhardt, on dał zezwolenie na wystawienie „Damy kamellowej”, on uratował przed konfiskatą gazetę „Le Figaro”. Morny odegrał znaczną rolę w procesie liberalizacji drugiego cesarstwa.

W omawianym miesięczniku sporo miejsca poświęcono historykom angielskim, zajmującym się dziejami II cesarstwa. Dość późno wykazali oni zainteresowanie tym okresem dziejów Francji. Pierwsze prace naukowe, no okresie publicystyki, pojawiły się około roku 1908, ale na dobre zainteresowanie wzrosło po roku 1958. Jednym z pierwszych historyków angielskich, który pisał o polityce Napoleona III, był lord Acton.

Kilka artykułów poświęcono opinii historyków niemieckich na temat Francji roku 1870. Są też opinie historyków francuskich o algierskiej polityce Napoleona III i o wyprawie meksykańskiej. W tej sprawie oddano też głos historykom meksykańskim.

JÓZEF DUTKIEWICZ

POWIETRZE

Wiemy, że jest to najistotniejszy element środowiska przyrodniczego, bez powietrza bowiem człowiek żyć nie może. Odnosi się to także i do innych organizmów żywych. Rzadko jednak uświadamiamy sobie w pełni, jak wielkie znaczenie dla naszego życia ma właściwy skład powietrza i jak zębny wpływ wywiera jego zanieczyszczenie toksycznymi gazami i pyłami. Wraz z powietrzem łatwo dostają się one do naszego organizmu, zakłócają normalne procesy biologiczne, wywołują przeróżne schorzenia i nierzadko niszczą organizm.

Np. najnowsze badania przeprowadzone w Związku Radzieckim wykazały rakotwórcze działanie benzopirenu, gazu wydzielanego przez silniki spalinowe. Na skutek szybkiego rozwoju motoryzacji zagrożenie to będzie wzrastało. Zresztą w spalalinach samochodowych znajdują się także inne bardzo szkodliwe substancje, a przede wszystkim związki ołowiu i tlenek węgla. Dotychczas jednak głównym źródłem zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego w Polsce jest przemysł. Emituje on do atmosfery ogromne ilości pyłów i gazów toksycznych, takich jak dwutlenek siarki, tlenki azotu, tlenek węgla, siarkowodor, dwusiarczek węgla, fenol, i szereg innych. Oddziałują one szkodliwie nie tylko na organizm ludzki, ale także na zwierzęta i świat roślinny oraz na glebę a nawet na przedmioty martwe, przyspieszając ich niszczenie. Oczywiście, nie każde zanieczyszczenie powietrza działa jednakowo. Powodowane przez nie szkody zależą od rodzaju zanieczyszczenia, stopnia jego stężenia w powietrzu i czasu jego utrzymywania się, a także od odporności organizmu lub innego przedmiotu znajdującego się w zasięgu jego oddziaływania.

Uwzględniając te właściwości, prawo¹⁾ ale wprowadza ochronę powietrza atmosferycznego przed wszelkim jego zanieczyszczeniem. Byłoby to zresztą nierealne. Organizuje natomiast jego ochronę przed zanieczyszczeniem szkodliwym dla człowieka, roślin lub zwierząt albo powodującym inne straty dla gospodarki narodowej. Czy można ściśle ustalić, kiedy zanieczyszczenie jest szkodliwe? Na to pytanie prawo daje następującą odpowiedź: jest to zanieczyszczenie przekraczające normy dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym. W 1966 r. Rada Ministrów ustaliła takie normy dla 9 substancji, w 1972 r. zaś dla dalszych 8 substancji²⁾.

Obecnie obowiązują więc normy dopuszczalnych stężeń dla 17 substancji: dwutlenku siarki, kwasu siarkowego, tlenków azotu, siarkowodoru, arsenu, benzoenu, chloru, chlorowodoru, fenolu, fluoru i jego związków rozpuszczalnych w wodzie, formaldehydu, ołowiu i jego związków w postaci aerozolu, pyłu nie toksycznego o wielkości ziarna poniżej 20 mikronów i pyłu opadającego, tlenku węgla, benzyny oraz dwusiarczku węgla. Normy tlenku węgla i benzyny zostały ustalone tylko dla obszarów specjalnie chronionych, zaś dwusiarczku węgla odwrotnie, tylko dla obszarów chronionych.

STRUKTURA I WIELKOŚĆ NORM

Normy składają się z dwóch wielkości: pierwsza określa średnie stężenie w ciągu doby, druga – jednorazowe stężenie w ciągu 20 minut. To jednorazowe stężenie jest przeciętnie 3 razy wyższe od stężenia średniego. Taka struktura norm uwzględnia pulsowanie zanieczyszczeń, ale przeciwdziała się jednocześnie zbyt wysokim ich poziomom, nawet za cenę poważnej redukcji zanieczyszczeń w innych okresach doby i zachowania średniej dobowej. Jedynie norma pyłu opadającego na obszarach chronionych operuje tylko jedną wielkością – średniego opadu na km² w ciągu roku; wynosi on 250 ton.

Warto tu może porównać przynajmniej te ostatnie normy z faktycznym opadem pyłu w Łodzi. Otóż szacuje się, że na obszere miasta wynosi on 60 t/km², w śródmieściu zaś sięga 750 t/km² w ciągu roku.

Stężenia te, poza pyłem opadającym, określone są w miligramach w m³ powietrza atmosferycznego. Ich wielkość zależy przede wszystkim od toksyczności substancji. I tak, najniższą normę na obszarach chronionych ustalono dla ołowiu i jego związków w postaci aerozolu: 0,001, następne miejsce zajmuje arsen 0,003, najwyższą zaś normę na tych obszarach posiada dwutlenek siarki 0,55, następnie benzen 0,3 mg/m³. Norma dla dwutlenku siarki na niektórych terenach Łodzi, przede wszystkim w pobliżu elektrociepłowni, a zima także w śródmieściu, jest poważnie przekraczana. Przyczynia się do tego niewątpliwie spalanie węgla w paleniskach domowych i kotłowniach.

Poza tym wielkość norm została zróżnicowana ze względu na rodzaj obszaru objętego ochroną. Mianowicie kraj został podzielony na dwie nierówne części: a) obszary specjalnie chronione i b) obszary chronione. W skład pierwszych wchodzi uzdrowiska, parki narodowe i rezerwat. Pozostały teren kraju to obszary chronione. Normy dla obszarów specjalnie chronionych są przeciętnie 3 razy mniejsze niż dla obszarów chronionych i na tym polega właśnie różnica w zakresie ochrony powietrza

atmosferycznego na tych obszarach.

Miasto Łódź oraz województwo łódzkie należą do obszarów chronionych, gdyż nie ma tu ani uzdrowiska ani parku narodowego. Znajduje się natomiast ponad 30 rezerwatów przyrody o łącznej powierzchni nieznacznie przekraczającej 1000 ha. Jest to znikoma część obszaru województwa, nie mająca większego znaczenia praktycznego dla problemu ochrony powietrza atmosferycznego na tym terenie.

Normy dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym oznaczają granice dopuszczalnego poziomu zanieczyszczenia tego powietrza. Dopiero przekroczenie tej granicy oznacza spowodowanie szkodliwego zanieczyszczenia powietrza i możliwość uruchamiania przewidzianych dla ochrony powietrza środków prawnych. Brak normy dla jakiejś substancji jest równoznaczny z brakiem ograniczeń prawnych zanieczyszczenia tą substancją powietrza atmosferycznego.

JEDEN CZY DWA CELE OCHRONY POWIETRZA

Już w pierwszym artykule ustawa stanowi, że ochrona powietrza atmosferycznego ma na celu zapobieganie przekraczaniu dopuszczalnych stężeń substancji w tym powietrzu i stopniowe ich zmniejszanie. W sformułowaniu tym można widzieć dwa cele tej ochrony: pierwszy cel zasadniczy, to przeciwdziałanie przekraczaniu granicy dopuszczalnego zanieczyszczenia, drugi, dalej idący cel, to obniżanie tej granicy i zmniejszanie wprowadzanych do atmosfery zanieczyszczeń nawet na obszarach, gdzie granica ta nie jest przekroczona.

Jest wprawdzie możliwe inne rozumienie tego przepisu, mianowicie, że chodzi tu tylko o ten pierwszy cel, nakazane zaś dążenie do zmniejszenia zanieczyszczeń odnosi się do obszarów, na których występuje przekroczenie przekraczające dopuszczalne stężenie substancji. U podstaw takiego rozumienia celu ochrony powietrza musiałoby jednak znaleźć się przekonanie, że zanieczyszczenie dopuszczalne jest zanieczyszczeniem pożądanym. Tymczasem nie jest to zanieczyszczenie obojętne dla organizmów żywych. Wystarczy przypomnieć, że dopuszczalne stężenia substancji na obszarach chronionych są przeciętnie 3 razy wyższe niż na obszarach specjalnie chronionych, ażeby zrozumieć, iż na ustalenie granicy dopuszczalnego zanieczyszczenia ma wpływ nie tylko jego szkodliwość, ale i realne możliwości nieprzekraczania tej granicy. Poza tym nie dla wszystkich substancji toksycznych normy zostały ustalone. Np. na obszarach chronionych brak jest normy dla tlenku węgla. Przeciwdziałanie więc zanieczyszczeniu powietrza tym gazem nie mieści się w pierwszym celu. Stałoby się, że ze względu na zdrowie ludności byłoby pożądanym zmniejszanie zanieczyszczeń nawet poniżej poziomu dopuszczalnego tam gdzie jest to możliwe stosunkowo niewielkim wysiłkiem społecznym. Ten drugi cel ochrony powietrza wyznacza Radzie Ministrów zadanie weryfikowania norm dopuszczalnych stężeń substancji, a wszystkim zainteresowanym, organom administracji państwowej zadanie prowadzenia działalności nakierowanej na obniżanie zanieczyszczeń powietrza atmosferycznego, mimo osiągnięcia granicy zanieczyszczenia dopuszczalnego. Krótko mówiąc, jeżeli na miasto opada pyłu 250 ton/km² rocznie, to wprawdzie mieści się to w granicach zanieczyszczenia dopuszczalnego, jednakże nie powinno powodować zaprzestania działalności na rzecz dalszego zmniejszenia tego opadu.

ŚRODKI PRAWNE OCHRONY POWIETRZA

Istnieje szereg takich środków. Na pierwszym miejscu należy umieścić obowiązek organów przygotowujących projekty planów zagospodarowania przestrzennego oraz decyzji lokalizacyjnych zakładów, których działalność może spowodować przekroczenie dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym, uzgodnienia tych aktów z organem ochrony powietrza. Ma to zapobiec niekorzystnym z punktu widzenia ochrony czystości powietrza zamierzeniom odnoszącym się przede wszystkim do działalności inwestycyjnej. Sądzę, że powinno się objąć tym obowiązkiem także lokalizację budynków mieszkalnych w celu zapobieżenia przekraczaniu pod to budownictwo terenów zagrożonych poważnym zanieczyszczeniem powietrza, np. położonych blisko źródeł zanieczyszczenia.

W praktyce nie jest trudno znaleźć przykłady niedoceniania przez organy podejmujące decyzje lokalizacyjne niebezpieczeństwa płynącego z nadmiernej zanieczyszczenia powietrza. Można

1973 r. zaś przeznaczono na ten cel 1,5 mld. zł. W ciągu więc 3 lat nakłady na ochronę powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem wzrosły przeszło trzykrotnie. Wciąż jednak nie zaspokaja to ogromnych potrzeb w tej dziedzinie.

STREFY OCHRONNE

W pobliżu zakładów emitujących szkodliwe substancje, zwłaszcza w dużych ilościach, z reguły nie jest możliwe zapobieżenie przekraczaniu dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym, mimo stosowania nawet sprawnie działających urządzeń filtracyjnych. Toteż prawo wprowadza obowiązek tworzenia wokół takich zakładów stref ochronnych. Strefa ochronna jest obszar o określonej decyzją administracyjną szerokości, w granicach od 50 do 1000 m, a w uzasadnionych wypadkach nawet szerszy, otaczający zakład lub kompleks zakładów wydzielających substancje zanieczyszczające powietrze. Na obszarze tym nie mogą być lokalizowane domy mieszkalne, internaty, szpitale, żłobki, przedszkola i inne obiekty przeznaczone do stałego przebywania w nich ludzi, jeżeli nie są związane bezpośrednio z produkcją lub usługami zakładu. Natomiast gdy chodzi o istniejące już w obrębie stref ochronnych tego rodzaju obiekty, mogą one pozostać tam tylko na czas określony.

Właściciele gruntów położonych w strefie ochronnej mogą być zobowiązani do określonego ich zagospodarowania na koszt zakładu lub terenowego organu administracji państwowej. Z reguły będzie to zadrzewienie lub zakrzewienie tych gruntów odpowiednimi gatunkami roślin. Jeżeli właściciel gruntu na skutek tych zobowiązań poniesie stratę, ma prawo do odszkodowania.

Strefa ochronna stanowi więc teren niebezpieczny dla ludzi, gdyż może tu występować nadmierne stężenie toksycznych substancji w powietrzu. Pełni ona rolę filtra w stosunku do terenów ją otaczających. Jest to więc bardzo istotny środek prawny w ochronie ludności przed szkodliwym zanieczyszczeniem powietrza atmosferycznego. Niestety, nie jest on dotychczas w pełni wykorzystywany. Dla większości starych zakładów strefy takie nie zostały jeszcze ustanowione. Ponadto tylko niewielka część spośród wyznaczonych stref została należycie zagospodarowana.

Istnieje pilna potrzeba przyspieszenia tempa ustanawiania stref ochronnych i ich zagospodarowywania. Trzeba przy

nie wystąpił przekroczenie dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym w stopniu zagrażającym zdrowiu ludności. W takiej sytuacji Rada Ministrów może rozporządzeniem zakazać na wyznaczonym terenie stosowania przez zakłady określonych procesów technologicznych, paliw lub surowców oraz zakazać stosowania określonych paliw przez pojazdy mechaniczne. Podobne zakazy, tylko na czas określony i z powodu przyczyn o charakterze przejściowym, może wprowadzać także wojewoda.

Trzecią drugiego środka jest kompetencja wojewody do opracowania i przedłożenia Radzie Ministrów do zatwierdzenia kompleksowego planu poprawy stanu powietrza na określonym obszarze, np. poprzez dekontaminację szczególnie uciążliwych zakładów.

Trzeci środek obejmuje prawo organów ochrony powietrza, a w sytuacjach niecierpiących zwłoki także organów Państwowej Inspekcji Sanitarnej, do unieruchamiania zakładów, w których mimo wezwania nie usunięto przyczyn powodujących groźbę dla zdrowia ludności zanieczyszczenie powietrza.

SANKCJE

Za niewykonanie określonych w ustawie obowiązków mogą być stosowane sankcje dwojakiego rodzaju: kary pieniężne oraz kary administracyjne. Kary pieniężne przewidziane są za przekraczanie dopuszczalnych stężeń substancji i nakładane być mogą na zakłady. Dotychczas jednak przepisy wykonawcze do ustawy uregulowały tylko nakładanie tych kar za przekroczenie dopuszczalnych stężeń substancji pyłów. Toteż wydalenie nawet największych ilości substancji gazowych, jak to np. czynią zakłady „Wiston” w Tomaszowie Maz., powodując wielokrotne przekroczenie normy dwusiarczku węgla, na razie nie grozi karami pieniężnymi.

Karami administracyjnymi są grzywny w wysokości od 5.000 zł, które mogą być nakładane na pracowników zakładów za niewykonanie określonych w ustawie obowiązków. Kary te stosowane są niesłychanie rzadko. Np. w 1972 r. wymierzono ich w całym kraju zaledwie 14.

Ponadto zakład ponosi na ogólnych zasadach odpowiedzialność cywilną za wszystkie szkody spowodowane wydaleniem do atmosfery toksycznych substancji i pyłów, nawet jeżeli ich rodzaj i ilość mieści się w ramach dopuszczalnych przez organ ochrony powietrza. W praktyce najczęściej dochodzone są odszkodowania za szkody w u-



Foto: W. Parys

to też odnieść do niektórych lokalizacji budynków mieszkalnych w Łodzi, np. w pobliżu zakładów „Zenit” przy ul. Armii Czerwonej oraz ZPP „Feniks” przy ul. Nowotki.

Bardzo bliskim powyższego środka jest obowiązek jednostki opracowującej projekt wstępny budowy lub przebudowy zakładu, którego działalność może spowodować przekroczenie dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym, uzgodnienia z właściwym organem ochrony powietrza rodzaju i ilości substancji dopuszczalnych do wydalenia przez ten zakład. Dla istniejących w dniu wejścia w życie ustawy zakładów tego typu wojewódzki organ ochrony powietrza ustala rodzaje i ilości substancji dopuszczalnych do wydalenia. Jest to pierwszy krok prowadzący w kierunku ograniczenia rozmiarów emisji szkodliwych substancji do atmosfery, warunkujący możliwości stosowania innych środków, o których niżej. Niestety, w działalności ochrony powietrza można zauważyć poważne zaniedbania w posługiwaniu się tym środkiem.

Najskuteczniej, jak dotychczas, chroni powietrze atmosferyczne przed zanieczyszczeniem elektrofiltry oraz inne podobne im urządzenia. Obowiązek instalowania i eksploatacji takich urządzeń ciąży na wszystkich zakładach, których działalność powoduje lub może spowodować przekroczenie dopuszczalnych stężeń substancji w powietrzu atmosferycznym. W stosunku do zakładów wznoszonych lub modernizowanych obowiązek ten powinien być skonkretyzowany w trakcie zatwierdzania dokumentacji projektowo-kosztorysowej. Na stare zaś zakłady obowiązek ten może nałożyć organ ochrony powietrza decyzją administracyjną. Jednakże termin budowy takich urządzeń ma być uzgodniony z zainteresowanym zakładem. Ponieważ same decyzje nie są w stanie sytuacji zmienić, należy dodać, że w celu zaspokojenia ogromnego zapotrzebowania na tego rodzaju urządzenia utworzono w ostatnich latach 10 przedsiębiorstw zajmujących się ich produkcją oraz Zjednoczenie Przemysłu Urządzeń Wentylacyjnych i Klimatyzacyjnych i Odpływających. Wielką wymowę ma też fakt, że po grudniu 1970 r. wyraźnie wzrosły nakłady na budowę urządzeń służących ochronie powietrza atmosferycznego. I tak w 1970 r. wydatkowano na ten cel 150 mln zł, w 1971 r. ponad 600 mln zł, w 1972 r. ok. 1 mld. zł, w

tym brać pod uwagę nie tylko aktualne rozmiary emisji zanieczyszczeń, ale także możliwość ich zwiększenia się w przyszłości na skutek wzrostu zdolności produkcyjnych zakładu, po zabudowaniu bowiem terenu przyległego do strefy ochronnej możliwości jej poszerzenia będzie już bardzo utrudniona. Należałoby też tworzyć strefy ochronne wokół ruchliwych arterii komunikacyjnych, gdyż ruch samochodowy staje się coraz poważniejszym źródłem zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego. Strefy ochronne powinny też być oznaczone w terenie, podobnie jak wszystkie inne miejsca niebezpieczne dla ludzi.

POMIARY ZANIECZYSZCZEŃ

Funkcjonowanie prawnego systemu ochrony powietrza atmosferycznego w poważnym stopniu zależy od uzyskiwania przez organy ochrony tego powietrza dokładnych danych o rodzaju i rozmiarach jego zanieczyszczenia. Prawo przeciwdziała się bowiem zdecydowanie tylko zanieczyszczeniu przekraczającemu dopuszczalne normy. Wymaga to zorganizowania takiej sieci pomiarowej, która dostarczałaby na bieżąco informację o aktualnym zanieczyszczeniu powietrza na każdym km kw. terenów zagrożonych tym zanieczyszczeniem oraz o jego źródłach. Punkty sieci pomiarowej powinny być połączone z komputerem, który nie tylko by rejestrował przekazywane mu informacje, ale i sygnalizował konieczność podejmowania odpowiednich do stopnia zanieczyszczenia powietrza środków. Takiej sieci pomiarowej jeszcze nie mamy. Obecne oceny zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego opierają się przeważnie na szacunkach, uwzględniających przede wszystkim ilość spalanych surowców energetycznych oraz rozmiary emitowanych pyłów i gazów w innych procesach.

Większe zakłady przemysłowe mają obowiązek dokonywania pomiarów wydzielanych do atmosfery substancji, stan powietrza zaś na obszarach chronionych bada Państwowa Inspekcja Sanitarna.

ŚRODKI NADZWYCZAJNE

Są ich trzy rodzaje i wszystkie dotyczą sytuacji, kiedy na określonym tere-

niach rolnych i pogłowiu zwierząt gospodarskich. Np. Huta Szkła w Walbrzychu w latach 1971-1972 oraz w pierwszym półroczu 1973 r. wypłaciła 16 mln zł tytułem odszkodowań za tego rodzaju szkody.

INNE ŚRODKI

Nie sposób w tak wąskich ramach scharakteryzować wszystkie środki i rozwiązania prawne służące ochronie powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem. Mogłem przedstawić tylko najważniejsze. Spośród pozostałych następujące środki zasługują przynajmniej na wymienienie. A więc tworzenie w większych zakładach komórek organizacyjnych dla przeciwdziałania zanieczyszczeniu powietrza i zatrudnianie w tych komórkach pracowników posiadających odpowiednie przygotowanie zawodowe, rozbudzanie świadomości załóg przedsiębiorstw zanieczyszczających powietrze co do skutków tego zanieczyszczenia i konieczności przeciwdziałania mu, kształcenie kadr dla ochrony powietrza, organizowanie konkursów w zakresie ochrony powietrza, jak to np. od 1970 r. czyni Ministerstwo Górnicwa i Energetyki. Szczególnie w miastach poważnym źródłem zanieczyszczenia powietrza jest zanieczyszczenie, tzn. unoszenie pyłów osiadłych przez wiatr i środki transportu. Przeciwdziałanie temu wymaga pokrywania roślinnością wszystkich terenów nadających się do tego oraz częstego zmywania ulic i placów.

Polskie prawo o ochronie powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem ocenione jest za granicą bardzo wysoko. Niewątpliwie jest to dobre prawo, ma ono jednak sporo słabości i wymaga dalszego doskonalenia. Przede wszystkim chodzi jednak o jego wprowadzenie w życie, sporo bowiem jest sygnałów świadczących o niepełnym stosowaniu szeregu jego przepisów.

- 1) Ustawa z dnia 21.IV.1966 r. (Dz. U. nr 14, poz. 87).
- 2) Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 13.IX.1966 r. (Dz. U. nr 42, poz. 253 i z 1972 r. nr 19, poz. 139).

Szło lato roku 1941. Dziś jest to już głęboka historia i moja pamięć rejestruje tylko zdlawiony, przerażony krzyk Otto Augusta, który nie bacząc na obecność bawigących się na podwórzu dzieci, wołał: „Co oni zrobili, po co oni zaczęli z Rosją, to się okropnie skończy...”

Stary Otto August był polskim Niemcem i choć co niedziela paradował w piaskowym mundurze SA, na co dzień mówił po polsku. A już zawsze wołał po polsku, gdy był pijany. Tego dnia, w czerwcu 1941 roku, spłił się z rozpacz i przerażenia. Wspominał z sympatią tego piekarza z Aleksandrowa, który mądrzej potrafił przewidzieć niż Adolf Hitler.

Tego dnia z Pawłaka odszedł kolejny transport do Oświęcimia, w tych dniach polska lewica powoływała do życia Związek Walki Wyzwoleńczej, a wiadomość o wybuchu wojny radziecko-niemieckiej wywarła na wszystkich ogromne wrażenie... Nikt myślnie nie wątpił, że zbrojna konfrontacja z Krajem Rad zakończy się klęską hitlerowskich Niemiec.

Dwudziestego trzeciego czerwca 1941 w godzinach popołudniowych nastąpił pierwszy nalot samolotów radzieckich na obiekty niemieckie w Warszawie. Niestety — jeszcze czterdziestą siódemą miesiąca trwać okrutna wojna, która pochłonęła ponad 50 milionów poległych i zamordowanych.

Tego dnia — 22 czerwca — dla narodów Związku Radzieckiego otwierał się trudny i krwawy rozdział — owych 47 miesięcy, w czasie których zginęło i zostało zamordowanych dwadzieścia milionów obywateli radzieckich.

Ale w obozie jenieckim w Sandbostel, wśród polskich oficerów wiadomość o napaści Hitlera na Związek Radziecki wywołała radość.

Wspomina por. Aleksander Salacki:

„Ludzie z radości rzucali się sobie w ramiona, jakby to już był koniec wojny. Rotmistrz Łabędzki biegał rozpromieniony jak Zagłoba i mówił:



Fot. Archiwum

— Teraz już całkiem jasne, że ten tchacz, skurczybyk Hitler podzielił los Napoleona. Możemy już się nie martwić o naszą przyszłość. Szkolę dostanę takie łanie, że się nie pozbierają, zobaczcie... Niech tylko wezmą ich we dwa ognie, to się powtórzy rok 1812...”

Ale zanim się to sprawdziło, wiele jeszcze wody upłynęło w Wiśle i zginęło wiele milionów ofiar. I setki kilometrów od odlag w Sandbostel inni oficerowie — radziecy — wcale nie widzieli powodów do radości. Oni zupełnie jasno widzieli, że krwawa konieczność prowadzenia wojny. To był ich żołnierski obowiązek...

Taki właśnie tytuł „Żołnierski obowiązek” nosi pamiętnik marszałka Konstantego Rokossowskiego. Wspomina on tamten dzień:

„(...) 21 czerwca prowadziliśmy omówienie dowódczo-sztabowe ćwiczenia nocnego w ramach korpusu. Po zakończeniu proponowałem dowódcę dywizji, aby nazajutrz, w dzień wolny od pracy, wybrali się ze mną o świcie na ryby. Jednak wieczorem komus z naszego sztabu przekazano wiadomość z Wojsk Ochrony Pogranicza, że na strażnicę przybył geferiter z armii niemieckiej, Polak z Poznania, i oświadczył, że 22 czerwca Niemcy dokonają napaści na Związek Radziecki.

Wyjazd na ryby trzeba było odłożyć. Zatelefonowałem do dowódców dywizji i podzieliłem się z nimi otrzymaną wiadomością. Omówiliśmy ją również u nas, w sztabie korpusu. Poślanowiliśmy być w pełnej gotowości.

„(...) 22 czerwca około godziny czwartej nad ranem oficer dyżurny doręczył mi telefonogram nadesłany ze sztabu 5 armii: otworzyć ściśle tajną kopertę operacyjną.

Mieliśmy prawo otworzyć ją tylko na polecenie przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRR lub ludowego komisarza obrony. A tymczasem telefonogram był podpisany przez zastępcę

szefa oddziału operacyjnego sztabu armii. Poleciliśmy dyżurnemu uzyskać potwierdzenie wiarygodności depeszy w armii i w Ludowym Komisariacie Obrony, wezwaliśmy szefa sztabu, mojego zastępcę do spraw politycznych i szefa wydziału specjalnego.

— Jakże jest wasze zdanie, towarzysze, jak mamy postąpić w tym wypadku? Wszyscy mieli wątpliwości, podejrzewaliśmy jakąś prowokację.

Oficer dyżurny zameldował, że łączność została przerwana. Nie odpowiada ani Moskwa, ani Kijów, ani Luck.

Trzeba było wziąć na siebie odpowiedzialność i otworzyć kopertę.

Znajdując się w niej dyrektywa brzmiała: natychmiast doprowadzić korpus do stanu gotowości bojowej i maszerować w kierunku Równa, Luck, Kowel. O godzinie czwartej rozkazem ogłosziliśmy alarm bojowy, a dowódcą dy-

przykład wytrzymałości i ofiarności radzieckiego żołnierza. Ale ludzie zupełnie opadli z sił. Widziałem ich pod koniec tego marszu. Piechota, prócz osobistego oporządzenia, musiała nieść na plecach ręczne i ciężkie karabiny maszynowe, dyski i taśmy do nich, pięćdziesięcio- i osiemdziesięciomilimetrowe moździerze oraz amunicję. I jeszcze w taki upał...

„(...) Nadeszła chwila spotkania. Niemcy nacierali liczną grupą w kształcie rombu. Na czele motocykliści, za nimi samochody pancerne i czołgi.

Widzieliśmy z punktu obserwacyjnego, jak na naszą 20 dywizję pancerną szły imponujące siły nieprzyjaciela. I zobaczyliśmy, co się z nimi stało. Artylerzyści otworzyli ogień, kiedy Niemcy podeszli już blisko. Na szosie pozostała potworna mieszanina — motocykle, wra-

Polak, przeżył to oczywiście jeszcze silnie...

— Nie martw się — uspokajał mnie — jeszcze zobaczysz ziemię swoich przodków.

— Oczywiście, jestem głęboko przekonany, że Armia Czerwona pomoże narodowi polskiemu wypędzić najeźdźcę.

— Nie — poprawił mnie — będziesz jeszcze służył w polskim wojsku.

— Możliwe — odpowiedziałem.

Domyśliłem się, co miał na myśli, nie przypuszczałem jednak, że jego słowa tak szybko się sprawdzą.

30 lipca 1941 roku został podpisany w Londynie przez Władysława Sikorskiego, premiera emigracyjnego rządu polskiego, i Iwana Majskiego, ambasadora ZSRR w Londynie, układ polsko-radziecki. Mówił on o wspólnej walce przeciwko faszystowskiemu niemieckiemu i o formowaniu polskich jednostek z żoł-



Fot. Archiwum

Natychmiast otworzyli ogień. Kontratak zalał nas.

Surowe lekcje pierwszych walk. Hitlerowcy rzucili na nasz kraj dobrze przygotowaną armię, wyposażoną w doskonały sprzęt bojowy, mającą nie-malże doświadczenie w walkach. Przed rozpoczęciem wojny ze Związkiem Radzieckim pod butem faszystowskich Niemiec znajdowała się prawie cała Europa, a więc i zasoby ekonomiczne wielu krajów. Znacznie później dowiedzieliśmy się o zielonej teście hitlerowskiego sztabu generalnego, w której przechowywano plan „Barbarossa”, z pedantyczną dokładnością opracowany przebieg „blitzkriegu”, plan, który był obmyślany przez hitlerowców „długie lata.

Choć nasz kontratak pod Skulianami nie osiągnął celu, to jednak wróg został zatrzymany na pewien czas. W odwecie nieprzyjacieli uderzył na Bielec. Miasto codziennie bombardowano. Faszystowscy lotnicy niszczyli dzielnicę po dzielnicy. Zapamiętałem pewnego Moldawianina, sprzedawcę wody sodowej. Najpierw jego wózek stał u wylotu głównej ulicy, bliżej frontu. Kiedy bomby zburzyły tam wszystkie domy, sprzedawca przeciągnął wózek do śródmieścia. Następnego dnia stał już na rogu, w miejscu, gdzie zaczynała się szosa kiszyniowska. Wkrótce bomby dosięgły właściciela wózka w peryferyjnej dzielnicy.

Rozgorzała walka o most na rzece Prut niedaleko Falcu. Bronili się tu oddziały korpusu kawalerskiego generała P. Bielowa. Na naszych oczach nieprzyjacielska piechota runęła o świcie na most. Na spotkanie jej ruszył cwałem dywizjon konno-artyleryjski. Zaprzęgi rozwinięły się szerokoimi łukami i wykreśliły działą.

— Odpowiedzcie! — wydał komendę kapitan.

Artylerzyści wystrzelili na wprost kartaczami. Hitlerowcy zatrzymali się. Jeszcze jedna salwa, następna... Faszysty wycofali się, pozostawiając na drzewianym moście zabitych.

— Zapalajemy! — skomenderował kapitan.

Most zapalił się. Hitlerowcy rozpoczęli forsowanie Prutu na pontonach. Artylerzyści zmusili ich do wycofania się.

Nieprzypadkowo podaję tu przykłady owych lokalnych, małych zwycięstw gdzieś pod Luckiem czy nad Prutem. To przecież z nich — z tych lokalnie wygranych bitew — które dla tego tragicznego czerwca nie miały większego znaczenia, wyrosło po 1418 dniach to wielkie zwycięstwo. Krwawe i bohaterskie frontowe drogi doprowadziły aż pod Bramę Brandenburską, doprowadziły do zwycięstwa w tej najstraszniejszej z wojen.

Pozostała po niej nasza pamięć, nasz hołd dla tych, którzy w 20 milionach mogił rozrzanych po Rosji i Europie złożyli swoje kości.

JERZY WILMAŃSKI

CZTERDZIESTY PIERWSZY

wizji — Nowikowowi, Kalininowi i Czerniajewowi — przybyć na mój punkt obserwacyjny.

Zanim oddziały znalazły się w rejonach alarmowych, dowódcy dywizji otrzymali wstępne dane o marszrutach i godzinie wymarszu. Sztab korpusu opracowywał rozkaz.

Wszystkie przygotowania odbywały się w szybkim tempie, ale spokojnie i planowo. Każdy znał własne miejsce i dokładnie wykonywał swoje obowiązki.

Trudności mieliśmy tylko z zaopatrzeniem materialnym. Znikoma liczba samochodów. Brak materiałów pędnych. Ograniczona ilość amunicji. Czekać, aż wskażą z góry, gdzie i co można otrzy-

ki samochodów pancernych, trupy. Siła bezwładności nacierających wojsk dostarczała naszym działom wciąż nowych celów.

Nieprzyjacieli poniosł tu wielkie straty i został odrzucony.

Tak było na polu bitwy. Ale w miastach, wśród cywilów, w nagłym zagrożeniu, w niepewności jutra?

„Radio nadaje marsze i piosenki — wspomina Jerzy Putrament. — Jeszcze rozpad czasów pokojowych. Słucham tego z podwójnym uczuciem. Tak czekałem na tę wojnę, pisałem wierszyki „rozrachunkowe” z Hitlerem, a jednak teraz przesłuchuję mnie bardzo skromna, choć uprzejma nadzieja: a już to jakieś nieporozumienie (...). Odpędzam i potępiam te nastroje — z trudem.

„(...) Na ulicach coraz więcej samochodów: z rzeczami. Pod wieczór ide, na miasto. Ciekawski, jakieś kanapy, łobuz, walizy, baby. Koło Sapienki spotyka mnie Kuryluk, uśmiecha się odruchowo na widok znajomego i zaraz pośpiejnie: — Są już pierwsze ofiary.

— Kto?

— Tudor i Hawryluk. Niemożliwe! Nie mogę oprzytomnieć! Te dwa nazwiska! Najlepsi ludzie. Jeszcze przed godziną, przed paru godzinami... Byli niedaleko Klubu, szli środkiem ulicy. Nalot. Samolot szedł wysoko, ale nad nimi (...) Bomba spadła natychmiast. Z grupy nikt nie ocalał. Poza Tudorem, Hawrylukiem i Pasiemskim, wszyscy z żonami, zginęli także polska pisarka dla dzieci, Zofia Charszewska, doskonały człowiek i towarzyszy (...). Ta ślepa bomba — gdyby była kierowana — nie mogłaby uderzyć bolesniej naszego małego środowiska!”

Wróćmy jednakże na frontowe drogi. Inny wybitny dowódca, gen. Stanisław Popławski wspomina:

„W Lubniach zastał mnie zdradziecki napad hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki.

W trzecim dniu wojny dywizja wyruszyła na front.

Frontowe drogi! Hej po nich przemarszerowało ludzi, ile przejechało pojazdów podczas wojny! Asfaltowe szosy i drogi ukryte w leśnym gąszczu, tonące w mokrej glinie nawet w najgorętsze lato, pełne wyrw i zawałone gruzami. Jakich to dróg nie spotykał żołnierz w niezliczonych wyprawach i marszach! Najbardziej jednak zapamiętałem frontowe drogi pierwszych miesięcy wojny, po których ciągnęli nie kończącym się sznurzem uchodźcy ze swoim skąpym dobytkiem, z płaczącymi dziećmi na rękach, z niemowlętami.

Na zawsze utkwił mi w pamięci straszny widok spalonych miast, wsi, ruiny domów, poczerwiałe kominy, sterczące nad zwalami gruzów, zdziczały kot obok cudem ocalałej stodoły, głośnie i obdarłe dzieci błąkające się bez celu...

Obrona Witebska. Odwrót na rubież Jarcewa. Ciężkie, krwawe boje pod Jarcewem, gdzie dowodziłem jednym z pułków 162 dywizji. Pierwsze uzupełnienie otrzymaliśmy na północny wschód od tej miejscowości.

W chwilach wytchnienia rzucaliśmy się na gazety, chcieliśmy słuchać komunikatów radiowych. Pamiętam, jak we frontowej gazecie „Krasnoarmijskaja Prawda” znalazłem artykuł o bestialstwach hitlerowców w Polsce.

Przymione światłotło w wilgotnej, obitej deskami ziemiance. Siedzieliśmy z dowódcą sąsiedniego pułku, pułkownikiem Kastewiczem, na krzesłach przyniesionych z pobliskiego, rozwalonego domu. Pułkownik przerzuca gazetę i czyta artykuł o Polsce, o obozach koncentracyjnych, o pociągach wiozących polskie dziewczęta do Niemiec na przymusowe roboty, o faszystowskich bestialstwach w warszawskim getcie, gdzie hitlerowcy zamykali ludność żydowska stolicy.

— Tych bestialstw i cierpień narodu polskiego nie byłoby, gdyby rząd kapitalistycznej Polski nie odrzucił w 1939 roku pomocnej dłoni bratniego narodu radzieckiego — powiedział na zakończenie pułkownik Kastewicz.

Milczałem, przeżywając to, co usłyszałem przed chwilą.

— Cichość ci? — ze współczuciem zapytał pułkownik.

— Cichość — przyznałem. — A czy każdy obywatel radziecki nie przeżywa tragedii narodu polskiego? Ja, jako



Fot. Archiwum

Miasto jest duże, z wieloma fabrykami. Stąd do Łodzi można jechać pociągami, tramwajami lub autobusem PKS. I wiele osób jeździ do Łodzi po zakupy, do teatru, kina a najczęściej do pracy. Z Łodzi też tu przyjeżdżają do pracy. Wzajemna wymiana. Przyjeżdżają specjaliści, którzy nie znaleźli dla siebie pracy w wielkim mieście, w wielkim ośrodku przemysłowym, poszukali jej w mniejszym, a znalazłszy, przyzwyczaili się, wrosli w środowisko, niekiedy awansowali i dziś nie opłaca się im już powrót do Łodzi, gdzie żyją i mieszkają.

Do pracy w podłódzkim mieście od 22 lat jeździ również Jan Kowalski. Nie jest to jego ani prawdziwe imię, ani prawdziwe nazwisko. Kowalskich w Polsce jest najwięcej. Dlatego czasem zamiast „przeciętny Polak” — mówimy Kowalski. Niech więc nasz bohater nazywa się JAN KOWALSKI.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DROBNE NIEPOROZUMIENIA

Fabryka, w której przed 22 laty rozpoczął pracę Jan Kowalski jest niewielka, produkcję ma nieskomplikowaną. Jan Kowalski ukończył w Łodzi technikum mechaniczne, otrzymał nakaz pracy i został w Fabryce technologiem. Przez 2 lata pracował w planowaniu, a następnie w dziale głównego technologa. W dziale tym pracuje do dziś, a ściślej do 30 czerwca 1974 roku. Pod koniec marca 1974 otrzymał bowiem pismo następującej treści:

„Wypowiadam Obywatelowi (ce) umowę o pracę od dnia 31.03.1974 r. w części dotyczącej warunków pracy i płacy. Po upływie okresu wypowiedzenia, tj. od dnia 1.02.1974 r. zmieniam tę umowę w sposób następujący: powierzam obowiązki samodzielnego technologa w Dziale PR — 3 z uposażeniem zasadniczym 2 800. — (..) plus premii regulaminowej. (...)”

Jeżeli w okresie wypowiedzenia Obywatel (ka) nie wyrazi zgody na powyższą zmianę umowy pismo niniejsze należy uważać za rozwiązanie stosunku pracy z dniem 30.06.1974 r.”.

Pismo, a właściwie druczek typowy, podpisał Dyrektor Ekonomiczny Fabryki. Jan Kowalski pismo to uznał za jawną niesprawiedliwość. Dlaczego?

PORTRET BOHATERA

Jan Kowalski nie odznacza się niczym nadzwyczajnym. Do Fabryki przyszedł w sierpniu 1952 roku. Zarabiał wtedy 700 zł. Po dwu latach pracy w planowaniu, przeszedł do działu głównego technologa. Najpierw był technologiem, a obecnie — starszym technologiem. Przez ten czas wielu jego kolegów i rówieśników awansowało, zmieniali pracę. On nie. Codziennie dojeżdżał do pracy z Łodzi. Robił swoje.

W 1953 roku chciał iść na studia. W lipcu 1953 roku do Fabryki przyszło pismo z Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej:

„... Jan Kowalski nie został dopuszczony do egzaminów wstępnych na I rok studiów z powodu braku wymaganej praktyki 18-miesięcznej. W/w nie mógł być również dopuszczony do egzaminu warunkowo co często Komisja rekrutacyjna stosowała w stosunku do innych kandydatów ze względu na to, że praktyka dotyczyła Ob. Kowalskiego. Jaka w charakterze planisty nie odpowiada kierownikowi zamierzonych studiów.

Brano również pod uwagę wystawioną przez dział personalny charakterystykę, której odis znajdował się w dziale personalnym Waszych zakładów oraz brak oryginalnego świadectwa dojrzałości”.

Nie widziałem tamtej opinii. Widziałem inną, a właściwie dwie inne. Jedną z września 1969 roku i drugą — z marca 1972 roku.

Pierwsza zwana „charakterystyką” poza danymi personalnymi zawiera dwa następujące sformułowania:

„Ocena pracy zawodowej. Systematyczny, pracowity, zadania opracowuje po wszechstronnej analizie, ale bardzo długo. Bardzo trudny do współpracy”.

„Ocena pracy społeczno-politycznej. Bierny. Nie bierze w ogóle udziału w życiu społecznym”.

Druga:

„Powierzone mu prace lub polecenia służbowe wykonuje starannie i skrupulatnie, cechuje go duże poczucie obowiązku, pracowitość i odpowiedzialność. Wy-

kazuje dużą inicjatywę i samodzielność przy rozwiązywaniu powierzonych mu spraw.

Koleżeńsko i życzliwy, lojalny w stosunku do przełożonych. Dyscyplinę pracy przestrzega w ramach obowiązku. Jest czynnym racjonalizatorem — jego pomysły daly zakładowi duże oszczędności. Jest honorowym dawcą krwi od 1952 roku. Posiada brązową, srebrną i złotą odznakę Honorowego Krwiodawcy”.

Prawdziwy Jan Kowalski — zwykły, przeciętny. Ale nie taki znowu idealny, bo kilkakrotnie „karany” w zakładzie za dni opuszczone bez usprawiedliwienia, za samowolne „wypożyczenie” pieczątki z działu głównego technologa i kierowanie dokumentacji bezpośrednio do wydziałów produkcyjnych, za niewykonywanie poleceń służbowych, nakazujących mu wnoszenie poprawek do opracowywanej dokumentacji. A poza tym istotnie — jak to stwierdza sama Fabryka — racjonalizator.

Studiów nie ukończył. Niewiele w życiu osiągnął. Skąd do niego konflikt? Dlaczego przeniesienie będące awansem finansowym, stwarzającym możliwość samodzielnej pracy bezpośrednio w produkcji, uznał za krzywdzące i niesprawiedliwe?

Jan Kowalski w piśmie do Plenum Rady Zakładowej napisał między innymi:

„Z dniem ostatniego marca br. otrzymałem 3-miesięczne wypowiedzenie pracy. Formalnie wygląda to bardzo niewinnie. Jedynie na przeniesienie służbowe a nawet na awans, ale zastrzeżone jest, że w przypadku niepodjęcia proponowanej pracy nastąpi najnormalniejsze rozwiązanie umowy o pracę. Takie załatwienie sprawy przez dyrekcję jest niewątpliwie pod względem formalnym zgodne z prawem, dla mnie natomiast jest podsumowaniem wszystkich dotychczasowych krzywd moralnych”.

Pismo to nosi datę 18 kwietnia 1974 roku.

SZUKANIE ŹRÓDEŁ

Nigdzie nie jest powiedziane, że człowiek niezmiennie musi pracować na tym samym stanowisku. Chwalimy ludzi, którzy wiążą się z jednym zakładem pracy. Fluktuacja kadr nie jest zjawiskiem społecznym i gospodarczo pożądanym. Z drugiej strony trudno bronić człowiekowi prawa do poprawy warunków życia, do zmiany pracy, jeśli ma to mu przynieść oczekiwaną poprawę. Zjawiskiem jednak najbardziej pożądanym jest awans w ramach jednego zakładu pracy, bo wiąże to człowieka z tym zakładem, daje mu możliwość zaspokojenia swoich ambicji zawodowych, pozwala „awansować” w sensie finansowym.

Jan Kowalski po 22 latach pracy w Fabryce otrzymał pierwszy awans, który uznał za swoją krzywdę. Dlaczego?

Dyrektor Fabryki: — Pracuje u nas 22 lata. Co przez ten czas osiągnął? Nic. Inni pokończyli studia, awansowali, są kierownikami działów, dyrektorami nawet. A on niezmiennie siedzi w tym samym dziale, na tym samym stanowisku. To też jakoś charakteryzuje człowieka.

Jan Kowalski w piśmie do Plenum Rady Zakładowej:

„Jakośkolwiek nie należę poza ZZ Metalowców do innych organizacji społecznych

to o mojej postawie zawodowej i społecznej świadczy: a) czołowe racjonalizatorstwo — ponad 3 miliony zł efektów z projektów stosowanych, b) 22-letnia zgodna współpraca z liczną załogą, c) czołowe — w skali województwa — honorowe krwiodawstwo (18 litrów krwi)”.

Przewodniczący Rady Zakładowej Fabryki: — To prawda i za te zasługi należy się mu uznanie, ale dla uzdrowienia stosunków w dziale głównego technologa należy przenieść Jana Kowalskiego do produkcji. Krzywdy nie będzie miał. I to jest zgodne z przepisami.

25 maja 1972 roku Sąd Powiatowy dla miasta Łodzi rozpatrywał sprawę Jana Kowalskiego oskarżonego o pobicie trzech mężczyzn i uznał go winnym zarzucanego czynu, skazując na podstawie art. 67 KK na łączną karę roku i 6 miesięcy ograniczenia wolności i z art. 34 § 2 KK zasądził „potrącenie 15 proc. z wynagrodzenia za pracę w uspołecznionym zakładzie w stosunku miesięcznym na rzecz Skarbu Państwa”.

Dwóch pracowników Fabryki podjęło się pełnić rolę kuratorów Jana Kowalskiego. 3 sierpnia 1972 roku Fabryka otrzymała pismo, w którym Sąd Powiatowy dla miasta Łodzi zawiadamia o wydanym przez siebie wyroku oraz informuje, że:

„... — ciąży na nim (Janie Kowalskim) obowiązek sumiennej i wydajnej pracy, przestrzegania dyscypliny pracy oraz porządku prawnego, b) nie może bez zgody sądu rozwiązać stosunku pracy c) nie może uzyskać wyższego wynagrodzenia ani przeniesienia na wyższe stanowisko oraz sprawować funkcji w organizacjach społecznych...”.

5 marca 1974 roku Sąd Powiatowy dla miasta Łodzi Wydział XIII Karny zawiadamia, że Jan Kowalski... w dniu 1 lutego 1974 roku skończył odbywanie kary ograniczenia wolności polegającej na potrącaniu z wynagrodzenia za pracę przez okres 1 roku i 6 miesięcy po 15 proc. miesięcznie”.

23 listopada 1972 roku Ministerstwo Przemysłu Maszynowego Departament Techniki pisze do Jana Kowalskiego:

„W związku z nadesłaną skargą z dnia 7.XI.1972 r. do Obywatela Ministra na sposób załatwienia odwołania Obywatela dotyczącego niezuznania projektu (tu wpisano numery obu projektów — przyp. L. W.) jako projektów racjonalizatorskich, Departament Techniki stwierdza, że po ponownym przeanalizowaniu odwołania rozstrzeżenia Obywatela nie można być pozytywnie załatwioną ponieważ oba w/w projekty nie spełniają wymogów art. 83 i 84 Ustawy Prawo Wynalazcze z dnia 31 maja 1962 r. (...).

Dla wyjaśnienia podajemy, że podstawowym warunkiem uznania rozwiązania technicznego za projekt racjonalizatorski jest jego nowość na terenie Zakładu”.

7 lutego 1973 roku Jan Kowalski pisze „Skargę” do KC PZPR:

„Przedkładam skargę do Was po bezskutecznym wyczerpaniu wszystkich możliwości służbowych, począwszy od Zakładu a skończywszy na Ministerstwie Przemysłu Maszynowego w okresie od połowy 1970 roku. Skarga dotyczy nie realizacji i nie uznawania projektu racjonalizatorskiego (...). Realizacja mojego wniosku przynosiłaby gospodarce narodowej oszczędności rzędu 1,2 miliona zł rocznie (...).

Czynnik, od którego zależy realizacja moich wniosków są innego zdania i nie tylko nie chcą oszczędzać, ale również chyba zazdroścą mi tego, że jestem czołowym racjonalizatorem zakładu i chcą pozbawić mnie nadto autorstwa projektu”.

Dyrektor Fabryki: — Projekty analizował zespół fachowców, legitymujący się wysokimi kwalifikacjami zawodowymi i dużym stażem pracy. Autor nie chce uznać racji tego zespołu. Uznaje tylko własne. Uważa, że się nie myli.

Na skutek interwencji KC PZPR Ministerstwo Przemysłu Maszynowego kieruje oba wnioski Jana Kowalskiego do Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Podstaw Technologii i Konstrukcji Maszyn w Warszawie. Ośrodek zawiadamia, że projekty zostaną ponownie zbadane, a o wynikach prób autor projektów będzie powiadomiony. Jeśli wyniki będą pozytywne, to projekty „będą mogły być przyjęte do stosowania a Obywatel może otrzymać wynagrodzenie z funduszu nagród wg uznania Kierownictwa Zakładu, w którym... będą zastoso-



Foto: W. Parys

KONFLIKT

Prawie dokładnie w rok później, bo 22 kwietnia 1974 roku Jan Kowalski ponownie pisze do KC PZPR:

„W czerwcu ub. roku mój przełożony Gł. Technolog doszedł nagle do wniosku, że nie potrafię z nim współpracować (pracowaliśmy razem od 1953 r.) i bez istotnych powodów wystawił mi bardzo krzywdzące opinie na piśmie, oddając mnie do dyspozycji Dż. Kadr.

Z przeprowadzonych następnie rozmów z Dyrektorem w obecności Gł. Technologa, Gł. Księgowego, Dyr. Technicznego i innych, wynioskowałem, że zamierzony cel pozbycia się mnie z zakładu jest wspólnym dla Gł. Technologa i dla Dyr. Nacz. Podczas rozmów bowiem przede wszystkim nawiązywano do kwestii mego odwołania do KC, czyniąc przy tym wyrzuty i przesłanek przed konsekwencjami następnym odwołaniem do jakiegokolwiek władz zwierzchnich.

Pozwalam sobie zacytować słowa Dyrektora skierowane do mnie:

„... i co przyszło panu z szukania sprawiedliwości? Co pomógł panu Komitet Centralny? Władza na naszym terenie jest naszymi my — Dyrekcją i na naszych decyzjach należy poprzestawać, a nie rozrabiać...”

Poza tym przekonywano mnie na wszystkie sposoby o konieczności dobrowolnego ustąpienia z działu, obiecując w zamian zatarcie wszelkich śladów nieporozumienia”.

Dyrektor Fabryki: — Nie chcę pozbawiać się go z zakładu. Rozumiem, że każdy musi pracować, bo wszyscy żyjemy z pracy naszych rąk. Decyzji nie podejmowaliśmy pochopnie. Jest niewątpliwie człowiekiem trudnym. Skoro w dziale głównego technologa powstał konflikt, to trzeba go jakoś rozwiązać. Nie może to ujemnie rzutować na pracę działu. Jeśli zainteresowanemu nie odpowiada praca w PR-3, to proponowałem mu nawet, że postaram się o załatwienie mu pracy w Łodzi. Nie będzie musiał dojeżdżać. Ale on uparł się, że musi zostać w dziale głównego technologa.

Sekretarz Komitetu Zakładowego Fabryki: — Trzeba przyznać, że jest to człowiek trudny do współżycia. Nie chce podjąć żadnej dyskusji. A moim zdaniem powinien zrozumieć, że jego celem jest utrzymanie się w środowisku, które zna, że wyjście z tego środowiska sprawi mu znaczne trudności. Będzie musiał się adaptować w innym. Tu zna wszystkich. A w produkcji potrzebne jest duże doświadczenie. Kowalski ma je. I to doświadczenie może spóżytkować dla dobra Fabryki. Zajmując takie stanowisko, działamy w jego interesie. Mimo, że jest bezpartyjny poświęciliśmy mu uwagę na egzekutywie Komitetu Zakładowego.

Posiedzenie egzekutywy KZ PZPR w Fabryce odbyło się 30 czerwca 1973 roku. Obecny na tym posiedzeniu Główny Technolog powiedział, co znalazło odpowiedni zapis w protokół:

— Jest trudny we współżyciu. Nie umie pracować w kolektywie. Pod względem zawodowym w zasadzie nie ma do niego zastrzeżeń, robi wszystko, co mu się przekaże.

Opinię tę Główny Technolog podtrzymał na początku czerwca 1974 roku.

Jan Kowalski w piśmie do KC PZPR z 22 kwietnia 1974 r. napisał:

„Wszystkie podstawowe zadania i obowiązki technologa pełnione przeze mnie przez 20 lat przekazałem innemu kolegom, dla mnie pozostawały różne dorywcze zadania i wówczas, gdy całość planu była zagrożona lub gdy inni nie mogli dać rady. W ogóle dawano mi do zrozumienia przez różne sytuacje, że stałem się nieprzydatnym a nawet wręcz szkodliwym w dziale i że powinienem odejść, bo szef nie chce ze mną współpracować i że ze względów ambicyonalnych stanowiska swego nie zmienię”.

I jeszcze raz Jan Kowalski. W piśmie adresowanym do Plenum Rady Zakładowej Fabryki z 18 kwietnia 1974 roku napisał:

MOJ KOMENTARZ

„Na zakończenie podkreślam, że zaistniała sytuacja nie jest przecież żadnym poważnym konfliktem między mną a Dyrekcją. Chodzi po prostu o załagodzenie drobnego nieporozumienia (podkreślenie moje — L. W.) między szefem a podwładnym co przy dobrej woli obu stron można załatwić na miejscu bez dalszych zażądań i odwoływań na zewnątrz zakładu”.

Przedstawiłem owo drobne nieporozumienie w taki sposób, aby nie ujawnić istotnych szczegółów, które mogłyby sprowadzić je do jednostkowej, konkretnej sprawy. Wydaje mi się bowiem, że takich drobnych nieporozumień zdarza się więcej, że absorbują one ludzi, nie zawsze prowadząc do właściwych rozwiązań. Konflikty zdarzają się i będą zdarzały się zawsze tam, gdzie pracują ludzie. Powody tych konfliktów są bardzo różne, ale skutki niejednokrotnie społecznie szkodliwe. Czasem są to konflikty wynikające z urojonych przyczyn, czasem z rzeczywistych. Zawsze jednak, aby rozwiązać taki konflikt trzeba usunąć przyczynę, trzeba wnikiwie i z uwagą rozpatrzeć racje obu stron, aby znaleźć takie wyjście, które będzie do przyjęcia dla stron zainteresowanych i przyczyni się do umiagodzenia właściwej atmosfery w zespole.

Jak postąpić w konkretnym przypadku człowieka, którego umownie nazwalem Janem Kowalskim? Gdybym miał rozstrzygać ten spór, to doradzałbym znalezienie wyjścia kompromisowego. Sprawy zaszyły już bowiem dość daleko i emblicie przesłoniły argumenty i fakty. Zadna ze stron w tym konkretnym przypadku nie zechce zrezygnować ze swojego stanowiska. Pozostawienie Jana Kowalskiego w dziale głównego technologa nie przyczyni się do poprawy powstałej tam atmosfery, ani też nie poprawi jego pozycji. Przeniesienie go do „Pr-3” wzmocni tylko jego poczucie krzywdy. I tu chciałbym zwrócić uwagę zainteresowanych na konkretny i — moim zdaniem — bardzo istotny fakt. Otóż człowiek, któremu dałem umowne nazwisko: Jan Kowalski cierpiący swego czasu na poważną chorobę, która pozostawiła w jego psychice trwały ślad. Agresywność Jana Kowalskiego wynika z jego kompleksu niższości. A jego rozpaczliwa obrona swojej pozycji, niszcząca pozory rozbrajactwa, w tym kompleksie ma swoje źródło. Jest to obrona przed zagrożeniem, które dla kogoś innego nie miałoby tak wyolbrzymionego znaczenia.

Zdaję sobie sprawę, że postulowanie nie aż tak dogłębnego wnikiwania w motywy czyjegoś postępowania jest trochę nie na miejscu. Ale jeśli obok odpowiedzialności za produkcję ponosi się też odpowiedzialność za ludzi, to trzeba czasem i w takie sprawy wnikać. Warto przynajmniej, choć świadom jestem tego, że jest to iklopotliwe i przy ogromie różnych innych zadań czasem prawie niemożliwe.

Sprawa Jana Kowalskiego zainteresowała mnie właśnie z tego powodu, że jest skomplikowana i pozornie nietypowa. Ale tylko pozornie. Dlatego też opisałem ją tak szczegółowo, aby dać innym, którzy niejednokrotnie decydują o losach ludzi, pretekst do przemyśleń. Przecież z podobnymi sprawami stykamy się niemal codziennie.

NA POGRANICZU DWU EPOK

Koniec II wojny światowej i okres, który po nim nastąpił, wcale nie znamionował późniejszej prosperity koncernu. Tak dla ITT jak i dla szeregu innych firm, które odgrywały wiodącą rolę w produkcji na potrzeby wojny, — rozpoczęły się trudne dni. Pakiety zamówień poważnie zmalały.

Zwycięstwo rewolucji w krajach Europy wschodniej i pogłębiający się wciąż ogólny kryzys kapitalizmu nie mógł nie spowodować głębokiego wstrząsu w świadomości społecznej wielu narodów. Nawet w krajach będących ostoją reakcji podejmowano decyzje godzące nieraz w interesy międzynarodowego kapitału, w tym również w interesy ITT. Tak na przykład w Hiszpanii gen. Franco upaństwowił w 1945 roku towarzystwo ITT — *Compañía Telefonica de España*. Podobnie postąpił w następnym roku prezydent Argentyny Juan Peron — wyplacając koncernowi odszkodowanie w wysokości 95 milionów dolarów, za przejętą przez państwo sieć telefoniczną kraju, stanowiącą własność ITT. Aby wyrównać straty poniesione za granicą, Sosthenes Behn zaczął inwestować w Stanach Zjednoczonych. Inwestycje miały charakter różnorodny i nie były do końca odległe od dotychczasowego profilu firmy. Behn zakupił bowiem fabrykę lodówek (Colderator) oraz przedsiębiorstwo Capehart-Farnsworth, produkujące telewizory i radia. Tu jednak szybko okazało się, że zawiodła Behna szczęśliwa ręka w interesach, bowiem zakup obu firm był chybiony.

Jednocześnie metody, jakimi posługiwał się Behn, kierując ITT, zaczęły wywoływać ferment wśród akcjonariuszy koncernu. W 1947 roku pewna ich część otworzyła przeciwko założycielowi koncernu, który mimo swych 63 lat posiadał pełnię władzy w swym roku, zajmując trzy najważniejsze stanowiska kierownicze — *chairmana* rady nadzorczej, prezesa firmy i *chief executive officer*. Akcjonariusze wystąpili wobec Behna z zarzutem, że w ciągu 9 lat nie otrzymy-

wali żadnych dywidend, podczas gdy w tym samym czasie wypłacił sobie i swym dyrektorom 3,7 miliona dolarów. Oskarżony boss zarządził się bronił argumentując, że zamiast się skarżyć, powinni się raczej cieszyć, że firma nie padła w zawierusze wojennej, jak stało się z wieloma innymi. Opozycja wobec Behna była silna i w czerwcu 1948 roku rada nadzorcza pozbawiła go stanowiska prezesa towarzystwa. Na jego miejsce mianowano nowego prezesa, którym został 56-letni gen. Harrison, zwolniony przez radę nadzorczą *American Telephone and Telegraph*.

Mimo tej porażki pułkownik Behn nadal zachował stanowiska *chairmana* i *chief executive officer* firmy, a ponieważ nowy prezes nie był silną indywidualnością w przeciwieństwie do swego poprzednika, więc Behn zachował panowanie nad stworzonym przez siebie imperium. Do obecných zadań Behna miało należeć sprawowanie kontroli nad interesami zagranicznymi koncernu.

Zaczęło się w październiku 1948 roku w Budapeszcie. Był to okres zenitu rewolucji społecznej na Węgrzech, okres wielkich przemian społecznych, nie więc dziwnego, że interesy ITT w tym kraju nie układały się po myśli szefów z nowojorskiej centrali. Aby jakoś temu zaradzić, pułkownik Behn udał się do Budapesztu. Węgierska filia ITT, która w czasie wojny była jednym z dostawców dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, obecnie znana była jako producent nowoczesnej aparatury telefonicznej, eksportowanej do wielu krajów, a w tym do Związku Radzieckiego. Wkrótce po przybyciu Behna do stolicy Węgier, w hotelu Gellerta zaaranżowano jego spotkanie z czterema ludźmi pozostającymi na usługach ITT i mającymi poważne powiązania z wywiadem angielskim i amerykańskim. Byli to:

— Edgar Sanders, Anglik, pracujący w czasie wojny dla wywiadu brytyjskiego. Po jej zakończeniu zatrudniono go w brytyjskiej misji wojskowej w Budapeszcie jako łącznika z wywiadem angielskim. W jakiś czas później Behn zwerbował go do węgierskich zakładów ITT jako wicedyrektora.

— Robert Vogeler, amerykański inżynier-elektryk, służył w okresie wojny w amerykańskich *marines*. Później przygotowany został przez FBI do działalności szpiegowskiej i wywiadowczej. On również został zwerbowany przez

Behna i mianowany regionalnym menedżerem ITT do spraw Europy wschodniej z siedzibą w Wiedniu. Był on zarazem rezydentem wywiadu amerykańskiego przy wiedeńskiej siedzibie ODI (*Office Director of Intelligence*).

— Imre Geiger, jedyny Węgier w tym gronie, również mający ścisłe kontakty z wywiadem amerykańskim, został w 1948 roku dyrektorem generalnym *International Standard Electric Corporation* (filia ITT na Węgrzech).

— Pinkney, wyższy funkcjonariusz Standard, o którym poza tym, że był Anglikiem, nie bliźszego nie wiadomo.

Owo grono zebrane w sali konferencyjnej hotelu Gellerta poczęło, aż sekretarka opuścił pokój. Wówczas jeden z nich wstał i przerwał przewód telefoniczny, na wypadek, gdyby aparat znajdował się na podłuchu. Rozpoczęła się narada. Pułkownik Behn wyłożył swoje credo. Ponieważ III wojna światowa wybuchnie łała chwila, a Węgry będą w niej walczyć po stronie „wroga”, przeciw USA, zatem jest sprzeczne z amerykańskimi interesami, aby firma amerykańska rozwijała węgierski system telefonów i łączności. Należy więc podjąć wysiłki na rzecz obniżenia tempa produkcji, a nawet dążyć przy pomocy wszelkich możliwych metod do jej udaremniania.

Wkrótce po wyjeździe Behna z Węgier w tamtejszej filii ITT zaczęły się dziać dziwne rzeczy: tak na przykład dostawy przeznaczone dla Związku Radzieckiego kierowane do Turcji, demontowano maszyny tylko po to, by znowu zainstalować je w innym miejscu w fabryce. Rysunki konstrukcyjne nowych części, które według zaleceń koncernu musiały być zamawiane w Londynie, jeśli w ogóle przychodziły, to z dużym opóźnieniem. Produkcja węgierskiego ITT spadła niebawem do 40 procent swego poprzedniego stanu.

Nie trzeba było długo czekać, aby węgierski kontrwywiad zwrócił uwagę na ten podejrzany spadek produkcji ITT. W rok po wspomnianym spotkaniu w hotelu Gellerta aresztowano dyrektora firmy, Imre Geigera, gdy wraz z żoną usiłował przekroczyć granicę węgiersko-austriacką. Ostrzeżony o zbliżającej się „wpadce” przez Vogelera, próbował przedostać się na Zachód. Nieco później sam Vogeler wraz z Sandersem znaleźli się za kratkami. Aresztowano również Zoltana Rado, wysokiego węgierskiego urzędnika ministerialnego, który miał nadzorować z ramienia Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego produkcję zakładów ITT, oraz Kelemena Domokosa, jednego z

wyższych funkcjonariuszy przedsiębiorstwa. Proces ludzi ITT i ich współpracowników miał miejsce w lutym 1950 roku i trwał cztery dni. Vogeler, który tuż przed aresztowaniem powrócił z nowojorskiej centrali, potwierdził w odpowiedzi na pytanie prokuratora, istnienie ścisłych związków między górą ITT a Pentagonem. Po wojnie, w kierownictwie firmy znalazło się bowiem wielu wysokich oficerów, jak admirał Stone, admirał Halsey, gen. Marriner, czy gen. Coulson.

„Podczas wojny — jak zeznał Vogeler w czasie procesu — ITT miało bardzo duże zamówienia od wojska. I gdy po zakończeniu wojny zamówienia te nie wpływały, spadły obroty przedsiębiorstwa. Dlatego też ściślejszą współpracę z armią uważano za wielce pożądaną. A zatem byłych wysokich oficerów mianowano menedżerami przedsiębiorstwa”.

W toku procesu oskarżonym udowodniono, oprócz sabotażu, również działalność szpiegowską. Wyrokiem trybunału Imre Geiger, Zoltan Rado zostali skazani na karę śmierci i powieszeni, Vogeler skazano na 15 lat więzienia, zaś Sandersa na 13 lat. Pozostali otrzymali kary długoletniego więzienia. Natomiast sama fabryka ITT — Standard została przejęta przez państwo bez odszkodowania.

Pozycja Behna w ITT stawała się coraz słabsza. Opór przeciw niemu narastał. Niemalże wpływ na to miała także zakończona pełnym fiaskiem wspomniana węgierska afera ITT. Wszystko to spowodowało, że po 36 latach od założenia ITT, w maju 1956 roku pułkownik Sosthenes Behn złożył rezygnację ze wszystkich funkcji kierowniczych w firmie. Miał wówczas 74 lata. Zmarł w rok później. Jego odejście pogrzeżyło firmę w poważnym kryzysie, pogłębnym jeszcze śmiercią prezesa ITT, gen. Harrisona.

Postanowiono więc znaleźć jak najszybciej właściwego człowieka, który byłby godnym następcą Sosthenesa Behna. Minęły miesiące długich poszukiwań we wszystkich stanach USA, prowadzonych z pomocą zawodowych doradców do spraw zarządzania i „low-costów” oraz banku Kuhn, Loeb and Co., zanim natrafiono na ślad właściwego kandydata. Miał to miejsce w Bostonie w stanie Massachusetts. Człowiekiem, na którego padł wybór komitetu poszukiwawczego, był Harold Sydney Geneen, będący aktualnie wiceprezsem koncernu elektronicznego Raytheon.

Rada nadzorcza ITT powołując Geneena na stanowisko prezesa koncernu zdawała sobie sprawę, że dokonała wyboru niezwykłego, może nawet ryzykownego, nie przeczuwała jednak w nim owego „genialnego ducha, którego teraz wypuszczono z butelki”. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, że właśnie jemu koncern *International Telephone and Telegraph Corporation* zawdzięcza swoją obecną pozycję w świecie, swoją wielkość i potęgę. Porównując Geneena z jego sławnym poprzednikiem, Sosthenesem Behnem, pozornie odnosi się wrażenie, że obecny szef ITT jest całkowicie przeciwnym założycielu firmy. Lecz jedno, co ich zdecydowanie łączy, to to, że obaj lubili władzę i obaj byli despotami. Z tą jednak różnicą, że przy całym swoim despocyzmie, Geneen działał bardziej metodycznie niż założyciel ITT. Wzorem przywódców państw stworzył własne ministerstwo spraw zagranicznych, i własną służbę wywiadowczą. Na jego listach plac figurują nazwiska byłych dyplomatów amerykańskich, a także byłego sekretarza generalnego ONZ,

Norwega Trygve Lie; byłego premiera Belgii i sekretarza generalnego NATO — Paul-Henri Spaaka oraz byłego prezesa Banku Światowego, Amerykanina Eugene Blacka. Poza tym Geneen w przeciwieństwie do Behna nie korzysta z usług trzeciorzędnych agentów wywiadu, ale otwarcie zatrudnił jako dyrektora byłego szefa CIA — Johna McCone’a.

Wszyscy podwładni Geneena, bez względu na stanowisko, są obowiązani ściśle przestrzegać zasad żelaznej dyscypliny, jaką ustanowił. Każdy z menedżerów ITT jest rozliczany na podstawie realizacji planów zysków, jeśli zaś nie osiąga zadowalających rezultatów, jest po prostu usuwany ze stanowiska. Taka perspektywa nie uśmieszcza się nikomu, jako że otrzymują oni pensje o 10 procent wyższe niż ich odpowiednicy w innych firmach. Szefowie czelowych menedżerów ITT pobiera gratyfikacje, które wraz z tantiemami przekraczają dochody prezydenta USA, wynoszące 200.000 dolarów rocznie. Oczywiście najwyższą pensją przypada smutnemu Geneenowi i na przykład w 1972 roku wyniosła ona 813.311 dolarów. Obecny boss ITT nie zapomina także o tym, iż „pańskie oko konia tuczy”. Toteż ostatni tydzień każdego miesiąca spędza on z członkami menedżerami w europejskiej centrali ITT w Brukseli.

Celem tych regularnych wizyt Geneena jest inspekcja transatlantyckich filii koncernu. W sali, przy olbrzymim stole, ustawionym w kształcie podkowy, zasiadają poza dyktorami z nowojorskiej centrali (przylatuje ich zwykle około 70), dyrektorzy generalni europejskich filii ITT. Uczestnicy tej maratońskiej narady to ludzie, których słuchają tysiące: naturalizowany Amerykanin, Francuz z pochodzenia, Michel („Mike”) Bergerac, szef ITT — Europa; Anglik Ken Corfield (ITT — Wielka Brytania); Niemiec — Dieter Moehring, boss największego niemieckiego towarzystwa ITT — stuttgarckiego koncernu elektronicznego *Standard Electric Lorenz AG* (3,5 tysiąca zatrudnionych, 2,3 mld marek rocznego obrotu).

Na ekranie widać długie szeregi liczb — to dane o zyskach i stratach, *cash-flow* i plany inwestycyjne poszczególnych filii ITT. Jeden z asystentów Geneena komentuje liczby. Ale oto na ekranie mała wskazówka przeskakująca od jednej cyfry do drugiej zatrzymuje się w miejscu, gdzie osiągnięty rezultat jest niższy od założonego planu. Wówczas Geneen przerywa referowanie i zapytuje cichym głosem: „dlaczego plan nie został zrealizowany?” Odpowiadający dyrektor firmy próbuje się usprawiedliwiać. Geneen kiwa głową, robi notatki, gani. A wskazówka przesuwa się dalej. Menedżerowie znający już dłużej ten rytuał, opowiadają, że niektórych z ich kolegów, nie przyzwyczajonych do tego typu przesłuchań, doprowadziły one do granicy załamania nerwowego. Tak na przykład dyrektor nowo wykupionej firmy, zemdlał w czasie swej pierwszej bytności na brukselskim maratonie. Inny z kole, w panicznym strachu, opuścił salę konferencyjną i przerażając przeżył przez dwa dni usiłował zatrzeć przy pomocy alkoholu.

Sam Harold Geneen, mówiąc o stworzonej przez siebie koncepcji „management by meeting” (zarządzanie poprzez spotkania), stwierdza: „Nie wystarczy mi tylko przejrzenie bilansów, muszę również obserwować twarz człowieka, który mi je wyjaśnia i wiedzieć, jak zachowuje się przy tym”.

GENEALOGIA PIASTÓW

Często mówimy o genealogii teraźniejszości, o genealogii najrozsądniejszych zjawisk społecznych i politycznych, procesów dziejowych, rzadko jednak posługujemy się tym terminem w większym znaczeniu, mianowicie tym, które niegdyś było dlań podstawowym: w sensie genealogii rodzinnej. Tak zwane „drzewa genealogiczne” pojawiają się co prawda na kartach rodzimej literatury sensacyjnej, niby jako świadectwo kuriozalnych rezydentów nieistniejących już elit, ale doprawdy niewiele to interesuje. Z kart naszego historycznego piśmiennictwa zniknęły niemal całkowicie tak liczne niegdyś publikacje, poświęcone genealogii poszczególnych rodów szlacheckich i magnackich, nie istnieje już w praktyce profesja genealogisty (nie mylić z genealogiem — uczyonym, zajmującym się genealogią), to jest takiego jeńca, który za odpowiednią opłatą gotów był dostarczyć każdemu nowobogiemu długi wywód jego rzekomych najczystszych antenatów, aby ów mógł się szczycić dawną i doskonałą swego pochodzenia.

Kapitałizm kochał feudalne tytuły: jeszcze dzisiaj nie brak na Zachodzie ludzi, którzy przypinają do swych mieszczanskich rodowodów fikcyjne feudalne

genealogie, przybierają nazwiska dawnych możnych rodów, tak jak to uczynił całkiem niedawno jeden z czołowych dzisiaj polityków francuskich... U nas rewolucyjne zmiany ustrojowe zlikwidowały prestiż pochodzenia, a ma to swoje odzwierciedlenie także w języku, w odmianach znaczenia słów, które niegdyś oznaczały coś innego niż dzisiaj. Genealogia ma dla współczesnego Polaka coś ze snobizmu, jeżeli nie wstecznych rezydentów i trudno się temu dziwić. Z tego jednak, że pochodzenie nie jest dziś u nas taką społeczną wartością, jaka było niegdyś nie wynika — i wypływać nie może — że tak było dawniej, a więc, że rozpoznawanie genealogii poszczególnych rodzin jest bez znaczenia dla poznania historycznego.

Przez jakiś czas po II Wojnie Światowej historycy nasi, niewątpliwie pod presją współczesności, zaniechali poważniejszych studiów historyczno-genealogicznych. Podnosili się nawet wówczas głosy, że są one zdecydowanie wsteczny kierunek badań, niegodnym uprawiania przez prawdziwie nowoczesną socjalistyczną historiografię. Czas ten minął i w dorobku naszej współczesnej nauki historycznej posiadamy już szereg cennych opracowań z tego zakresu pió-

ra W. Dworaka, Z. Wdowińskiego i innych uczonych. Przed wieloma laty powstał też pomyślnie wznowienia pomnikowego w europejskiej skali dzieła, mianowicie „Genealogii Piastów” O. Balzera, pracy wydanej w 1895 r. i stanowiącej prawdziwy rarytas bibliofilski, a jednocześnie niezbędną pomoc dla każdego, kto się naukowo zajmuje czasami piastowskimi.

Należy sobie bowiem zdawać sprawę z tego, że w czasach średniowiecza genealogiczne koligacje, w szczególności domów panujących, stanowiły funkcję międzynarodowego znaczenia dynastii i państw, którymi one rządziły, że okoliczność, iż np. król Polski miał rodzinę powiazaną z tytułami takimi bądź innymi europejskimi domami panującymi, świadczyła o wysokiej międzynarodowej pozycji jego państwa we współczesnym świecie oraz o układzie politycznych stosunków z innymi państwami. Małżeństwa wynikały wówczas z polityki i ją wyrażały, były jej instrumentem — i to jednym z najbardziej istotnych. Tak więc np. dla znajomości naszego XIV czy innego dawnego stulecia nie jest dobraziem bez żadnego znaczenia, czy dana książeczka wyszła za tego, czy innej dynastie, bowiem ten fakt ma istotnym faktem kryje się treść polityczna, która możemy rozróżnić przez... analityczne zbadanie drobnego zdanoloby się i nielotowego epizodu.

Nad przygotowaniem reedycji dzieła O. Balzera pracował wybitny toruński mediewista prof. dr Kazimierz Jasinski. Po wiadom pracował — w czasie przeszłym — bo po latach wytyczonych studiów, opartych o materiały drukowane i rękopiśmienne bibliotek i archiwów z całego świata, doszedł do wniosku, że reedycja tej pracy nie miałaby sensu, skoro właściwie wszystko wymaga w niej korekt i uzupełnień. Zamierzył więc własne opracowanie genealogii piastowskiej i to

pełniejsze od tego, którego dokonał O. Balzer, obejmujące również Piastów Śląskich. Niesłychanie żmudne studia, prowadzone przez ponad dwadzieścia lat badacza nad średniowieczną genealogią należało, a potwierdził to każdy mediewista, do najtrudniejszych i najbardziej pochłonnnych — dzisiaj przynosi owoce. Mam przed sobą tom pierwszy dzieła Kazimierza Jasinskiego p.t.: „Rodowód Piastów Śląskich”, wydany przez Wrocławskie Towarzystwo Naukowe w 1973 r., a poświęcone Piastom wrocławskim i legnickim — brzeskim, książkę doprawdy pomnikową, a zarazem pionierską. Świadomie używam tych słów: stojąca na europejskim poziomie nowoczesność badawczej metody pozwala wybitnemu uczonemu na konstatację znacznej rozszerzającej stan historycznej wiedzy i korygującej dotychczasowe poglądy, zwłaszcza zaś zaprzeczania historyografii niemieckiej.

W świetle badań K. Jasinskiego powtarzana przez historyków niemieckich teza o „niemieckości Piastów Śląskich” okazuje się całkowicie bezzasadna, nawet uwzględniając oddziaływanie silnych wpływów niemieckich na te gata „Piastów”. „Genealogia Piastów Śląskich” — powiada dziś prof. K. Jasinski — stanowi niezaprzeczalną kartę dzieł polskich i na polskiej nauce historycznej w pierwszym rzędzie spoczywa obowiązek opracowania genealogicznych, jaką objawia wielu naszych trafnie stwierdził już A. Lewicki, Piastowie — Slacy, „to byli książęta polscy mimo wszystko, mimo że ich Niemcy historycy już od czasu, gdy Śląsk osobno poczęli stanowić dzielnicę, za swoją wyłączną własność zabierają — bo przecież jeszcze w XIV i XV w. oni się czuli, a inni ich nazywali zawsze polskimi książętami”.

Nie wyczerpuje to jednak znaczenia dzieła, którego pierwszy tom (z opracowanych trzech) otrzymaliśmy do ręk.

Aczkolwiek problematyka książek — jak podkreśla autor — „koncentruje się wyłącznie na kwestiach genealogicznych”, i inaczej być nie mogło, „to jednakże ustalenie faktów genealogicznych często pociąga za sobą potrzebę zbadania różnorodnych kwestii ściśle historycznych (głównie z zakresu historii politycznej), prawnoustrojowych, leżących, znaczących, demograficznych, kulturalnych, źródłowych i innych. To powiązanie genealogii z różnymi dyscyplinami naukowymi jest zresztą charakterystyczne dla prac z zakresu genealogii dynastycznej, decydujące często o ich wartości i znaczeniu”. Prof. K. Jasinski nie pisze więcej o tych sprawach; chwalić się sam nie lubi, więc po to, by stwierdzić, jakie nowe ustalenia porażone genealogie pojawiły się w jego dziele, trzeba by po prostu skonfrontować z całym dotychczasowym dorobkiem nauki historycznej w tym zakresie. Piszę „po prostu” — chociaż to bynajmniej nie proste.

W świetle jego ustaleń jest jeszcze bardziej oczywiste, niż dawniej, że nie można być integralnym badaczem dziełami średniowiecznej Polski bez poważnych studiów genealogicznych, a zatem, że dzieło, którego tom pierwszy ujrzał światło dzienne, stanowi podstawę wielkiej wartości dla badań niejednego tylko pokolenia naszych historyków i tak to się dzieje, że dzieło z zakresu, który niejednemu historykowi wydaje się być archaiczne, staje się pracą pionierską, otwierającą nowe horyzonty badawcze. Warto by zadać sobie pytanie: czy zbytnia rezerwa w stosunku do badań genealogicznych, jaką objawia wielu naszych historyków, często motywowana nowożytnością, nie wynika po prostu z tego, iż dziś rzadko kto potrafi je prowadzić tak, jak to czynił K. Jasinski? Tym większa jego zasługa.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

zdzielałm nieco sadem. Gospodarza stałego teraz nie ma, ale przyjaciel nie sprzedał dotąd ojcowiskiej schedy. Ma wygodę z tym starym, opuszczonym domem i skrawkiem ogrodu, w którym gęsto od jabłoni, gruszy, śliw i krzaków porzeczek. Może tu zawsze przejechać, odczekać ciszą małej wiosny i nawiązać się powierzyć tak czystego, że aż drapie w gardle.

Milek zagląda tutaj przeważnie na przełomie lata i jesieni, jest wtedy silnie wrobie, przez dzień lub dwa znowu stary dom tętni życiem, odwiedzają przyjaciele sąsiadzi i krewni, których w miasteczku ma sporo; szukają u niego nie tylko rady w różnych osobistych sprawach. Chęć sobie pogadać o szerokim świecie, wszak jest człowiekiem wykształconym i na stanowisku, mieszkającym stale w dużym mieście.

Jest wieczór, naftowa lampa rozjaśnia półmrok dużej izby (zapomnieliśmy kupić po drodze żarówkę elektrycznych), na półmroku leży pięć smakowitej polanieckiej kielbasy, o jakiej przeciętnemu mieszczuchowi nawet w snach się nie śniło. (Polaniec zawsze słynął ze znakomitych wędlin). Znalazł się też kieliszek domowej słiwownicy. Gwarzymy o tym, co było i co będzie. Jutro ruszamy na oględziny tego NOWEGO, które tak gwałtownie wtargnęło do miasteczka.

Musisz koniecznie poznać stare kuty, poodwiecać znajome miejsca. Niebawem już ich nie będzie — u pominał mnie przyjaciel.

Pamiętam to miasteczko takim, jakim go poznałem przed trzydziestoma laty. Był lipiec 1914 roku. Wojna zbliżała się ku końcowi, na frontach sytuacja była już dostatecznie jasna, ale jeszcze nikt z nas, chwilowych przybyszów w te strony i nikt ze stałych mieszkańców nie zdawał sobie w pełni sprawy, że zakończenie jest aż tak blisko, że mija wszystko złe, co z sobą przyniosła tutaj wojna. Nasz oddział odchodził wtedy stąd na północ, kierował się w Góry Świętokrzyskie. Milek K. maszerował objuczony sanitarnymi forami. Był już naszym „nadwornym medykiem”.

Później przyszedł sierpień, żniwne snoły stały na polach, kilka radzieckich patroli przemknęło pomiędzy nimi i już właściwie było po wszystkim. Front poszedł dalej, pod Stoppicę i pod Staszów, miejscowi chłopcy z BCH zakończyli wojaczkę, szli do wojska i do milicji, a w samym Polaniecu ludzie już się szykowali, aby rozpocząć NOWE ŻYCIE. Tak się wtedy słogawo mówiło o tym wszystkim, co z sobą niósł wolność, ale wtedy to nie był slogan, bo za słowami tkwiła konkretność i tylko precyzja tego pojęcia mogła pytanie: jak je zacząć, to NOWE ŻYCIE? Od czego?

O NOWYM mówiło się tutaj od dawna. Konkretnie od upadku samodzielnego państwa. To dziwne, ale ludność miasteczka po wyzwoleniu składała się głównie z chłopstwa. Tutejszy mieszczan wojna skazała na zagładę; to byli przecież Żydzi trudniący się przede wszystkim

handlem. Ocalała reszta stanowili więc chłopi, przeważnie średnio zamożni, zarażeni radykalizmem i tradycjami koczowniczymi insurekcji. Zginęło ich kilkunastu w partyzantce lub za partyzantkę, „Jędrusie” i Bataliony Chłopskie stanowiły tutaj siłę główną, niekiedy zmarli w koncentracyjnych obozach, ale większość przetrwała szczęśliwie wszystkie hitlerowskie oblężenia i pacyfikacje, i teraz rwała się do życia, i do zaprowadzania reform. Ale rychło okazało się, że gardłowanie na wiecach nie równa się wcale postępowi gospodarczemu, że jest on uzależniony od możliwości danego terenu, że nie można budować fabryk tam, gdzie nie ma surowców i niezbędnych rak do pracy. Wiele poza reformą rolną, która objęła okoliczne majątki, i która w zasadzie omielała chłopów z samego Polanieca, żadna z wiecowych obietnic nie doczekała się tutaj realnych kształtów. Polaniec pozostał nadal rolniczą osadą, leżącą przy bocznym, mało wtedy ważnym, piaszczystym trakcie. Przemiany społeczne i polityczne wiskały się w nową polaniecką rzeczywistość dosyć opornie i początkowo prawie niezauważalnie. „Rozkwit” — „dobrobyt” — utożsamiano z krainą mlekiem i miodem płynącą, w którą Polaniec winien był się zmienić natychmiast z przyświecającą ludowej. Jeżeli tak się nie stało — to gdzież to NOWE ŻYCIE? Jak je zacząć?

Polaniec jest jednym z najstarszych miast nadwiślańskich. Prawa miejskie uzyskał w 1246 roku na mocy przywileju Bolesława Wstydliwego, potwierdzonego w trzy wieki później przez króla Zygmunta I. Kronikarze z tamtych lat mówią o jego świetności; oczywiście rozumiemy, że na miarę ówczesnych czasów. Miasteczko leżało przy dwóch szlakach handlowych. Jeden — to spławna Wisła, drugi — to trakt biegnący tędy od Sandomierza na Nowy Korczyn i Kraków. Ten trakt do niedawna pozostał takim, jak go chyba wytyczono przed wiekami. Biegł pośród dość żyznych pól i gęstych lasów, ale był miejscami bardzo piaszczysty. Takim go pamiętam z czasów wojny; żandarmskie budy rzadko kiedy przebiegały się przez miasteczko. Partyzanci śmiało sobie poczyniali w tych stronach trudno dostępnych, mieli dobre schronienie w lesie ciągnącym się kinem od Wisły, wzdłuż rzeki Czarnej, prawie aż po pasmo borów świętokrzyskich. Drogi były tutaj kłopotliwe, jedyną linią kolejki w skrajowej okolicy Polaniec w dość znacznej odległości. Ludzie w miasteczku i w okolicznych wsiach byli serdeczni, gościnni i patriotyczni, gotowi ponosić ofiary za cenę owego NOWEGO ŻYCIA, które miało wkręcić wraz z końcem wojny do ich średnio zamożnych wiejskich zagrod.

Lecz nie prawa miejskie nadane w XIII wieku, a potem brutalnie odebrane — lasu przy cara za sprzyjanie powstaniom 1863 roku, nie szlaki handlowe, które wtedy wiodły, i nie okresowy pobyt króla Zygmunta III Wazy w 1606 roku rozlały Polaniec. Miejsce w historii wyznaczył mu Tadeusz Kościuszko, który po bitwie racławickiej tutaj

rozłożył się obozem, szczęśliwie rozgromił w potyczce carskie rotę zabłąkaną w terenie i ogłosił 7 maja 1794 roku Uniwersał „urządzący powinności gruntów włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość”.

Do niedawna była to jedyna znacząca data w historii Polanieca, ale w zasadzie nie mająca wpływu na codzienne życie miasteczka, które z nakazu cara utraciło miejskie prawa i już do nich nie powróciło, ani za międzywojennego dwudziestolecia, ani za władzy ludowej. Zmian administracyjnych nie przewidywano żadnych, urząd gminy pozostał po dawnemu. Polaniec nadal żył życiem osady rolniczej, coraz bardziej sennie, coraz mniej ludnej. Uciekała z Polanieca młodzież. Nowe czasy niosły z sobą możliwości kształcenia się. Kto chciał zdobyć wiedzę wyższą polanieckiej szkoły, wybierał się do Powiatowego Sandomierza, albo Mięca po drugiej stronie Wisły, bo tam było najbliżej. Ci ze szkół średnich już nie wracali, jechali dalej, do Krakowa, Warszawy lub do Łodzi na wyższe uczelnie. Po co mieli wracać do tych niskich, zapadających w ziemię ojcowych chałup? Co miał w Polaniecu do roboty lekarz, inżynier lub nawet technik? Na taką osadę wystarczył jeden doktor, jeden weterynarz i jeden inżynier agronom.

Płynęły lata, miasteczko się wyludniało, starzy umierali, a młodzi wpadali tutaj na trochę, na wakacje, żeby pomóc w gospodarstwach swoich rodziców. To jedno ciągnęło ich jeszcze w rodzinne strony. I namawiali swoich najbliższych: sprzedajcie ziemię i chodźcie do nas. Tutaj zostanę tylko ci, którzy będą bez wyjścia i to do czasu, dopóki Polaniec nie umrze śmiercią naturalną. Na to jest już skazany...

Coraz częściej rodzice słuchali głosu dzieci, sprzedawali lub wydzielali gospodarstwa i wyjeżdżali. Nawet piekarnik przestał być potrzebny i maszyną zamknął warsztat. Na swój użytek każdy potrafił wiewprza zabić, chleb przywoziło się z miast powiatowych, przeważnie ze Staszowa i z Tarnowa. Brak innej pracy niż na roli zmuszał ludzi do szukania zarobku poza Polaniecem. Otworzyły się ogromne możliwości w „Ślarsce”, położono wreszcie asfalt na piaszczystym trakcie, zaczęły kursować autobusy, dojazd do kopalni w Grzybowie pod Staszowem i w Piaszczynie oraz w Machowie pod Tarnobrzegiem przestał być problemem. Na gospodarstwach zostawali więc starzy, chłopcy-robotnicy nauczyli się zdobywać pieniądze bez pracy na roli. I każdy już myślał, że tak pozostanie aż do „ostatnich dni umierającego Polanieca”, gdy oto zupełnie nieoczekiwanie w to zamierzające życie wkręciła decyzja o budowie elektrowni, której moc przekroczy 3 tysiące megawatów. Ów prado-twórca gigant ma już ruszyć w 1977 roku, a więc w niespełna sześć lat od rządowej decyzji, która zapadła w 1971 r. NOWE stało się faktem.

Ocknął się Polaniec, rozgadał, rozpolitykował. — Nareszcie — powiedział entuzjasta. — Doczekaliśmy się! A bo to prawda? — replikowali sceptycy. — Obiecywali już niejedno i co z tego wyszło?

— Ale teraz wyjdzie! — grzmiał entuzjasta. A stare matki odpowiadały z nadzieją w głosie: To może i nasze dzieci powracają?

— A niby co co mają wracać? — krzyknęli sceptycy ojcowie. — Jak pod budowę zacząć zabierać zie-

mie, to i nam przyjdzie wyjechać stąd na zawsze.

Toczyły się podobne rozmowy każdego dnia, chociaż właściwie nie się jeszcze w Polaniecu nie działo poza kilkakrotnymi przyjazdami specjalistów, którzy chodzili po polach i coś tam sobie wyjasniali. Dopiero pod koniec 1972 roku zaczęły zjeżdżać przedsiębiorstwa, które w styczniu 1973 miały przystąpić do niwelowania i uzbrajania terenu pod osiedle mieszkaniowe energetyków i pod przyszłą elektrownię. Zaczęto szukać wśród miejscowych chętnych do roboty na budowie. Zgłosiła się chmara chłopów, ponoć prawie setka. Jednocześnie przystąpiono do wykupywania gruntów. Gruchnęła wiadomość: Rolnik, ten prawdziwy, dostaje stu procentowe odszkodowanie! Chłopo-robotnik tylko 50 procent ustalonej ceny!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyludniony Polaniec zaczął pęcznieć od „autentycznych” chłopów, którzy błyskawicznie porzucili pracę w tarnobrzejskiej „Ślarsce” i roboty w Staszowie. — Ależ tak, panie inżynierze, jak Boga kocham, nigdy gospodarki nie opuszczałem, rolnik jestem od maleńkości! Tak jak mój dziad i ojciec, ale teraz mój młody państwo, czego nie, ro- botnik też ma dobre, a może i lepsze...

Nie wszyscy oczywiście chcą się wybrać gospodarki i przeobrazić w robotników elektrowni. Ci otrzymują nowe akty własności po terenami przeznaczonym pod budowę osiedla, szos i torów kolejowych. Jak mi mówiono, rok 1973 zamknięty został nadaniem praw własnościowych aż 600 rolnikom. Już sobie oni dobrze przekalkulowali, ile korzyści da im dalsze uprawianie ziemi. Polaniec trzeba będzie wyżywić i to dobrze wyżywić!

Jakim ma być ten Polaniec niedalekiej przyszłości? Równoległe z elektrownią i z wszystkimi, co musi towarzyszyć takiemu kolosowi, wyrosnie na polach drugi, szesnastostopniowy Nowy Polaniec. Od października ubiegłego roku do lutego 1974, budowniczym już wzniesli 8 bloków mieszkalnych. Szybko budują, nie ma co! W tym nowym zupełnie mieście, zbudowanym od podstaw, będą pawilony usługowe i handlowe, hotel z restauracją (upadnie chyba dzisiejsza gospoda w rynku), dom kultury z salą widowiskową i kinową, szkoła zawodowa z internatem, żłobki, przedszkola, pralnia mechaniczna, (pewnie i pięknie zbudują?), no i także ośrodek wypoczynkowy, wśród malowniczych pagórków i lasów, opodal Winnicy, wioski przylegającej do dzisiejszego starego Polanieca, dosłownie tam, gdzie 7 maja 1794 roku leżał obozem kosynierzy Kościuszki. Nad ośrodkiem górować będzie kopiec, usypany przed dziesiętkami lat w tym miejscu na cwałach Naczelnikowi i na pamięć jego wielkiego Uniwersału. O tym kopcu mało kto do tej pory wiedział, podobnie jak o walach bateryjnych nad brzegami Czarnej. Rybaków, którzy godzinami przesiadywali nad rzeczką, odległa historia specjalnie nie pasjonowała, mieszkańcy Polanieca zaś nie umieli reklamować tego, co by im sięgnęło turystów w okresie minionych „lat chudych”.

Polaniec jest siedzibą gminy i takim pozostał. Miastem powiatowym jest Staszów. Odległość — 18 kilometrów dobra, asfaltowa droga, przez Rytwiany. Władze powiatowe, jako pierwsze, poznały plan Nowego Polanieca. Czy poznały „wybrańców losu”? Tego nie wiemy. Ale pewnego dnia rozgorzała potężna bitwa o to, gdzie powinno być zlokalizowane owo szesnastostopniowe nowe miasto. Na gruzach nie nie znaczącego

dotąd starego Polanieca, czy też na peryferiach bądź co bądź powiatowego Staszowa? Ojcowie powiatu uzasadniali: 18 kilometrów, w dobie dziesiętnej, nie jest żadną odległością. Tym np. kierowano się budując 26-tysięczny nowy Tarnobrzeg, chociaż siarka jest w Machowie, Jeziorku i Grzybowie, a w Tarnobrzegu jej nie ma. Ojcowie gminy Polaniec replikowali: Albo elektrownia i nowe miasto staną w Polaniecu, albo ani jedno, ani drugie!

Nie poprzestawano na słowach: szły listy jeden za drugim, a to do ministra, a to do premiera, nawet do pierwszego sekretarza KC. Wyluszczano swoje powiatowo-gminne racje i usilowano przekonować partię i rząd, która z tych dwóch koncepcji jest mądrzejsza. Powoływano się na historię, na zasługi dla Polski Ludowej, Polaniec szermował Kościuszką i Uniwersalem, który już wówczas (znaczy się w XVIII wieku) określił miejsce tutejszego społeczeństwa w życiu polityczno-społecznym kraju. Staszów odwoływał się do rozsądku gospodarczego (no bo przecież ta siarka w Grzybowie!) i w miarę potrzeby przypominał role lewicowych partizantów przy wyzwalaniu tych ziem w 1944 roku.

Może ta batalia o lokalizację Nowego Polanieca nabierała większych jeszcze rumieńców i weszła do dziejów wojen podjazdowych jako jedna z bardziej zajadłych choć bezkrwawych, gdyby nie przyjazd do Polanieca pierwszego sekretarza KC i premiera rządu. W kwietniu ubiegłego roku, w towarzystwie ekspertów, dyrektorów budowy, władz wojewódzkich i powiatowych, przybyli do stolicy na plac budowy. Los starego i Nowego Polanieca był już wówczas przesądzony. Myśle, że staszowiakom zasychało w gardle, gdy wstępowali się w słowa Edwarda Gierka. Powiedział on wtedy w kwietniu 1973 roku: „Polaniec będzie najbliższym osiedlem energetyków w Polsce. Stanie się z czasem najnowocześniejszym miastem między Krakowem a Sandomierzem”.

Polaniec odczekał z ulgą. Odczekał także ci, którzy porzucili ongiś to „umierające miasteczko”, wyszkalili się, zdobyli zawody i teraz mieszkają w różnych kraiach Polski. Sercem są przecież zawsze wśród swoich. Może niektórzy nawet myślą już o powrocie? To nie, że Polaniec stary, ten z historią od 1246 roku, przestanie istnieć, że 70 procent obecnej zabudowy zniknie z powierzchni ziemi. Rozpiera ich po prostu zwykła, ludzka radość. Boją się tylko troszkę, czy aby powietrze od tej elektrowni nie uciurpi i czy rybki nie pocięją z Czarnej i Wisły. Fachowcy zapewniają, że wszystko będzie po dawnemu. Ryby będą brały i powietrza starczy dla wszystkich.

Chodząc z przyjacielem po placu budowy, chodząc po starych znajomych mi uliczkach i po rynku, otoczonym drewniakami. Byłem na kopcu Kościuszki, zaglądałem do remizy stojącej w centrum na skwerze, siedziałem nad Czarną. Przyjaciel upominał mnie co chwila.

Patrz, czego tu już za parę lat nie będzie. Tak wygląda miasteczko skazane na ŻYCIE.

TADEUSZ SZEWEBA

Dalszy ciąg ze str. 1

Kasa Chorych, już kilkanaście lat później, gdy pierzchały wszelkie nadzieje władz okupacyjnych Łodzi i gdy Wehrmacht „wiał” na Pabianice, Sieradz i „Festung Breslau” — właśnie Kasa Chorych na Lecznicy była w pierwszych dniach po 19 stycznia 1945 roku widownią ostatniego zrywu „Lwów Alpuhary”. Oto z okien gmachu przez kilkanaście jeszcze godzin ostrzeliwała się z szalenczym uporem pozostawiona sama sobie przez uciekające oddziały niemiecką obsługa cwm-u. Walczyła do końca, do ostatniego naboju — ku wielkiemu zaskoczeniu wyzwolonych łodzian, którzy w całym mieście wiatowali na cześć armii — wyzwolicieli.

Niedaleko Rynku mieszkał Doktor. Szanowany był powszechnie i lubiany przed wojną, w czasie okupacji zginął. Zastrzelono go gestapo na jednej z ulic Piotrkowa. Cywil zapytał go jak się nazywa, gdy usłyszał — padł strzał. Zachował się w naszej pamięci, no w latach okupacji był organizatorem pomocy lekarskiej dla ludności polskiej na przedmieściu, bo był skromny i dokładny. Pożądano z niego jako jedynego lekarza-opiekuna chorych, dopiero po jego nagłej śmierci wyszło na jaw, że jego udział w podziemiu był znacznie bogatszy a kontakty ze sztabem i dowódcami grup Wartheagu i Generalnej Guberni — szersze.

Doktor mieszkał przy Rzgowskiej. Ulica ta związała się z losami wielu innych jeszcze ludzi godnych zapamiętania, sławy czy nawet chwały. Na przykład Władek. Wszyscy wiedzieliśmy, jak niebezpieczne są jego zadania. Jak niemal co dzień narażał swe życie. Wiedzieliśmy, że pracował w wydawnictwie naszego podziemia, wiedzieliśmy, że stał się przysięgłym „lewych” dowódców, przepuszczał różnego rodzaju „palec” i „palec”. Wiedzieliśmy tylko nigdy, kiedy znowu się pokaże na Chojnach. Gdy na początku września 44-go spotkaliśmy Władka u wspólnych znajomych w domu przy rogu Miłej i Rzgowskiej — stracheliśmy wszyscy. — Czyżby miał zamiar zostać aż do imienia Maryśki? Maryśka była „jego dziewczyną” i mogliśmy przypuszczać, że Władek chce zacząć w Łodzi jeszcze kilka dni, by sprawić jej przyjemność i powinszować w dniu imienin. Stanowczo mu to odradzałem. Perswazyje były zrozumiałe dla każdego — Władek był śledzonym coraz bardziej przez żandarmów i cywilów, do oblężenia włącznie nawet Hitlerjugend, która od kil-

ku dni legitymowała przechodniów na Rzgowskiej. Mówiliśmy o tym Władkowi, aby darował sobie te imieniny i wyjechał. — O tym co się stało, dowiedziałem się od Sławka. Obudził mnie wśród nocy i powiedział to wszystko co widział na własne oczy. U Maryśki wśród znajomych, którzy przyszli z życzeniami, znalazł się i Władek. Nie wiadomo, czy nagle przestał u niego działać zmysł samozachowawczy, czy też może sam przeznaczył, że Maryśkę zobaczy już po raz ostatni — dość, że przyszedł na te imieniny. Już po godzinie mały domek był otoczony przez żandarmów, a ci, którzy wpadli do mieszkania z odepieczonymi pistoletami, kazali wszystkim stanąć przodem do ściany i podnieść ręce do góry. W czasie rewizji w Władka znaleziono 6 dowodów tożsamości. Władka zabrano. Dopiero w listopadzie dowiedzieliśmy się, że po śledztwie i licznych przesłuchaniach w gestapo (na Anstadta dziś 19 stycznia) rozstrzelany został na cmentarzu na Dołach. Dokładnie 31 października. Zabrakło mu dziesięciu tygodni do wolności.

Trzeba jednak wspomnieć i o drugim gmachu zbudowanym w okolicach Czerwonego Rynku. Była to nowa szkoła powszechna na Podmiejskiej. Zamykała ona smutny okres edukacji dzieci chojeńskich, szkół powszechnych bowiem mieściły się w starych, czynszowych, tylko nieznacznie przystosowanych do potrzeb nauczania budynkach — na Rzgowskiej np. w oficynie posesji, w której od frontu mieściła się piekarnia, w kamienicy na rogu Miłej i Rzgowskiej w wielkim czynszowym domu na ulicy Sieradzkiej, w murach fabryki Stolarowa. W żadnej z tych szkół dzieci nie kończyły nawet 7 oddziałów — w ciągu 7 lat kilkakrotnie zmieniano się szkoły, nigdzie nie zagrzewając miejsca.

Duża, nowa szkoła na Podmiejskiej likwidowała w pewnym stopniu tę bledę lokalową, mogło w niej uczyć się prawie tysiąc dzieci, likwidowała nieznosną wędrówkę z jednej ulicy na drugą. Była pierwszą na Chojnach szkołą powszechną z prawdziwego zdarzenia, a dziećmi, które się w niej uczyły, zazdrościli ich rówieśnicy ze szkół w odleglejszych częściach dzielnicy, których ta na Podmiejskiej już nie objęła. To z owych czasów pozostał sentyment i serdeczna pamięć o pedagogach, rze-

telnie oddanych wychowaniu robotniczych dzieci, do dziś jeszcze jawią się postaci profesorów Dobrowolskiego, Bilskiego, Szezygalskiego, Gierca. Zaskarбили oni sobie wdzięczne wspomnienie u dzieci i rodziców, żaden z nich w czasie okupacji nie dał się zmóc terrorowi, działał jak mogli w swych środowiskach, walcząc każdy na swój sposób z okupantem.

* * *

Kiedy tylko mam czas i okazję, zaglądam w okolicę Czerwonego Rynku. Z ulicy Rzgowskiej podnoszę oczy na 11-kondygnacyjne wieżowce, w których zgubił się bez reszty dawny, międzywojenny charakter robotniczego, drewnianego przedmieścia, została jeszcze tylko studnia na środku rynku, którą jednak również czeka zagłada. Najlepszy widok roztacza się z okien kamienicy naprzeciwko Rynku. Kamienica jest trzypiętrowa, na parterze liczne sklepy, a na trzecim piętrze — pokój, w którym się urodziłem. Traf zrzucił, że wiele lat po tym fakcie w tym samym domu, również na trzecim piętrze odnalazłem swego przyjaciela, o którym przez całe lata nie wiedziałem nic pewnego — ani gdzie mieszka, ani co porabia.

Już po pierwszym spotkaniu na ulicy zaprosił mnie do siebie, do domu. Gdy ochłonąłem z zaskoczenia, że siedzę tuż obok miejsca, w którym przyszedłem na świat, poczułem się jak człowiek, który jest mi coś winien. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. A że przyszedłem wiedziony ciekawością, jak gra na pianinie, zapytał:

— Co ci zagrać? — „Preludium deszczowe”. — Zagrał. Był ualentownym pianistą. — Co jeszcze chciałbyś usłyszeć? — Chciałbym usłyszeć „Sonatę Księżycową”.

Zagrał i to. Siedziałem jak urzeczony. Była to przecież jeszcze głęboka noc okupacji — czas, w którym i wzruszenia były niedozwolone. A on grał to co chciałem i wzruszał. Może właśnie wtedy, gdy słuchałem „Sonaty”, zrozumiałem po raz pierwszy w życiu tak jasno i wyraziście prawdę o przemijaniu. Długo jeszcze po tym zalprowizowanym koncercie lżej mi był żyć i myśleć, że i tę cholerną wojnę trzeba przeżyć.

Mój przyjaciel — muzyk nie mieszka już naprzeciwko Czerwonego Rynku. Jest wytrawnym inżynierem chemikiem i często wyjeżdża służbowo w świat. Ale ile razy go spo-

tkam — pamięta to wszystko, co się wtedy działo w kamienicy na trzecim piętrze.

FELIKS BABOL



Foto: W. Parys

PO DESZCZU

PACHNIAŁO GRZYBNIA

Dokończenie ze str. 1

zbyt licznie; dziś przyjmuje się starego, młodego, bez selekcji, bo w ciągu dziesięciu lat zmieniła się mentalność ludzka, zginęły gdzieś dawne kompleksy; człowiek teraz w cenie, on stawia warunki, wie bowiem, że Warta I, zwłaszcza po poprawie systemu placowego, wyszła do imentu wszystkie nadwyżki rąk do pracy. Mimo że na budowę dowozi się ludzi z całego województwa, od Radomska po Łowicz i Żychlin, mimo pomocy 80 chłopaków z OHP, 150-osobowej kompanii WP, 300 ludzi ze służby pomocniczej, 1800 pracowników LPBP i 14 podwykonawców, na budowie potrzeba jeszcze około 700 ludzi. W miarę postępu industrializacji rośnie cena na ręce do pracy, wzrastają ludzkie potrzeby.

Pozostali jednak wierni LPBP nr 2, ci z Warty I. Kiedy kończyła się tamta budowa, zastępca kierownika ds. administracyjnych, Bolesław Witczak, zwinął się i podjął pracę w łódzkim zakładzie mleczarskim. Zbyt długo jednak buszował wokół Działoszyń, poznawał ludzi i smakował cygańskie życie, aby się nie skusił ponownie. „Przyjeżdż, stary, pomóż przy tej Warcie II”. Zamknął więc mieszkanie na klucz i wrócił wraz z żoną, „o gdzie może być lepiej? Prowadzi wypłaty, rozliczenia, zajmuje się hotelami, wynajmuje kwatery. Dzisiaj przyjechało siedmiu malarzy z Radomska i operatorzy z Warszawy. — No, to jacyś szukać kwatery — mówi Witczak do 20.00 minie nie ma. Cholera, co to się porobiło, były hotele w barakach i jakoś się ludzi upychało. Teraz są hotele na 1200 osób, jeden na wzgórze nad Wartą, takiemu Łódź by się nie powstydziła, a ciasto, fachowcy muszą mieszkać w luksusie i nie ma gadania! Niech pan popatrz, co zrobili cementowni, na te murowane wille po 10 pokoiów, gdzie stały kiedyś chałupy pod strzechą. Za wynajęcie kwatery miesięcznie, ledzi do kieszonki po 6-7 tysięcy...

Naczelnik kierownik budowy, inż. Tadeusz Orłowski z LPBP nr 2: Przyszedłem tutaj po raz drugi wraz z siedmioma ludźmi dokładnie 13 lipca 1971 r. Dostaliśmy w starym barakowym „biurowcu” dwa pokoje, zwiózło się dokumentację i do roboty, która trwała do 18.00. Obiad, a potem do północy gadanie o tej nowej budowie. Spaliśmy w barakach nad Wartą. Za dwa dni przyszła koparka, która zaczęła wykopać pod główną drogą. Karłowaliśmy ten rachityczny las, aż do właściwego placu budowy. Teren niewdzięczny, trzeba było zasypać wielki jar. Po przygotowaniu kilkudziesięciu hektarów terenu i stworzeniu zaplecza, od kwietnia 1972 r., okalając powoli z trzech stron starą Wartę, przystąpiliśmy do właściwej budowy.

Inż. Wojciech Sar też pracował kiedyś w LPBP nr 2.

— Mieszkam z żoną w hotelu, w Działoszyń urodził mi się syn Wittek. To już autentyczny budowlanin działoszyński. Kiedyś opiekunka zachorowała, więc żona zabrała małego do biura. Zobaczył go, paradował w kasku i przybył na budowę minister Karkońka i pyta, czy on też tu pracuje a Wittek, że owszem. „A gdzie tata? — pyta minister. Mały popukał znacząco w kask i palnął niewiele myśląc: „To pan nie wie, że na budowie”. Przypomniało mi się wówczas (czas leci) jak mnie Orłowski tutaj przywodził, prowadził po lesie i pokazywał, gdzie i co będzie budować. Aż mi się nie chce wierzyć, że już prawie wszystko jest...

Sar dziwi się, bo ta inwestycja rzeczywiście rozbiła stary cyklowy

licznik. WARTA II stała się decyzją rządu inwestycją priorytetową, pod specjalną opieką Biura Politycznego i, jako taka — przyspieszona. Istniała możliwość rozpalenia pieców w końcu br., ale okazało się, że na ten czas budowa może zostać całkowicie zakończona, a pierwszy piec da się rozpaść już 20 lipca! Czyli, że Warta II, większa od swej poprzedniczki, zostanie zbudowana szybciej niż tamta.

WARTA I: 80 tys. m sześć, betonów i żelbetów, kubatura obiektów 500 tys. m sześć, rocznie 1150 tys. ton cementu. Te same dane dla Warty II: 200 tys. m sześć, 900 tys. m sześć, 1170 tys. ton.

WARTA II: kosztuje 2,5 mld. zł, posiada wyższe budynki (jest ich 150); dotychczas w plac budowy wkopano i ułożono 15 tys. ton konstrukcji stalowych, które płyną do Działoszyń z całego kraju, a także z NRF i... Syberii (wentylatory wyciągu spalin); konstrukcje te produkowano w 18 przedsiębiorstwach, ZSRR przysłała 14 tys. ton na ogólną liczbę 20,5 tys. ton. Dochodzi do tego 15 km linii kolejowych.

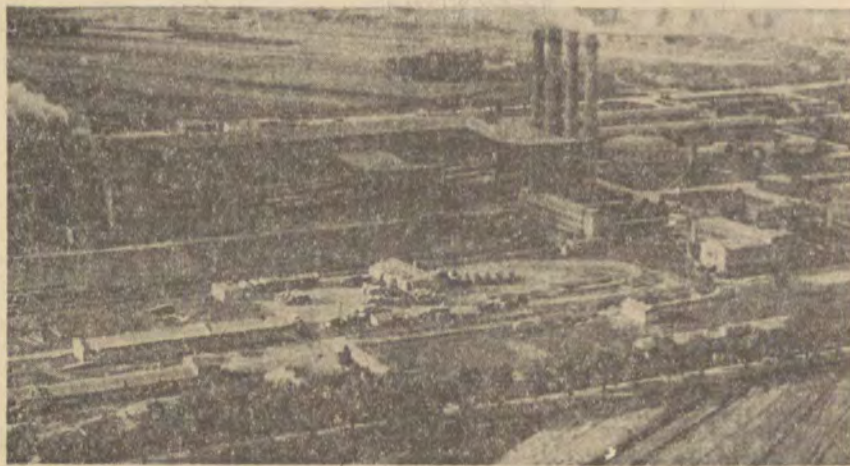
Ale dość liczb. Większość obiektów jest już gotowa. Czy jednak pierwszy piec ruszy na 20 lipca?

— Budownictwo to jednak ciężki kawałek chleba — mówi Tadeusz Orłowski. — Jednych pociąg, rwią się do tego życia na swobodzie, a potem nagie przychodzi zniechęcenie. Bo pojedzie jeden z drugim do domu, pogada z kolegą, który siedzi na miejscu i zarabia tyle samo, więc po cholere tłuć się po świecie? Ludzie są różni, ewangelicy i obiboki, chociaż nieźli fachowcy, taki nierz rzadki i śmieje się, bo wie, że potrzebny, że go się nie wyrzuci. Dużo młodych, rzadko, ale bywa, że taki „niezgraszy” usiłuje coś machnąć na lewo, tłumaczyć trzeba, chuchać, wyprowadzać na prostą drogę, bo każdy potrzebny. I jak tu opanować gościa, że trochę nawalił, kiedy ten tłumaczy się: „Pan mnie tu tak dusisz, a ja przecież tyram, jak wół”. I prawda, gdyż ogromna większość załogi pracuje dobrze, jak trzeba to i po 12 godzin bez przerwy. I nie tylko dla pieniędzy, przez pieniądze można nawet popsuć ludzi. Teraz nie jest już u nas źle, korzystamy z Uchwały 130, z puli ministra też co nieco poleci. Przy podziale niewiele tego groza na jednego wypadnie, ale ważne jest, aby te 100, 200 zł dać szybko, bo odwlekane wypłaty tylko ludzi zniechęca. Pódezas nasilenia robót fachowcy — cieśle, zbrojarze, spawacze — zarabiali po 7, 8 a nawet 10 tys., ale kłopot z ludźmi są, nie dobor fachowców wciąż gnebi. Mówi o tym, gdzie o realizacji inwestycji decyduje człowiek. Ale nie bez zaniechania są inne czynniki. Wystarczy tylko popatrzeć na plac budowy...

Kiedy wieje wiatr, przez plac przevalają się tumany pyłu. Trudno oddychać. Ale ten pył nie z cementowni. To wożony przez teren budowlany do Warty I wapien: kół potężnych „Bielazów” miela go na mączkę, która przy lada podmuchu zamienia się w dławiacę w gardle pyłu. Po deszczu, a kiedy tam byłem, przez jakąś godzinę lało jak z cebra, przez się szara maź, trudna do usunięcia z ubrań i sprzętu. Dobrze, że Przedsiębiorstwo Transportowe Budownictwa Woj. Łódzkiego przemieszały koparkami i spychaczami milion metrów sześciennych ziemi, wykonało także porządkny ciąg dróg,

łącznie z tą główną, dojazdową, która wytrzymała chyba największe obciążenie w województwie podczas transportu sprzętu i materiałów budowlanych.

Budowa przyspieszona. Trudniejsza niż na Warcie I. Na szczęście dostawy konstrukcji napłynęły już niemal w komplecie. Trudniejsza, ponieważ obiekty wyższe i ściśnięte. Należy wykorzystywać odpowiedni sprzęt (np. dźwigi), zabezpieczać strefy zagrożenia, regulować ruchem w tym tłoku, synchronizować podejścia do robót podwykonawców. Jeśli budowlani nie zrobią pomieszczeń, to „Elektromontaż” nie wejdzie; nie będzie fundamentów — będążński „Mostostal” nie zacznie roboty.



Fot. Archiwum

Czasem sprawy formalne utrudniają robotę. Bywa, że zawieszają się gdzieś zamiana w dokumentacji, albo nie gra coś w projekcie i trzeba ściągać autora ze Szczecina.

Niespodzianki. Wysoko nad lasem biały, stumetrowy komin będzie w szare niebo. Nie będzie martwego, spopieliałego lasu, są przecież elektrofiltre. Kiedy robiono fundamenty pod ten komin, natrafiono podezas wierceń na zjawiska krasowe: skała, dziury, piasiek. Jeśli skała, to dobrze, ale to tylko klin skalny, głębiej piasiek. A więc dodatkowe wiercenia, poniżej 15 m powinien być grunt ściśły. Był rozluźniony, pustka, po prostu kawerna...

Albo te silosy wysokości 42 m. Fundamenty na 6-8 m. Dla umocnienia gruntu trzeba było wprowadzić kafar i bić kilkadziesiąt pali o średnicy 50 cm, długości 12-16 m. Bez tych pali grunt kłapie i z silosu robi się krzywa wieża w Pizie. Amerykanie też mieli takie numery z silosami...

— Z mechanizacją u nas jeszcze nie było — mówi Orłowski — ale to już nie to, co przy starej Warcie. Beton wozilo się taczakami, teraz, kiedy trzeba podać beton na większą odległość, ludzie drapią się za my się będziemy podać pod taczaki? Jeszcze nie najlepiej, ale mamy jeden z czterech w kraju, wykorzystywany zresztą co do minuty, cudowny dźwig samochoadowy o udźwignięciu ponad 100 ton. Będziemy nim teraz podnosić balustradę, łącząc piec z mynownią. Tak, dzięki maszynom ro-

boty, idzie szybciej, to się zauważa, patrzeć na plac budowy.

Chodzę po tym placu i myślę, że na trzydziestolecie wybudę się wreszcie kompleksu antytechnika. Pamiętam, że w programie szkół podstawowych na przykładzie Turoszowa dawano dzieciom wyobrażenie o ogromie socjalistycznej budowy: rury w kotłach, taśmociągi na kilometry, wysokość maszyn w przeliczeniu na pietra. Dziś można to wszystko znaleźć pod Działoszyń. Bo obok tych cygańskich wozów na kółkach, licznych pakamer i małych budyneczków, gdzie mieszczą się bazy podwykonawców, ten ogromny gmach (jakieś pięć wieżowców z Teoflowa) młynowni surowca i cementu oraz hali napędów. Fundament pod napęd, a jest ich sześć, zbudowany z 800 m sześć, betonu.

Dwadzieścia metrów nad ziemią stożkowate „bunkry” ze stali i te olbrzymie beby, w których niebawem zacznie grzechotać 20 ton metalowych „kulek”, jakimi miotają lekkatleci. Pod ziemią kanały na kable, tunele, którymi cement popłynie do 10 silosów.

Widok z dziesiątego piętra. Wieże pod transportery, lamiarz surowca, kilometry rur. Popływie tymi rurami podgrzewany mazut (odpady z produkcji ropy naftowej), bo nie miałem jak w Warcie I, lecz właśnie spalany mazutem będzie się wyprężać klinkier. Transportery niosące łęczyskie łupki, rury prowadzące i odprowadzające szlam z tych wielogachnych „beczek śmiechu”, czyli basenów szlamowych. Połączony z wapieniem szlam wypchnięty zostanie specjalnymi pompami do dwóch pieców.

Piec. Nachylona pod kątem 3° „rura” długości 185 m i średnicy 5 m. Mnie te wymiary już le dziwią, zwracam uwagę na co innego: pierścian łączący dwa kawałki takiej rury wazy, 86 ton, a silniki przy łożyskach tocznych — po 3 tony każdy. Te setki ton muszą się przecieć kłębici!

Piec wsparty jest na betonowych podporach, każdy wielkości piętrowej, silnej jak bunkier willi. Przy budowie tych podpór pracowali m. in. cieśla Władysław Ścigala, który jako pierwszy przyszedł na budowę z Orłowskim. Ścigala to jest taki facet, którego o nic nie trzeba prosić. Sam ściągnie ludzi do roboty w niedzielę; nie marudzi, nie mu nie przeszkadza, sam weźmie niwelator, rozmierzy i pociągnie robotę.

— Straszyl nas, że nie damy rady — śmieje się Ścigala — ale darowano nam drugą łagodną zimę i jesteśmy kawał do przodu. Przy tych podporach do pieców dostaliśmy jednak porządnie w kryzie! Robota szła na okrago, przez 24 godziny, w niedzielę też. Bez przerwy płynęła struga betonu, podawana w pojemnikach przez dźwigi, 15 tys. m sześć, beton, proszę pana. Ale ludzie się nie potamali. Dobry był. Kto? A choćby brгада Goronia, operatorzy dźwigów, np. Krzysztof Chwałkiewicz; miejscowi działoszyńscy, też się wyrabili, ci z obsługi węzłów betonarskich, murarze Józefa Wolnego, betoniarze Pawełka...

Wszedłem z Orłowskim do pieca. Niesamowite, ponure wrażenie: dudni głucho w tej rurze, kręci się w głowie, odległy wyłot pieca — mała, zamazana plamka światła. Doszedłem aż do miejsca, gdzie będą łańcuchy

kruszące surowiec. Do założenia tych łańcuchów trzeba zrobić 1,5 km spawów. Już teraz pomyślano o cyklicznych remontach, wyjaśnia inż. Orłowski, przygotowano hotel dla tych cyganów — remontowców, którzy razem z żonami wehdzą do gorącego jeszcze pieca.

20 lipca nikt już nie wejdzie do pieca. Piec rozpali się do 1400°C. Wszyscy twierdzą, że ruszy na pewno. Bo przecież mimo tych kłopotów, o których już było i jeszcze będzie, załoga powoli konsoliduje się i można na nią liczyć. Zżyli się i nie ma poważnych zgrzytów, najwyższe kolega kolede podbiera środki, bo każdy chce się pierwszy wyrobić.

Jest już nowe zaplecze „budowlanów”, miejscowi mówią — przychówek hotelowy. Zenili się chłopcy w Działoszyń z miejscowymi, inni pościągali żony z rodzinnych stron. Kiedy budowano „Syntex”, bryg. K. Malinowski dostał w Łowiczu mieszkanie, ale ożenił się w Działoszyń. Tutaj przyszła na świat córka, żona została w Łowiczu, mąż buduje Wartę II. Na stare smieci (był na Warcie I) wrócił wraz z rodziną, kierownik odcinka, Bogdan Konwerski; po pół roku ożenił się Kobuszewski, żonę ściągnął z Łęczycy, ma już syna, którego małżonka pokazuje w oknie, kiedy ojciec wyjeżdża na budowę. Mieszkają w hotelu, 2 pokoje z kuchnią, ale po „kwarantannie” dostaną własne mieszkanie.

W Działoszyń dorobili się syna, zwerbowani z Wrocławia inżynierstwo Janina i Jerzy Wolny; budujący młynownię technik Zaborowski co niedziela gna do żony w Łęczycę, inni oglądają się za miejscowymi pannami.

Trzeba przyznać, że stworzono ludziom, w miarę możliwości, jak najdogodniejsze warunki. Przyjeżdż do budowy widać kolorowe wille. To mieszkania awaryjne dla kadry. Na terenie dwa długie budynki sanitarne z pokojami śniadaniowymi, szatniami i natryskami dla 800 osób. Jest hotel, stołówka dla obu cementowni, bar, gdzie przywozi się potrawy z restauracji „Kosmiczna” w Działoszyń. Gorzej z wyżywieniem. Miasteczko powiększyło się o 2300 ludzi, którzy muszą dobrze zjeść. Kierownictwo zorganizowało spotkanie z wojewodą i I sekretarzem KW i udało się jakoś zwiększyć pulę o 30 ton mięsa miesięcznie. Z tym, że w punktach sprzedaży cementowni zaopatrują się również okoliczni mieszkańcy. GS ma kłopoty z obsadą, jeden kiosk podczas mojej bytności był zamknięty.

W Działoszyń stałe kino, zimpotam jak diabli, więc ci z budowy chodzą dwa razy w tygodniu na filmy we własnej sali kinowej; korzystają też z własnej kawiarni i świetlicy z dyskoteką i telewizorem.

Kiedy jest większa wypłata albo trzynastka, chłopaki dryfują, bo także jest życie. Zabawy we wsiach i wieczorki w świetlicy przesunęto na soboty, dzięki czemu w niedzielę także może dojść do siebie. Czasem trochę się poszarpią, przemycą panne do hotelu, ale ta legenda o pijaństwie już się kruszy, bo jak 2-3 razy w tygodniu zabradziały, to jest nie na tych 2300 ludzi. Gorzejnie wprawdzie działają wśród lasów, ale tym niech się martwi kto inny...

Kiedys Trębaczew protestował, że cementownia na jego gruntach, a nazywa się „Działoszyń”; władze powiatowe zaczęły stawiać bloki w Pajęcznie, żeby Działoszyń nie stał się większy. A dziś? 20 lipca ruszy pierwszy piec, pod koniec roku cała WARTA II, która w połączeniu z WARTĄ I stworzy potężny kombinat, dający 2300 tys. ton wysokiej jakości cementu. Naczelnik inżynier przedsiębiorstwa, Antoni Milanowski, będzie się martwił, aby ten cement był jak najlepszy. Tadeusz Orłowski?

— Poczuj się wtedy tak, jak po uzyskaniu dyplomu. Gdzie iść, co robić dalej? Ale, co tam, przecież czekają nowe budowy.

RYSZARD BINKOWSKI

TRZECI MECZ

Dokończenie ze str. 1

najbardziej ballśmy się, sądząc, że będzie to nasza klęska. I prawdą jest również to, że wszyscy uważaliśmy, iż z Haiti Polska wygra. A tymczasem Haitańczyk, lekceważeni również i przez Włochów, sprawili największą niespodziankę: do przerwy nie pozwolili sobie strzelić ani jednej bramki, a zaraz po przerwie, przez krótki czas, prowadzili z Włochami 1:0. Strzał Sanona na bramkę Zoffy miał również znaczenie psychologiczne. Sanon, zgodnie ze swoimi zapowiedziami, zmusił włoskiego bramkarza do kapitulacji, tego bramkarza, który przez przeszło tysiąc godzin meczów międzynarodowych nie dał się nikomu zaskoczyć i nie puścił ani jednej bramki.

W pilce nożnej zadufanie i pewnością siebie nie poplaka. Doświadczyl tego — podczas IV Mistrzostw Świata

w 1950 roku — Brazylijczycy. Wszyscy tak byli pewni zwycięstwa drużyny Brazylii, że dziennik „Cruzeiro”



wydrukował już numer, w którym na pierwszej stronie widniał ogromny tytuł: „Brazylia mistrzem świata”. Numer ten ukazał się przed decydującym finałowym spotkaniem z drużyną

Urugwaju. Przed głównym wejściem na stadion, gdzie rozgrywał się mecz finałowy, ustawiono sportowe samochody, przydzielone już dla poszczególnych zawodników brazylijskich. Była to również nagroda dziennika „Cruzeiro”. Oczywiście dla Brazylijczyków. Tymczasem Urugwaj pokonał Brazylię 2:1. Brazylijczycy nie tylko nie dostali samochodów, ale musieli skrzętnie się chować przed rozszereżnymi kibicami.

„Jeśli lekkatletykę określa się za szczytnym mianem królowej sportu — powiedział swego czasu prezydent Międzynarodowej Federacji Piłkarskiej, sir Stanley Rous — to monarcha popularności może być tylko futbol”. I rzeczywiście, ale głównie dzięki telewizji, dla której futbol, jak do tej pory, okazał się niezastąpionym widowiskiem. W ubiegłą sobotę przy odbiorach telewizyjnych śledziła nie tylko cała Polska, ale też wielomilionowa widownia w innych krajach. Niektóre telewizje, jak na przykład Związku Radzieckiego, Anglii, Danii nadały pełną transmisję z meczu Polska — Argentyna, choć tego dnia grali również Włoch, Bułgari, Szwedzi, Holendrzy, Haitańczyk i

Urugwajczy. Nas interesują przede wszystkim losy polskiej drużyny, stąd i powszechne zainteresowanie. Inne widowiska, których drużyny nie biorą udziału w mistrzostwach, interesują się przede wszystkim dobrym futbol. Niezwykle dokładna i punktualna telewizja duńska miała w czasie sobotniej transmisji do wyboru, albo przerwać połączenie ze Stuttgartem, albo spóźnić dziennik. I wybrała to drugie — spóźniono dziennik o 20 minut, aby pokazać cały mecz Polaków i Argentczyków.

Kiedy organizowano pierwsze w historii futbolu mistrzostwa świata, a było to w 1930 roku w Urugwaju, opinia publiczna przyjęła tę inicjatywę z wielkim sceptycyzmem. Po co spędzać drużyny z całego świata i kazać im walczyć, kiedy nikt tych drużyn nie zna — mówiono wtedy. Dopiero 253 107 dolarów zysku, jaki stał się udziałem organizatorów, przekonało wszystkich, że ten interes się opłaca. I tak się zaczęło. I oto mamy X Mistrzostwa Świata, które dzięki telewizji stały się ogólnoswiatową imprezą, ogladaną — jak się szacuje — przez przeszło miliard ludzi. Takiej widow-

ni nie miała do tej pory żadna dyscyplina sportowa.

Dziesiąte mistrzostwa dopiero się zaczęły i niezależnie od tego, jak się



potoczą losy naszej jedenastki, do 7 lipca będziemy mieli w programach TV dobry futbol. Kibice powinni pomyśleć także o własnej kondycji. Musi jej przecież starczyć do końca.

BOGDA MADEJ

ELŻBIETA
RÓŻAŃSKADWA
przebudzenia

Ty jeszcze w lesie snu zanurzasz
dłonie
i jeszcze nieodpartym pragnieniem
odwrotu
łowisz spojrzeniem w głąb powieki
dalekie mgłą zasnuwane horyzonty
marzeń

Ty jeszcze w lesie snu
lecz oto przypomnieniem nagłym
rozbudzony
wnosisz ramiona ponad ziemią i
trzepoczący
skrzydłami rżęs w powietrze uwielony
motyl
chwytny swój pierwszy oddech — na
rozsuniecie światów

A sen różowy ze śmiechem jasnym
pryska
wracasz powoli w żnienach światłem
zimnym sążone milczenie
maleje w Tobie groźba snu tego
przykazania prawdy odarte na zawsze
z jednoznaczności

Jesteś już tutaj — jeszcze pulsujące
odbite tonów dzwinków z oddalenia
unoszą się nad Tobą chochliki
przesmutne
już z twarzą gotową
przywołujesz pamięcią barometr
nastrojów

Ty jeszcze w lesie snu zanurzasz dłonie
i nad dachami domów żeglując
malowane lustro spokoju przenikasz
gdy nagle wpadasz z trzaskiem w
rozdzwoniony komin
tarczę budzika zasłaniając

WRÓŻBA
CYGANKI

Gdy kiedyś będziesz potrzebował tak
ciszy
jak ja w milionie imion wyglądając
fresków twarzy znikających
przeplatających uśmiechów
rozmów gasnących w świetle dnia
zwykłego
gdy kiedyś będziesz potrzebował tak
ciszy
jak ja nieomyślnie logice wydarzeń
ucieczkę
gdy nawet zwykłe nazwanie rzeczy
sprawia ból
a oczy przyjaciół niezmienione zakryte
powiekami fałszu
i ciężka głowa pękająca nigdy nie
obnaży
ich rzeczywistego wyrazu

Gdy kiedyś będziesz tak samotny jak
myślisz
że jesteś a zniechęcenie którym
napawa Cię
codzienną wypelnia Twoją
gęstniejącą lekkiem
i w świadomości płonące sylaby
zaczyna dogasać
sykiem mokrym a Ty nie wydasz z
siebie głosu
na obojętność własnej twarzy aż do
chwili
ostatniej która będzie
okrucieństwo potwierdzeniem
jak tyłko powierzoną prawdę

Pomyśl o możliwościach i ograniczeniach
przypisanych każdemu
i przestań szarpać struny ciszy, która
jest większa od Ciebie

nie wierze Ci
Twoje cierpienie nie jest prawdziwe
zbyt chętnie o nim mówisz
nie stałeś nigdy nad przeszkłą
trumną
skaczący w przepaść
i nie jesteś stąd wcale daleko
to życie przepływa przez Twoje
dłonie
to świat odbity w wodzie Twoich słów.



KOŚCIOŁY

Ludzie wchodzą do pustych kościołów
a w kościołach tylko świece — i Bóg
mówią szepcąc milną wół słowa
zasłaniają oczy zaciągając

I stawiają mitom pomniki
wierzą ciągle w jakiś cud

Czasem w długie i puste ulice
kroki mierzą i leczą i zstanki
brudne domy wyłuplastości
zagradzają na drogę na Księżyc

A ten nie jest już srebrny lecz siwy
szczyty zębów spróchniałe ku Ziemi
ludzie chodzą z cieniami swoimi
ludzie mokną deszczem popłatani

Czasem wchodzą do pustych kościołów
a w kościołach tylko świece — i Bóg
w krzywe lustra święci spoglądają
z nieba popiół śnieży się do stóp.

Kupiony przez Marię budzik, nleżym
się właściwie nie różnił od tysięcy in-
nych budzików, produkowanych seryj-
nie przez wielką fabrykę — był jednak
inny. Miał dużą, prostokątną tarczę,
czyli tak zwany „cyferblat”, szeroką
podstawę i fosforyzowane cyfry. Sto-
jąc wśród innych budzików tej serii,
mógł być w ogóle niedostrzeżony, a
jednak... Jego historia zaczęła się już
w sklepie — ale do rzeczy i po kolei.

Był rok 1941 — okres największych
chyba triumfów hitlerizmu w Europie.
Zbliżała się zima, wieczory wydłużały
się, trzeba było wcześniej wstawać, a
tu jak na złość popsuł się stary, wy-
służony budzik. Nie było innej rady,
należało kupić nowy. Maria niechętnie
myślała o kupnie niemieckiego zegarka.
Bez namysłu nabyłaby ostatni nawet
gruchot — byle nie niemiecki. Niestety,
wbrew handlowym talentom i wcale
szerokim stosunkom, nie zdobyła „pol-
skiego” budzika, toteż rada nie rada,
zdecydowała się w końcu na niemiecki.
W sklepie rudolfa Freulein pokaza-
ła aż cztery różne zegarki i szwar-
gocząc z wyniosłością nadzwyczajną, za-
pakała Marii Deutsches Erzeugnis w
skrawek papieru. Po czym dając do
rozumienia, że ma już dość rozmowy
„mitt den Polaken” odwróciła się ty-
łem.

Dopiero w domu okazało się, że
Maria otrzymała nie ten zegarek któ-
ry wybrała. Co więcej — ten właśnie
szczególnie jej się nie podobał. Z pew-
nością poszaby wymienić zakupiony
towar, zrezygnowała jednak wobec
faktu, że w sklepie trzeba było mówić
po niemiecku, (wszak to Warthegau —
Litzmannstadt), a ten język jakoś nie
bardzo chciał Marii przechodzić przez
gardło; co najwyżej pojedyncze, krót-
kie zdania. Świetnie czytała po nie-
miecku, wspaniale pisała gotykiem —
nie mogła jednak mówić. Nazłorzeczy-
ła więc po swojemu „szwabskiej kuch-
cie” i w ten sposób budzik, który naj-
wyraźniej wybrał sobie Marię, pozostał
w domu. Tak właśnie on, bo też wcale
nie była to złośliwość niemieckiej eks-
pedientki, a sprawa budzika. Najwi-
doczniej uznał, że oto zjawila się isto-
ta, której on powinien służyć, więc
niepostrzeżenie wkładł się ekspedient-
ce pod rękę, bo on... bo ja wiem, chy-
ba miał duszę... Jego norderkie kółka,
kręcące się z piekielnie germańską dok-
ładnością, miały duszę i to słowiańską
duszę. Służył wiernie Marii tykając
całkiem po polsku. Słowa jakie zegar-
ek powtarzał nieustraszenie, nie były
zbyt budujące, ale rzeczywiście polskie.
Trudno było odmówić Marii racji, sły-
sząc miarowe:
„...parobek, parobek — dziwka, dziwka,
dziwka...”

Nie koniec jednak na tym. Budzik,
jak powiedziałem poprzednio, służył
wiernie Marii i jak mógł doradzał
lub ostrzegał powtarzając: „...Uwaga,
Uwaga — dzisiaj, dzisiaj, dzisiaj...” lub
„...jutro, jutro, jutro...” a nigdy się nie
pomylił.

Wkrótce Maria i jej chłopcy — Olek
i Andrzej, przyzwyczaili się do budzi-
ka — ba, pokochali go i mówiąc „nasz
budzik” robili to z takim pietyzmem,
jak gdyby był on członkiem rodziny —
no był nim chyba naprawdę...
Maria, czterdziestoletnia, zewnętrznie
niezbyt wyróżniająca się kobieta,
(zupenie jak jej budzik), górowała nad
innymi, charakterem i uczynnością. Nie
odznaczała się nadmierną łuszą, ani też
zbyt chudością; była, jak to się mó-
wi „taka sobie”... nade wszystko jednak
miała głowę na karku i rasowy profil.
Przytępiła to sprawiły, że Maria
należała do tych nielicznych w Łodzi
osób, którym jakimś cudem udało się
wymknąć spod okupacyjnej kurateli,
tak że po ostatecznej wpadce, przy
opuszczeniu wzięcia w Ostrowie
Wielkopolskim, zakuty, faszystowski
skryba napisał jej na wiecznym zwol-
nieniu: „Sofort am Arbeitsamt melden”,
choć Lódź była już wolna.

Maria, jak to chyba łatwo przewi-
dzić, trudniła się szmugłem. Nie był
to jakiś wielki szmugiel, raczej taki
sobie szmugielek i być może właśnie
dlatego udało jej się spędzić prawie
całą wojnę na tym szmugielku.

Kiedy w 1940 roku wezwano ją do
Arbeitsamtu, urzędniczka zwróciła
uwagę na jej niemieckie nazwisko.
— Jak się pani nazywa? — spytała
dla pewności.

— Maria Wagner —
— czemu pani nie pracuje, pani Wagne-
ner? — pytała dalej urzędowym tonem.

— Jestem na utrzymaniu męża — od-
parła Maria.

— Jak to męża? — zirytowała się
urzędniczka — czy pani jest Niemką?

— Oczywiście! — wpadła w ton
Maria.

— no, tittak... — wykręcała zbita z
tropu Niemka — czemu jednak okazu-
je pani zaświadczenie tożsamości,
że jest pani Polką?

— o! proszę pani! — zniecierpliwiła
się Maria — zatwierdziłem w tej chwili
formalności, to kwestia dni... mój mąż
przebywa obecnie w Berlinie, pracuje
w ministerstwie (?!)... pani nie słysza-
ła? Heinz Wagner... — i doprawdy...
— ależ drobnostka, już zatwierdziłem...
oczywiście pani nie musi pracować...
Heinz Wagner!... — papiała urzędnicz-
ka i uśmiechając się przyłożyła stem-
pel. Po czym zebrała rozłożone świstki,
wrzuciła je do teczek opatrzonej kryp-
tonimem „Maril Wagner” i cisnęła z
rozмахem na najwyższą półkę regułu.

— Niech leża do sadnego dnia — do-
dała: na koniec, z wyszukana urzecz-
nością pożegnała Marię, odprowadzając
ją do drzwi.

A szmugielek kwitł. Przynajmniej
raz w tygodniu Maria, ubrojona w
kilka zmyślnie wyręczyerowanych pa-
czek, wyjeżdżała na wieś. Ubrana w
nieodzwonne pluszowe palto lub jasny
prochowiec i modny wówczas turban
na głowie — miała tak niepospolite
szwabski wygląd, że przeciętnemu żan-
darmowi nie przyszło nawet do głowy,
że taka „Nordische Mutti”, to naj-
zwyklejsza w świecie mama i to o tak
rogałej, słowiańskiej duszy, że i sa-
mego Hitlera na rogi wzięć gotowa.

Paczki Marii, to wcale nie paczki.
Były to po prostu dwa wiadra po mar-
moladzie, przewiązane pośrodku sznur-
kiem i przerzucone przez ramię, w
których zawsze na wierzchu tkwiło kilka
prostych, kupionych w sklepie za-
bawek — a na wierzchu całosci dopel-
niał budzik; jej budzik. Zwykle pod-
ręczna siatka, w której puszył się

„Volkischer Beobachter” lub „Adler”,
stanowiąca uzupełnienie wyposażenia.
Tradycyjnie, najcenniejszy, szmuklowa-
ny na wieś towar, zawinięty w ręcznik
lub cienki papier, znajdował się wła-
śnie w siatce. Marię kilkakrotnie po-
dawano rewizji, jednak w siatce nigdy,
nikt, niczego nie szukał: natomiast we
wiadrach towar był tak niewinny, że
z łatwością można było się wytłuma-
czyć.

Mieszkając na głębokim przedmieściu
Łodzi, Maria przemyciała jakoś do pod-
miejskiego tramwaju. Oświadczyła
głośno: „Ein mal nach Pabianie” i po
godzinie jazdy wkraczała na „zieloną
drogę”. Na koniec, przemierzwszy trzy-
dzieści kilka kilometrów piechotą, la-
dowała u celu podróży.

Początkowo budzik zostawał w domu,
lecz kiedy był całkiem sam, działał się
rzecz najdziwniejsza — budzik po prostu
stawał. Kiedy jednak Maria z chłop-
cami wracała ze wsi, w momencie
przekraczania progu budzik ruszał i
szedł normalnie dalej; oczywiście prze-
pisową ilość godzin. Była to okazja
do specjalnych pieszo, jakimi obda-
rowywano niezwykły czasomierz, a ten
uradowany tykał: „...kochani, kochani —
razem, razem, razem...”. Po kilku ta-
kich zdarzeniach, Maria postanowiła
wspólnie z chłopcami, że „nasz budzik”
nie może zostawać sam w domu, bo
najwyraźniej tęskni za nimi i ośdał
zabierała go zawsze ze sobą — zresztą
nie posiadała in ego zegarka i budzik
z powodzeniem zastępował wytworne-
go „Schaffhausena”.

Zdarzyło się raz Marii przeżyć go-
dę — jakich jej zresztą nie brako-
wało — wszak jej życie w okupacyj-
nym świecie, to nieprzerwane pasmo
przygód, igrania z ogniem i sytuacji



Rys. A. Grun

w jakich ma się dusze na ramieniu. Do
dziś Maria — siedemdziesięcioletnia
już babcia — ma lewe ramię niższe,
bo jakże często nosiła na nim swą du-
szę.

Będąc w wsi, hen u kresu „Zielonej
drogi” w Łobudziach, wybierała się
właśnie z zapasem prowinion do do-
mu, czyli do głodnej Łodzi. Nocowała
w ubogiej chatce „Na kurzej noż”,
z data od zabudowań wsi — tam było
najbezpieczniej, tym bardziej że z
górną sto metrów dalej rozciągał się
zielony, sosnowy las.

W izbie panował mrok, tylko ma-
lenkie okienko majaczące niewyraź-
nym zarysem. Maria otworzyła oczy i
machinalnie sięgnęła po budzik. Dłu-
sza chwilę wodziła ręką po krześle
obok łóżka, aż dotknęła chłodnego me-
talu. Spoglądała na fosforyzowaną tarczę,
wpatrując się zaspasnym wzrokiem, prze-
kręca zegarek i to w prawo, i to w le-
wo, przecierała oczy... tak, nie ma wą-
pliwości — budzik nie zadzwonił o
pierwszej.

— Oj! zaspasła — szeptała Maria —
co by to było, jak bym się nie obu-
dziła sama... przecież rano muszę być
w domu... ludzie czekają... — o! co ty
zrobiłaś!... Ale Maria już wybiegła bu-
dzikowi. Podniosła się i siadając na
pościeli zapaliła naftową lampę. Łóżko
z każdym jej ruchem skrzypiło bezłito-
śnie, lecz czas nagli. Po drugiej za-
czynna się rozwidniać, a tu jest już
piętnaście po pierwszej. Oczywiście, ko-
ło gminy w Bujnach Szlacheckich naj-
lepiej przemknąć po ciemku.

Maria zamysłała się chwilę wpatrując
się w płomień lampy. Dziś musi się
ubrać nie tylko w te suknie, która ja
zawycają do wsi. W ubogim wiejskim
kredensie czeka specjalnie przygotowany
osobliwy serdak, „uszty” z płatów
stoniny o łącznej wadze dwa kilogramy
z przechodem. A i wiadra pod warst-
wą zebranych na rowach drobnych
grzybków, zawierają sześćdziesiąt sztuk
jaj „winietowych” w papierki i zabezpie-
czonych igliwem, oraz trzy spore oselki
masła; nie licząc dwóch kurczaków i
przyzwolonej porcji wiewprzowej raban-
ki.

Maria zrywa się szybko, aby spełnić
narzucony sobie obowiązek, a łóżko
protestuje akordem skrzypień i trzas-
ków.

— Pani już wstaje? — pyta wyrwa-
na ze snu gospodyni, przy akompania-
mencie skrzypienia własnego łóżka. —
pani poczeka, pomogę pani wstać tę
„łusztą koszulę” — dodaje — i nawet
cień wesołości nie brzmie w jej głowie,
po prostu — „łusztą koszulę” i koniec.

Tymczasem Maria, nuciąc jakąś pio-
senkę z dawnych lat, uwiija się przy
swoim ekwipunku; gospodyni jest już
przy niej.

— Pani uważa — mówi płaczliwym
głosem — pani uważa kolo gminy, o
mój Boże, pani...
— ja uważam — zapewnia ją Maria

— ja zawsze uważam... bo widzi pani,
Niemcy zachowują się hałaśliwie, jesz-
cze są odważni... na razie się nie boją...
— o! jak to pani mówi... i tak gło-
śno — zauważa gospodyni i mimowoli
znika głos do szeptu — nie boją się
psie krwinki...

Alle o! Maria jest już gotowa —
całe przygotowanie trwało zaledwie
pięć—sześć minut. Ubrana w jasny pro-
chowiec, wygląda jak duch. Przerzuca
przez ramię wiadra i kierując się do
drzwi mówi:

— no w drogę... do widzenia!...

Po przekroczeniu progu Maria, mimo
jasnego płaszcza, rozplywa się w ciem-
ności jak kropla mleka w atramentcie.
Obuta w tenisówki, nieomal bezszele-
stnie przemierza szybkim krokiem pola
i łąki, aż do końca drogi.

Jest ciepła, letnia noc. Szum sosno-
wych gałęzi brzmi spokojnie — ko-
jaco... ale jak młodo jest w lesie, nawet
noca. Płazzyście podłożę jest mickie
jak poduszka, gdzieś tam tylko
tętnie pod stopa gałązka. Maria, ma-
szerując cały czas na północ, wprost
do traktu, instynktownie odnajduje
ścieżkę.

Jest ciemno, lecz ciemność jest
sprzyjniejsza „ręce aprowizacji”.
Co prawda są to ręce przez male
„r”, lub może właściwie byłoby okre-
ślenie — ciury, ale ich rola w zaopat-
rzeniu jest zbawienia dla Łodzi. Gdyby
nie ręce — ciury, zwani tak po pro-
stu, gwarowo szmuglerami, uprawiają-
cy swój proceder pod osłoną nocy, ży-
cie w mieście byłoby dla wielu ludzi
udręką — byłoby wprost powolnym ko-
naniem z głodu.

Wrog przesładował wszystkich, którzy
kupowali, lub sprzedawali żywność „na
lewo”. I tak zdarzyło się, że żandarmi

strzeżę, ale wyraźnie słyszy, że ktoś
biegnie w polu, zmierzając w kierun-
ku zamieszkałych przez Polaków za-
budowań. Odnajduje ścieżkę i jedzie
także w kierunku wioski, znacząc dro-
gę światłem reflektora.

Maria przyspiesza, tym bardziej, że
udało jej się nareszcie przebrać za-
orany traktorem łan. Kilkadziesiąt me-
trów biegu i przypada dysząc do zabu-
dowań wioski. Jest cisza, słyszy tylko
walenie własnego serca.

Zbliżając się do jakiegokolwiek, nie-
znanej nawet wioski, można było z góry
zorientować się kto w niej mieszka;
skoro bowiem w zagrodzie odczuwał się
pies, wiadomo było, że tam zamieszku-
je Niemiec.

Maria wie o tym doskonale, toteż z
zaufaniem przylżyła się do twardego
desek stodoły. Ale jej przesładowca
jest tuż i pospiesznie przeskakuje za-
budowania. Nie znalazłszy jednak ni-
kogo wskakuje na rower i pedzi do
przodu. Oczywiście Maria nie czeka.
Potężnym zamachem wazyła wiadra
na ramię i biegnie wzdłuż wioski za
opłotkami, potem droga, która ukosem
prowadzi na lewo, z powrotem do
traktu. Lecz oto i Niemiec, świecąc
swoim reflektorem, pedzi połą drogą
w stronę traktu i wreszcie w smudze
światła dostrzega bielejącą postać. Zbli-
ża się, dochodzi. Jest 50 metrów w
tyle... trzydzieści... dwadzieścia... no je-
szcze chwila.

Maria dysząc ciężko dobiega do traktu
i przeskakuje go kilkoma krokami,
by zniknąć między zabudowaniami po
przeciwnej stronie. Przebiega podwór-
cie i dopada stojącej za oborą ubikacji;
cofa się jednak przeczucie.

— Nie tutaj nie wolno — szepta.
Staje więc za stodołą, wstrzymuje od-
dech i czeka. Trwa to chwilę, rozpę-
dzone Niemiec zostawia w rowie swój
rower i walać połyne susy wpada na
podwórze — kieruje się wprost do
ubikacji za oborą. Otwiera z wściek-
łością drzwi i natychmiast zamyka je
z trzaskiem, klnąc przy tym siarę, siarę.

W międzyczasie Maria nie zasy-
pa gruszek w popiele, zaciaga jednym ru-
chem ręki jasny płaszcz i okrzykując
stodołę, przysiadła w krzakach bzu nad
rowem. Jej przesładowca jest całkiem
zdezorientowany. Tu i ówdzie słychać
tupot jego nóg, lecz za chwilę wypada
na trakt. Chwyta rower, dobiega do
jednym skokiem i rwie do przodu jak
huragan.

Maria wyciąga wszystkie siły. Prze-
biega drewniany most, gdzie lekkie
dudnienie znaczy jej każdy krok. —
Przedziej, przedziej!... jeszcze 200 metrów
do skrzyżowania... byle nie zostać
w tyle, nie zostać... jeszcze trochę... jesz-
cze 150 metrów.

Niemiec jest już na skrzyżowaniu.
Gwałtownie skręca w prawo — jego
reflektor przesuwają się, jak złowrogie
widmo, po stojących rzędem zagrodach,
aż zatrzymuje się przed okazałym bu-
dynkiem. Wiem pisk hamulca przesy-
wa nocną ciszę. Świdruje Marię w
uszy, przenika dreszczem jej plecy.
Za chwilę, w zbuzona już ciszy nocy,
wziera się chrapliwy wrzask:
— Wilhelm, steh auf sofort!... Wilhelm,
schnell — mach auf!...

Rozlega się basowe ujadanie psów,
które dopelnia grozy.
Maria ciężko bierze napróżd. Gwiaz-
dy wyprawiają jakiś diabelski tan
wśród wierzchołków drzew — w pra-
wo — i w kółko, w lewo — i w kół-
ko... Władzka wypelnione są chyba
olowiem... — O Boże, jak mi ciężko!
— skarży się Maria żalownie — o Bo-
że... jeszcze, jeszcze trochę!...

Jej oddech jest ciężki — to już jęk,
pomieszany z rżeniem. Serce ogłusza
łomotem; za chwilę zebra ustapia i
ból rozdzierający pierś wyjdzie w
ciemność, posybuje cichą skargą w
świat... Jeszcze 80 metrów... jak to —
daleko... Skrzyżowanie już widać, mi-
mo ciemności... a może to już świat?..
Jeszcze 50 metrów... przedziej, przedziej!..
— Muszę zdążyć — szepce Maria wy-
szeptanymi ustami — muszę!...

Zagroda Wilhelma rozbłysła światła-
mi — tumult rośnie. — Wolfram, wa-
rum?! — drze się zaspasny Wilhelm —
was?... Jawohl!

Oul, oul, oul... powtarza echo wielo-
krotnie. Ale oto Maria dobiega wreszcie
do skrzyżowania. Z niesłychanym tru-
dem unosi stopy, chwile się; cale no-
gi ma jak z waty. Pot strugami zalewa
czoło, skleja włosy, grzyzie w oczy,
przypieka koszulę do ciała... Język su-
chy, usta spieczone; tylko rytmiczny
jęk, wydobywający się z głębi obolałej
niery, znaczy wszelkie każdego kroku.
Wyrzeczono oczy widzą dom na
skrzyżowaniu... — Nareszcie! — wzbija
się w niebo ciche westchnienie ulgi.

Maria zwalnia nieco kroku i tuż za
rozwaga zagrodą, zalebia się w łan
żytia. Jeszcze kawałek biegnie, potem
zwalnia jeszcze bardziej i szybkim,
choć ciężkim krokiem przesuwa się do
przodu. W kołach zruca z ramion
ciężkie wiadra i kładzie się wśród żyta
aby odoczek.

— No, jakoś zdążyłam — mówi do
siebie, dysząc jeszcze. Lecz w tej chwi-
li, nowa fala wrzasków w zagrodzie
Wilhelma zwraca jej uwagę.
— Adolf!... Rudolf!... Wilhelm!... —
Wolfram — hier!...

— Oho, pewnie zakładają portki a
uśmiecha się Maria do siebie — ale się
bada mieli z przysną, jak mnie tak ze
dwa dni będą szukać.

Odnocząwszy nieco, unosi ostrożnie
głowę, ponad kółzyska się lekko kłórkę
i dostrzega w porannej zorzy czwórkę
Niemców wsiadających na rowery. Pe-
daluja zawzięcie; tłuste łby trzymają
sztywno zadarte do góry — jak szar-
żujące odwice. Dojeżdżają do skrzyżo-
wania i skręcają w lewo, w kierunku
gminy. Jada do niebezpiecznej zagrody,
gdzie chcą złapać białą zającę, a ta,
siedząc w żywcu, ścisła w reku swój
budzik, wsłuchując się w jego szcze-
biot.

— mówilem, mówilem — czekał, cze-
kał, czekał...
— ostrożnie, ostrożnie — Niemiec,
Niemiec, Niemiec...

Maria ogłada się za siebie. Niecałe
pół kilometra dalej wiatrak rozpostarł
swoje śmigło. Prawie tuż za nim, szumi
czarna ściana jakże przyjaznego lasu —
a tam „Zielona Droga”.

JERZY MARCHOWIECKI

...że ktoś
w kierun-
olaków za-
kę i jedzie
naczać dro-
ardziej, że
echnąć za-
iesiąt met-
e do zabu-
yższy tylko

...wiek, nie-
było z góry
i mieszka;
deżwał się
zamieszku-

...le, toteż z
twardych
zesładowca
ukule za-
adnak ni-
pedzi do
nie czeka,
nie wiadra
wioski za
a ukosem
wrotem do
świeca
ina droga
na smudze
stać. Zbli-
nietrów w
... no je-

...do trak-
krokami,
niami po
podwórze
ubikacji;

...szepce,
muje ode-
e, rozpe-
wie swój
wpada na
prost do
wsieck-

...myka je
arczyście,
zaspia
nym ru-
rażwszy
by nad
calkiem
stychać
wypada
łada go
rodu jak

...Prze-
lekkie
krok. —
metrów
ostać w
... Jesz-

...łowaniu,
— jego
łowrogie
grodach,
ym bu-
przeszy-
lari w
plecy,
noca,

...Wilhelm,
psów,

...Gwiaz-
tan
pr-
kó-
chyba
ciechła
o Bo-

...uż jek,
ogłusza
łapia i
zie w
rzą w
to —
6, mi-
swit?...
drzej...
ła wy-

...wiatła-
r, wa-
elm —

...wielo-
reszcie
n tru-
le no-
alewa
ocy,
n su-
iczny
oletej
kroku,
a na
związ-
łci.

...uż za
lan
notem
błkim,
le do
umion
żyła

...ł do
chwł-
odzie

...ki —
e się
k ze

...ożnie
kłosy
órke
Pe-
maja
szar-
czy-
nku
ody,
ta, i
swój
czę-

...cze-
niej,
niej,
całe
stari
umi
a —

Kilka ulic w bok od tętniącego ruchem i gwarem, od rozplamionego barwną feerią neonów Kärntnerstrasse i Opernring, można wejść do pierwszej lepszej starej wiedeńskiej winiarni, gdzie pije się jak za dawnych czasów „heuriger” — młode wino z ostatniej jesieni, moszcz z okolicznych winnic, z Grinzingu, Nussdorfu, Sieweringu czy Klosterneuburgu.

Duży zegar ścienny dzwoni melodyjnie. Dłgie stoły stoją tylko pod ścianami, przy nich ławy. Wszystko jest tu „gemutlich”. Sufit w gospodzie sklepiony, ze ścian sterzą jelenie rogi. Gospodyni, podawszy mi wino i zamienivszy towarzysko kilka zdań, powraca do gości, z którymi familiarnie rozmawia, robiąc równocześnie robotę na drutach.

Mała dziewczynka wbiega z ulicy — dzwonek u drzwi dźwięczy — niesie szklaną „halbe”, sama sobie nalewa piwo z kurka, zostawia pieniądze na ladzie i wynosi kufel nastrożony pianą. Wszedł skrzypek wędrowny i gra walca. Pojem zbiera datki, zamieniając przygodne żarty. Zegar wybija głośno godzinę, ale czas zdaje się tutaj nie dochodzić.

W POKOJU SCHUBERTA

Mieszkał na Nussdorfstrasse w empirowym domku. Kilka pokoiów zamienionych na muzeum. Fotografie w gronie rodzinnym, w przyjacielskim kole, z nieśmiałych zabaw z pannami, muzyki przy fortepianie. Wąska alkoła, w której się urodził. Ładne mebelki, sekretarzyk jak wieżyczka i nuty — pisane delikatnie, równo, czysto.

Zapada zmierzch. Zda się, że poruszył się cień z wysokim kołnierzem. Milczy szpinet. Ale przewija się echem nieodparcie „Ständchen”, „Estrag”, marsz jaskowy, „Rosamunda”, i znowu serenada, „Pieśń pastuska na skale”, polotne momenta musicale, „Niedokończona Symfonia”, którą czas dokonał...

NAJLEPSZA ZONA

Na bardzo ruchliwym trakcie, idąc spod Uniwersytetu i Ratusza przez Schottengasse spostrzega się niepokojąco kosiół Augustynów, stary, z XIV w., w którym jest pomnik, wystawiony dobrej żonie. Dziewczęta wiedeńskie są wesole i swobodne, a żony oddane i pracowite. Najlepszym dowodem byłby na to ten pomnik, jeden z najpiękniejszych w Wiedniu, sławiący dobrą żonę. Tylko, że to było dawno.

Arcyksiężniczka Maria Krystyna umarła przy końcu XVIII wieku, a małżonkiem wystawił jej zrozpaczony mąż, książę Albrecht von Sachsen-Tesch. Monument wykonał Canova. Zrozpaczony mąż chciał w sztuce odnaleźć zapomnienie, nie mogąc zrozumieć, dlaczego odeszła żona, która była jego szczęściem. Nad drzwiami grobowca kazal wyrzeć prosty napis:

„Ukorii optime — Albertus”. Najlepszey żonie — Albert.

WESOLY AUGUSTYN

U wejścia do Prateru, dzielnicy wszelkiej wesołości, wznosi się słynny Riesenrad, olbrzymie koło z wagonikami, wysoki na 84 m. Jak wiadomo był to pomysł amerykańskiego inżyniera, Waltera Bascetta, jako atrakcja Wystawy Powszechnej w Buffalo, gdzie miał stanowić odpowiednik wieży Eiffla z Wystawy Paryskiej i został potem zakupiony przez Wiedeń.

Wkrótce stał się ulubieńcem Wiednia i zarazem prądziadkiem wszystkich ulicznych pieśniarzy wiedeńskich. Doszło do tego, że gdzie się pojawiał, zaraz schodziło się coraz więcej gości, których nierzadko gośpoda nie mogła już pomieścić. Piosenkarz produkował się codziennie w innej piwnicy, jak nazywano traktierne, bo też zazwyczaj mieściły się w lokalu piwnicznym. Przechadzając się z winem i winem.

Sprytne właścicielki jednego z synku, Ulrich Puffen, zdołał go przez szczywanę pochlęstwa i nekata kdeska namówić, aby wstąpił na niego dwa razy w tygodniu. Robił na tym dobry interes. Rozmawiano

bowiem we włości Augustyn nie lubił niczym się kłopotować, ale Puffen polł go przy tym tak szczerze, że wesoly Augustyn po prześpiwaniu nocy nierzadko dobiegał do pomocy usłużnych koleżków zdołał dotrzeć do swojego mieszkania.

Tymczasem w roku 1879 w Wiedniu wybuchła zaraza. W przeciągu trzech miesięcy padło na dżumę tysiąc ludzi. Kto tylko mógł, uciekał z miasta, które podobne było do domu żałoby. Komu się wiedzieć chciało myśleć o rozrywkach, raczej słuchano kazań słynnego kaznodziei, ojca Abrahama w kościele św. Klary.

Nawet ci, którzy zachodzili do gospody, aby zalać robaka, nie mieli już ochoty słuchać piosenek i żartów Augustyna. Także wyszedł zakaz schodzenia się w oberżach, ale Augustyn po kryjce produkował się u Puffena przy znikomej ilości słuchaczy. Znowu bieda zadrzała mu w oczy, stał się skwaszony i mruklivy i jedynie podpijał sobie więcej jeszcze niż dawniej z tej zgrzyoty, a kredyt u Puffena miał zapewniony. Sprytny właściciel piwnicy „Pod czerwonym daszkiem” nie zapomniał o dawnych dobrych czasach i użyczył Augustynowi, któremu zawdzięczał swój dobrobyt. Pomyslał też o tym, że zaraza minie i znowu będzie

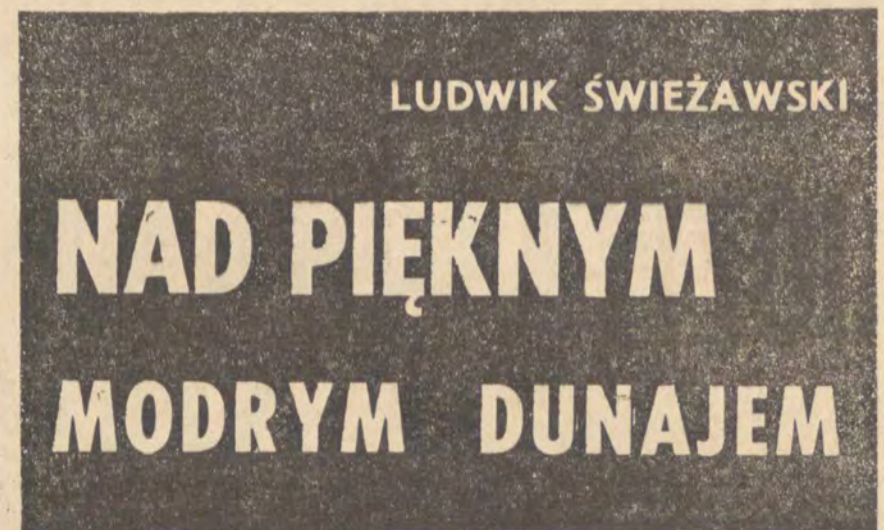
szy się poznał z przerażeniem, że leży w dole grobowym, jeszcze nie zasypianym, posród wielu zmarłych na dżumę. Z całego gardła zaczął wrzeszczeć o pomoc. Doł z zadumionymi umarlakami był poza murami miasta, a był zbyt głęboki, aby się mógł z niego wydobyć. Nieprędko pojawili się grabarze, którzy wrzeszcząc wyłazli z wielką siłą z okropnej sypani.

Można by sądzić, że biedak zaraził się dżumą po tej nieszczytnej nocy. Ale gdzie tam! Nie mu się nie stało, nie zaszkodziło to ani jego zdrowiu, ani silnym nerwom. Nawet opowiadał o swojej przegodzie z roześmianą gębą, a współczucie i dziwienie słuchaczy znowu zaczynało mu przynosić dochody. Już teraz w wesołym usposobieniu przeżywał czas dżumy, a kiedy zaraza minęła, śpiewał swoje piosenki z nowym zapalem, a szczególnie ulubioną:

Ach, mój miły Augustynie...

„NAD PIĘKNYM, MODRYM DUNAJEM”

Prawie sto lat dobiega, gdy Johann Strauss — junior ułożył walc „Über schönen, blauen Donau” i odniósł wielo-



LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

NAD PIĘKNYM MODRYM DUNAJEM

mół czerpał dochody z wesołego piosenkarza. A ostatecznie w tak krytycznym czasie przyjemnie było mieć choć jednego kompana, który nie narzekał ustawicznie, tak że nierzadko w dwóch tylko szuflach położył w trunku w wydłubionym lokalu.

Jednego wieczoru Augustyn podniósł się do szklanicy całkiem zadowolony i wybrał się do domu. Stracił jednak całkiem orientację, świeże powietrze jeszcze bardziej zamęciło jego świadomość. Potykając się co krok i zataczając na wszystkich strony nucił sobie swoją ulubioną piosenkę, którą ułożył o sobie i którą witał go w gospodach, gdy się pojawił w dobrych czasach.

Ach, mój miły Augustynie!
Jesteś chwat, pój sto lat!
Ach, mój miły Augustynie,
kiedy ci rad.

Szedł dalej chwiejnym krokiem i śpiewał coraz głośniejszym głosem: „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

Ach, mój miły Augustynie!
Ios ciężki, trzost pusty.
Ach, mój miły Augustynie,
już nie ma nic...

Uparcie powtarzał swoją piosenkę, znajdując snad w tym wielką ulgę, gdy nagle poczuł, że ziemia ułwa mu się pod nogami. Spadł gdzieś głęboko, ale nie potulł się, bo znalazł się na jakimś miękkim pościu i uważając, że jest mu zupełnie wygodnie, nie troszcząc się już o nic, zasnął smacznie. Kiedy go zimny brząsk dzienny obudził ze snu, rozjeżdżaw-

dyfny walc popłynął przez wszystkie sale zabaw, przez salony i skromne pokoje, wygrywane na wszystkich instrumentach, staroświeckich już, a niezmien- nie czując i zapraszając do tańca.

Skomponował go w wiosenny poranek, gdy w oknach połotny wiał roz- wiewał firanki, kiedy na kwitnących brzegach modrego Dunaju rozlegał się śpiew ptaków i śmiech dziewcząt.

Kompozytor wziął jako kanwę ludową melodię, którą nuciły wienicki, śpiewali Tyrolczyści. Rozkochany w piosenkach swego miasta skomponował na jej tle swojego walca, w którym, zda się, toczą się fal. Dunaju.

Pierwszy raz zagral tego walca orkiestra Straussa w sali „Diana” w karnawale 13 lutego 1867 roku, już jako opus 317. Wtedy Strauss był już słynnym, znakomitym kompozytorem i dyrygentem, ale właśnie walc „Nad pięknym, modrym Dunajem” ugruntował później jego sławę. Trafiał do uczuć wiedeńczyków, wyrażał ich niefrasobliwość, zadowolenie życiowe, sentymentalizm i zarazem urok Wiednia. Ten urok miasta i pieśni i niefrasobliwość, przemieniony w melodię, poprowadził pochod walców strausowskich przez wszystkie kraje.

Strauss od dziecka przebywał w atmosferze muzyki. Urodził się w Wiedniu w 1829. Ojciec, kompozytor i dyrygent, zyskał ogromną popularność i

świetną pozycję. Ułożył wiele walców, marszów, kadryli, polek, cieszących się wielkim powodzeniem. Początkowo był kapelmistrzem orkiestry miejskiej, potem założył własną kapelę, z którą dawał koncerty w różnych miastach europejskich. Był synem właściciela piwiarni, w której zarazem znajdował się lokal taneczny. Zatem od najmłodszych lat przebywał w świecie dźwięków i tańca. Zdobył uznanie i popularność, melodie jego śpiewano w całym mieście. Żył w zażyłości z Brahmem, który bardzo ceniał jego twórczość. Jeszcze za jego młodości żył Schubert, skromny „Grzybus” — jak go nazywali przyjaciele — anielski pieśniarz, którego pieśni i serenady, innego typu i innej artystycznej rangi, były powszechnie śpiewane. Ale Strauss-senior należał do rzędu osobliwych i słynnych ludzi Wiednia. Umarł jednak w siłę wieku.

Strauss-junior przerósł swego ojca. Skomponował w ciągu życia 478 walców zyskując zaszczytne miano „króla walców”. Z własną orkiestrą odbywał tournée.

Pewnego słonecznego dnia wrześniowego, w jednej podmiejskiej winiarni, dokąd zjeżdżali się w sobotnie i niedzielne popołudnia wiedeńczycy, aby przy winie i muzyce spędzać wesołe czasy, Johann Strauss, który był wtedy trzydziestoosmioletnim mężczyzną, ułożył swój walc „Opowieści lasku wiedeńskiego”, śpiewany przez młodą śpiewaczkę. Zachwycił go jej głos. Wszedł do winiarni i również zachwycił się urodą pieśniarki. Zaprosił ją do tańca, gdy goście głośnie użnaniem festwali pojawienie się kompozytora.

— Doprawdy — powiedziała uszczęśliwiona dziewczyna — ten walc pana podobna mi się najwięcej ze wszystkich. — Ja również bardzo go lubię, a odtąd będę lubił najbardziej ze wszystkich.

W zawrotnym tańcu melodyjnie uderzały dwa serca.

Śpiewaczka Jetty Treffz została jego żoną.

Był przed wojną film o Straussie, „Wielki walc” i bardzo artystycznie został przedstawiony moment komponowania walca. Strauss jedzie dorozką z panną Jetty przez lasy podmiejskie. W wiosenny poranek nucił piosenkę. Kompozytor chwycił melodię piasiego zaśpiewu. Ma już pierwszy takt walca. Ale jeszcze nie układa mu się melodia. Nadlatują głosy burzacej się przyrody. W ożywczym powietrzu, wśród przeświecających przez gałęzie promieni słońca głosy dźwięczą harmonijnie. Dobiega odgłos dzwonek pasących się owiec. Pasterz gra na li-gawce. Na drodze stukają równomiernie kopyta wiozącego ich konia. Towarzyszka kompozytora zanuciła frazę muzyczną poddając mu kilka taktów. Przejeżdża koni po cztym, grając na trąbce pocztowej. Wszystkie odgłosy lasku łączą się w jedną melodię. Już ją muzyk pochwylił, ułożył. Śpiewa ją w u-niesieniu, a wraz z nim jego ukochana. Opowieści lasku wiedeńskiego o uczuciach i wiosnie. Wokół bezustannie śpiewają ptaki.

Kiedy Strauss ożenił się, dyrygenturę swojej orkiestry oddał braciom, Józefowi i Edwardowi, również muzykom. Potem i syn Straussa, wnuk Straussa-seniora, został kompozytorem. Cała rodzina była rodziną muzyków. Johann Strauss mając 72 lata układał operetki. Skomponował również „Walc polski-go”. Szkoda, że u nas prawie nie znany.

PRAWDA I LEGENDA POLSKIEGO FUTURYZMU

W świadomości społecznej przetrwała przede wszystkim legenda polskiego futuryzmu, legenda, którą w dużym stopniu stworzyli sami futurysty. Zadbali oni o to, aby wokół swoich poczyną roztoczyć aureę nielegalności, kontestacji, skandalu. „Założona nierozłączność w doktrynie futurystycznej sfery działania po-zartystycznego i poetyckiego tworzenia zdecydowała przede wszystkim, iż futurystom stał się legendą już w momencie jego programowania” — pisał Grzegorz Gazda w książce „Futurizm w Polsce”. Tworzeniu legendy służyły programy literackie, szaleństwa ortograficzne, imprezy artystyczno-towarzyskie — w sumie atakowanie mieszczołowej myśli, słowem i uczynkiem. Owa legenda zdaniem autora książki, utrudniała i utrudniała nadal właściwą ocenę literackiego dorobku futurystów. Zwalczenie legend nie jest jednak łatwe ani proste, ponieważ legendy nie pokona się nawet najbardziej udowodnioną prawdą. Do rozwiania tej dymnej zasłony unoszącej się nad futurystyczną poezją przyczyni się bardzo książka Gazdy. Wysilek literaturoznawców jednak nie wystarczy. Bardzo ważną rolę mają do odegrania nie tylko reedycje tomików poetyckich, ale także interpretacje krytyków. Mogą one ewentualnie sprawić, że ta „druga prawda” o polskim futuryzmie wejdzie na naszą aktualną orbitę kulturową. Jeśli, oczywiście, okaże się ona przynajmniej tak samo trapiąca jak dotychczasowa legenda.

W obecnej jednak sytuacji podstawą wszelkich działań krytycznych musi być naukowe zbadanie prądu, zwanego futuryzmem i oparta na nim jego analiza i charaktery-

styka. Dlatego książka Gazdy zapełnia nie tylko dużą lukę w naszej wiedzy historyczno-literackiej, ale także stanowi punkt wyjścia dla przyszłych sądów wartościujących.

Sytuacja autora pierwszej książki o polskim futuryzmie była (jak zresztą zwykle to bywa w sytuacjach pionierskich) bardzo trudna.

Z jednej strony kuś się musiała perspektywa interpretacji o szerokim zasięgu, zmierzająca do wyznaczenia futurystom miejsca i funkcji w procesie historyczno-literackim, z drugiej — wobec dotychczasowego stanu badań nad tym prądem oznaczałoby to zawieszenie takich rozważań w próżni materialowej. Na to zaś nie pozwalała autorowi sumienność badawcza. Wybrał więc rozwiązanie pośrednie. Zebrał bogatą dokumentację, ukazał futuryzm w różnych kontekstach, zarysował jego rozwój jako ruchu, omawiając zarazem elementy poetyki futurystycznej. We wstępie autor stwierdza, że jego książka nie jest monografią. Dość jednak trzeba, że jest pierwszą próbą syntezy działalności artystycznej i pozaartystycznej futurystów; do tej pory futuryzmem zajmowano się tylko na marginesie innych prac, lub w artykułach, dotyczących wybranych aspektów problemu. Gazda nakreśla główne drogi rozwoju futuryzmu jako prądu literackiego. Układ pracy, szerokie omówienia grup literackich dwudziestolecia, recepcji ówczesnej literatury, instytucji życia literackiego, roli czasopism, wskazują na to, że autor wkracza na futurystyczne tereny uzbrojony w narzędzie metodologiczne socjologii literatury (powołuje się zresztą na prace z tej

dziedziny, szczególnie na Głowińskiego).

Wybór tych narzędzi jest bardzo trafny — skłania do niego sam temat, ponieważ nie sposób pominąć problematyki ugrupowań literackich, działalności okołoliterackiej i funkcjonowania konwencji literackich w świadomości społecznej omawiając prądy artystyczne dwudziestolecia.

Gazda traktuje futuryzm jako część europejskiej awangardy, składając się ku „szerokiemu” rozumieniu tego terminu, w ślad za Baksem, który określił awangardę jako „etap postimpresjonistycznego i postsymbolistycznego rozwoju nowej sztuki”. Dlatego też stara się ukazać działalność futurystów w szerokim kontekście. Omawia więc sytuację historyczno-literacką w dwudziestolecie, zwracając specjalnie uwagę na stosunek do tradycji, rolę Brzozowskiego, polemiki literackie, grupy literackie, czasopisma, programy, recepcje (uwzględniając stan ówczesnego czytelnictwa), związki z prądami na Zachodzie. Podejmuje wreszcie próbę krótkiej, syntetycznej charakterystyki poezji pierwszego dziesięciolecia niepodległości.

Futurizm był prądem międzynarodowym. Gazda więc zajmuje się jego rozwojem za granicą, osobne rozdziały poświęcając futuryzmowi włoskiemu i rosyjskiemu (śledząc do tradycji tego ostatniego i zwracając uwagę na to, że stał się podstawą powstania nowej krytyki literackiej). Analizuje także najbliższe konteksty ruchu futurystycznego

— programy Apollinaire’a i dalszemu.

W tym szerokim kontekście omawia programy i poezję polskich futurystów, uwzględniając jednak odmiennosć niektórych elementów ich poetyki w porównaniu z poetyką włoskich futurystów, zdefiniowaną innymi uwarunkowaniami (np. inaczej niż na Zachodzie wyglądała na polskim terenie apologetyka cywilizacji). Dużą zasługą Gazdy jest to, że nie próbuje upraszczać złożonej problematyki, dostrzega i akcentuje złożoność wielu spraw, widzi, że futurystom cechował z jednej strony antyestetyzm, prymitywizm, antykulturowy i antycywilizacyjny protest — z drugiej kult współczesności i apologetyka cywilizacji wraz z wszystkimi jej elementami. Nie próbuje także tworzyć modelu „poetyki immanentnej” futuryzmu, stwierdzając, że nie jest możliwe potraktowanie jej jako „zbornego systemu norm i koncepcji literackich”. Dlatego opisuje tylko najbardziej wyróżniające elementy tej poetyki, trzymając się tej zasady dokonuje analizy licznych utworów. Punktem wyjścia tych analiz są pewne wątki tematyczne; autor ukazuje ich genezę, np. urbanizm futurystyczny wywodzi z „czarnego urbanizmu” Baudelaire’a. Gazda nie poprzestaje jednak na tym, lecz śledzi wpływ owych wątków na ukształtowanie sfery stylistycznej wierszy. „Odwrot w egzotykę” np. był umotywowany chęcią wyzwolenia się spod stereotypów kultury europejskiej. Konsekwencją tego odwrotu miało być zaatakowanie przyzwyczajenia czytelnika. Należało więc tak te egzotykę podreztusować, aby nadać jej charakter skandalizujący — pociągalo to za sobą mocne słowa poetyckie, mające realizować programowy antyestetyzm. Podobnie miały atakować przyzwyczajenia odbiorców eksperymenty językowe, których zaplecem był zwrot ku ludowości i prymitywizmowi.

Cenna jest w pracy Gazdy właśnie ta motywacja zabiegów formalnych. Sprawa to, że kontury poetyki futurystycznej zarysowują się bardzo

wyraźnie. Zasady motywacji trzyma się autor także i wtedy, kiedy omawia przejmowanie włoskiej apologetyki rewolucyjnej przez przedstawicieli polskiego futuryzmu, które na naszym terenie łączyło się z ukazywaniem obojętnej człowieka w świecie nowoczesności — nierzadko masyzna stawała się groźnym molochem. Zwrócenie uwagi na tę sprawę jest tym ważniejsze, że ów motyw obojętnej pojawiał się niejednokrotnie także w prozie dwudziestolecia. Lewicujący charakter poezji futurystycznej wywodził Gazda z podstawowego elementu programu tej poezji — negatywnego, burzącego stosunku do tradycji. Przy okazji poszerza granice problemu, wskazując na dwukierunkowy charakter poszukiwań awangardowych XX w.: „Jeden prowadził do zjawisk wewnątrz kulturowych, wewnątrz artystycznych, drugi określany był przez rewolucjonizujący stosunek do rzeczywistości politycznych”.

Pierwszy więc wyłom w legendzie futurystycznej został dokonany. W swojej cennej i interesującej pracy Gazda zgromadził wiele informacji, analiz i narzędzi metodologicznych; użyte one być mogą przez krytyków, którzy zajmą się zapewne wartościowaniem osiągnięć polskich futurystów. A więc oceną znaczenia futuryzmu dla rozwoju poezji, jego funkcji w procesie historyczno-literackim, a także związaniem elementów poetyki futurystycznej z twórczością niektórych poetów współczesnych (np. Białoszewskiego). Może zechcą rozważyć konwencję żartu i zabawy zarówno w sferze działalności artystycznej jak okołoliterackiej futurystów. Liczne wiersze i poczynania owych kontestatorów dwudziestolecia świadczą o poczułku humoru, które różni ich od wielu ponurych, nie ogolonych kontestatorów współczesnych.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

*) G. Gazda, Futurizm w Polsce, Ossolineum 1974.



TEATR STUDIO

... i spadło gwiazdą deszczem pięć tysięcy tercyn...
Julian Tuwim
(„Commedia divina”)

W warszawskim Teatrze Studio nowa premiera i nowe wydarzenie. Józef Szajna nawiązał do pasma swoich autorskich przedstawień: „Witkacy” — „Gulgutiera” — „Rep-lik” — teraz „Dante”. Scenariusz „Dante” napisał na kanwie „Boskiej komedii”, sam go wyreżyserował i nadał mu kształt plastyczny, integrując w ten sposób podstawowe funkcje autorskie.

Nazwisko Szajny jawi się ilekroć mowa o propozycjach nowego teatru, który drugocześnie stereotypy i przyzwyczajenia widza, zrywając z klasyczną formułą widowiska scenicznego. Nie czuje się na siłach odpowiedzieć wprost na pytanie: jaki model teatru Szajna nam proponuje? Próba definicji w stosunku do zjawiska „w marszu” prowadziłaby nieuchronnie do uproszczeń, a tych chciałoby się uniknąć.

Zenobiusz Strzelecki scenograf o pasji teoretyka, twierdzi, że „Szajna traktuje dramata nie jak obraz rzeczywistości, lecz jak rzeczywistość samą, którą dopiero należy ująć w kategoriach estetycznych”. („Kierunki scenografii współczesnej”, W-wa 1970). Inaczej mówiąc, celem jego widowisk nie jest, jakkolwiek, choćby nawet zdeformowana subiektywnie, odbitka rzeczywistości. Nie chodzi o przedstawienie czy „zagranie” czegośkolwiek, ale o stworzenie czegoś nowego, które nie istniało dotąd w gotowej formie, nie ma więc prototypów ani wzorców.

Świat sceniczny Szajny pulsuje własnym życiem, kieruje się autonomicznymi prawami, a jego styki z rzeczywistością mieszczą się co najwyżej w płaszczyźnie inspiracji, z której artysta korzysta w najbardziej dowolnym zakresie. Tak więc i tercynę Dantego stanowią dla Szajny surowiec, potężny wprawdzie rozmiarami i wagą tego dzieła znaczącego w rozwoju myśli ludzkiej, ale z punktu widzenia widowiska — tylko surowiec, lub raczej jeden z surowców. Prześledzić, w jakim stopniu inspiruje Szajnę tekst „Boskiej komedii”, niełatwo. Słowo nie jest dla niego na ogół punktem wyjścia, a czytelnik przekaz treści werbalnych go nie bawi. Szajna myśli obrazami, w obrazach szuka więc alfabetu, z którego chce złożyć swą wypowiedź artystyczną.

Właśnie w tym ikonograficznym kodzie dopatrzyć się można w przedstawieniu Szajny ciągłości kulturowej, bezpośredniego nawiązywania do tradycji. Zamieszczony obok fotos z przedstawienia ukazuje Dantego w ramionach Beatrycze. W pozie, w jakiej zamarta para artystów, bez trudu rozpoznajemy żywą replikę słynnej rzeźby Michała Anioła „Pieśń” (Matka Boska Bolesciwa), która zdobi bazylikę św. Piotra w Rzymie. Innego dowodu dostarcza nam na tym samym fotosie Beatrycze. Aktor-

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LA COMMEDIA

DIVINA

JÓZEFA SZAJNY

ka naciągnięta ma na głowę mlecznobiałą, pozbawioną włosów perukę, imitującą naga czaszkę. Spróbowałem rozwiązać zagadkę, czemu Szajna przedstawił piękną Beatrycze bez włosów. Odpowiedzi dostarczył mi znany szkic Leonarda da Vinci stanowiący studium do projektowanego malowidła „Bitwa pod Anghiari”. Na rysunku tym Leonardo wypracował starannie twarz ludzką, natomiast kształt górnej części czaszki obrysował tylko cienką linią, pozostawiając nad twarzą białą płaszczyznę. Jestem niemal oewny, że ten właśnie szkic posłużył Szajnie za wzór do wymodelowania Beatrycze.

I jeszcze jeden przykład z finału przedstawienia. Andrzej Oseka pisze o tym w recenzji w „Kulturze”: „Nie wiadomo, co znaczy scena finałowa, gdzie Dantego przemocowali do dużej szpuli. (...) szpula ta porusza się po obrotowej scenie wraz z innymi szpulami — jednak niewiele z tego pod względem wizualnym wynika... etc”.

Otóż gotów jestem podpowiedzieć Osece, skąd się to wzięło. Wystarczy wspomnieć szkic Leonarda wyznaczający kanon proporcji ciała ludzkiego. Rysunek ten (szeroko spopularyzowany jako sygnał wywoławczy Wszelkich Telewizyjnej) przedstawia nagie ciało mężczyzny wpisane równocześnie w kwadrat i koło, przy czym ramiona i nogi jego narysowane są w podwójnym ustawieniu.

Tak więc Dante rozkrzyżowany u Szajny na szpuli stanowi niewątpliwie aluzję do studiów mistrza renesansowego nad ciałem ludzkim, nad człowiekiem w ogóle. Ecce homo, oto człowiek — wydaje się mówić Szajna, wprawiając szpulę z rozpiętym na niej ciałem ludzkim w ruch obrotowy i oświetlając ją zmiennymi tasiemkowymi płamami świetlnymi wysyłanymi z rzutnika.

Pozostawiamy jeszcze przez chwilę przy nierozumiałej dla recenzenta „Kultury” scenie finałowej. Ma ona także bezpośrednie odniesienie w tekście „Boskiej komedii”, która kończy się wizją Trójcy Świętej, jaka ukazać

się miała Dantemu w wędrówce po raju. Zacytujmy odpowiednie słowa poematu:

„Jak geometra wykreśli rysunek
Na kwadracie koła i zestawia
Z niepewnych danych swój rachunek,
Tak mnie zjawienie nowe zastanawia:
Podpatrzeć chciałem, jako się sprzymierza
Figura z Kregiem i jak się wien wjawia”.

(Raj, Pieśń XXXIII)



Fot. Stefan Okolowicz

Wystarczy więc zajrzeć do „Boskiej”, by stwierdzić, że kierunek inspiracji da się w danym przypadku wyznaczyć wprost od słów Dantego do obrazów Szajny.

Przechodząc do ogólnych wrażeń z przedstawienia, powiedzmy sobie, że jest to bez wątpienia INNY teatr. Widz atakowany jest agresywnie już w westybulu, gdy czeka na otwarcie drzwi na salę teatralną. Na dwumetrowym młynie więcej postumentów oglądać tam może postać prawie nagiętego Charona i Cerbera. Wykonawcy tych ról — Antoni Pszonik i Gustaw Kron — zachowują przy tym tak kompletny beznamiętność (nawet nie mrugną powieką), iż trudno zorientować się, że to żywi aktorzy a nie rzeźby.

Gdy już zasiadliśmy w krzesłach na sali, wystawieni jesteśmy na bodźce wizualne i akustyczne ze wszystkich stron. Aktorzy zsuwają się po schodach — pochylini z balkonów, grają na podłożu przebiegającym wzdłuż sali, w przejściach między krzesłami, a także na scenie. Dwóch z nich zwiisa na ustawionych przy bocznych ścianach drabinach. Konieczność nadążania za ruchem aktorów, śledzenia przemieszczających się z miejsca na miejsce sytuacji, odbierania różnorodnych i bogatych sygnałów optycznych w poważnym stopniu ogranicza możliwość recepcji tekstu, który jak już mówiłem nie odgrywa u Szajny wiodącej roli.

Można by zapytać wobec tego, do czego w ogóle Szajnie potrzebny był poemat Dantego, skoro arbitralnością obrazów między go i rozczłonkowuje? Otóż wydaje się, że bez fascynacji „Boską komedią” Szajna nie stworzyłby swego widowiska. Ten wielki produkt ducha ludzkiego z pogranicza średniowiecza i nowożytności, średniowieczny w metaforyce religijnej a nowożytny w zadumie nad sensem kondycji ludzkiej, legł u fundamentów spektaklu Szajny. Artysta rezerwuje jednak bezpośrednie obcowanie z dziełem Dantego dla siebie, umieszcza się ze swoim widowiskiem między nami a „Boską komedią”, tworząc jakby nieprzenikalną zasłonę.

TEATR

Nie szukajmy więc dowodów na wierność tekstowi. oceniamy widowisko Szajny w oderwaniu od praw wzoru, jako nową jakość artystyczną i propozycję nowego rodzaju doznań. W tym sensie przedstawienie budzi wielkie zainteresowanie i ściga każdego wieczoru do sali Teatru Studio komplet widzów.

Na koniec parę słów o wykonawcach. Główną rolę — Dantego — kreuje Leszek Herdegen, aktor intelektualny, wielokrotnie sprawdzony, dysponujący świetnymi warunkami i sprawnym warsztatem. A mimo wszystko nie jemu przysługują palme pierwszeństwa w widowisku Szajny. Teatr Szajny stawia inne wymagania tak wobec widza, jak i wobec aktora. Ten ostatni musi umieć w pełni zaangażować się w nową konwencję. Wielkie doświadczenie teatralne Herdegena wydaje się (to nie paradoks!) przeszkadzać mu, a nie pomagać w wypełnieniu zadań w tym przedstawieniu. Odnosiłem wrażenie, że zbyt łatwo bierze przeszko- dy, jakie na jego drodze poustał inscenizator. Rozumiem to oczywiście w przenośni, nie dosłownie.

Bardziej autentyczni w zaangażowaniu, z mozołem przełamujący się przez inscenizacyjny gąszcz i pozorne bezdroża, byli dla mnie: Anna Milewska (Beatrycze) i Antoni Pszonik (Charon). W tej parze wykonawców znalazł Szajna pełne oparcie dla swego widowiska. I w Krzysztofie Pendereckim — kompozytorze muzyki do „Dante”.

„Dante” widowisko na kanwie „Boskiej komedii” w przekładzie Edwarda Porębowicza, scenariusz, reżyseria i scenografia Józef Szajna; muzyka — Krzysztof Penderecki; projekcje — Kazimierz Urbanski; Teatr Studio w Warszawie; prapremiera — kwiecień 1974.

PLASTYKA

KONSTRUKTYWIZM CI JA...

O wystawie Kajetana Sosnowskiego nie mogę powiedzieć nic, bo jak można mówić o czymś, czego de facto nie ma. Coś tam stoi, coś tam wiszi: tak jak w takiej jednej pióseneczce, co ja śpiewałem kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem: „coś tam stoi, coś tam puka, pewnie diabeł czegoś szuka”. (Mieszkaliśmy wtedy z rodzicami w wielkim, bardzo starym domu, w którym wszystko było przeszłością — ale to tak na marginesie, bowiem moje dzieciństwo też jest już bardzo odległą przeszłością). Czego szuka Kajetan Sosnowski, nie udało mi się dowiedzieć. Może nie szuka niczego. A może już znalazł to, czego szukał i to coś schował gdzieś bardzo sprytnie (jak pirat skarby piracki zwykły chować), a pokazał na wystawie byle co, żeby nas zmylić, ot, parę takich atrap dla niepoznaki. Kajetanowi Sosnowskiemu może udało się zmylić innych, bo na wystawie nikogo żywego nie uświadczysz, poza „człowiekiem”, który daje bieżące na wszystkich, czyli pilnowacem albo pilnującym (przepraszam ale nie wiem, jak się ta funkcja nazywa w nomenklaturze personalno-kadrowej), a i on pośród rekwizytów martwych, nierzeczywistych przez swój skrajny epigonizm, bardziej trape niż człowieka z krwi i kości przypomina. Uprowadzam łojalnie i zawczasu, iż czele ow jest bliski fikcji, czego dowodem jest jego nieustanna troska o zamknięcie drzwi, niezależnie od faktu czy są one zamknięte, czy załedwie przysmknięte, czy też otwarte na oścież. Różnica on żadnej tuż nie widzi w owym drzwi stanie co świadczy dowodnie, iż obcowanie na co dzień

z czymś, co jest jeno pozorem, więcej — pozorem pozoru że wpływa na jego stan psychiczny, czemu wszak dziwić się nie należy. Osobiście jestem za pozostawieniem go na dotychczasowym stanowisku, natomiast postuluję jak najszybsze zmianę wystawy, czyli wprowadzenie do Salonu Sztuki Współczesnej czegoś realnego, materialnego, żywego. Nie muszą to być od razu króliki, słońce czy inne kłopotliwe. Wystarczy, że będą to jakieś dzieła sztuki.

1. Wystawa Kajetana Sosnowskiego jest kolejną z cyklu ekspozycji prezentujących tendencje wizualne i konstruktywistyczne w polskiej sztuce współczesnej. Podaje to do publicznej wiadomości na wypadek, gdyby ktoś miał wątpliwość co do czego przypisować, aczkolwiek zdaje sobie sprawę, że podawanie w prasie informacji fałszywych jest niemoralne i społecznie szkodliwe.

2. Krzysztof Kostyrko stwierdza, że: „Konstruktywistyczne zasady estetyki upowszechniły się na gruncie architektury i użytkowych dyscyplin plastyki w malarstwie i innych gałęziach opartych o indywidualny warsztat — nie zostały przyzwolone. Im bardziej zaś uogólnienia konstruktywizmu wstąpiły w doświadczenie społeczne twórców (...), tym bardziej bezpośrednia kontynuacja konstruktywizmu w malarstwie nabierała charakteru manieri stylizacyj-

nej”. Picasso uważał, że wszystko zależy od tego, na czym kładzie się akcent: na stylu czy też na życiu. Jak zdążyłem się zorientować, Kajetan Sosnowski jest raczej za stylem, ale widocznie stwierdzenia Krzysztofa Kostyrki tak głęboko mu zapadły, że w tym, co pokazał, nie ma ani stylu, ani, tym bardziej, życia.

3. Kiedyś wiadomo było o co konstruktywistom chodziło. Wspomniany powyżej Krzysztof Kostyrko wyklada to jasno: „Konstruktywisci rekonstruują zasady nowej techniki takie np. jak funkcjonalność, respektowanie właściwości nowych tworzyw i ustanawianie kanonów wartości estetycznych generowane przez nowoczesne przemysły i nowoczesne narzędzia pracy. Kanony te miały obowiązywać nie tylko na gruncie budownictwa, w sferze produkcji przemysłowej, czy warsztacie pracy samodzielniego artysty, twórczości przedmioty użytkowe (mechanofaktury Henryka Berlewskiego), ale również w wypadku użytkowej twórczości. Unizm Władysława Strzemińskiego jest właśnie koncepcją, która rozciąga zasady nowej estetyki na teren sztuk wyzwolonych z funkcji użytkowych”.

O co chodził konstruktywizm dzisiaj — na razie nie wiemy, bo ani wystawa Artymowskiej, ani tym bardziej wystawa Sosnowskiego nie dają żadnych wskazówek. Wyciągając wnioski z tych ekspozycji można wnosić, że nie chodzi im o nie,

choćby być może, że chodzi im o „zrobienie wystawy”. Z drugiej strony wiadomo że źródło do- brze poinformowanych, a także i z niektórymi pokazów w łódzkim Muzeum Sztuki, że konstruktywizm, który był awangarda i to awangarda prawdziwa, znalazł swoich kontynuatorów i rozwinął się w kilku istotnych dla aktualnych tendencji kierunkach. Można więc sądzić, że albo ignorancja organizatorów, albo jakowaś okrutna przywata dyktują dotychczasowy program cyklu prezentującego aktualne tendencje wizualne i konstruktywistyczne w naszej sztuce współczesnej. Gdyby to miało okazać się prawdą, to — A FE!

4. Cykl powyższy nie skończy się chyba na Artymowskiej i Sosnowskim. Dlatego wydaje mi się, iż interesujące będzie przytoczenie niektórych uwag Krzysztofa Kostyrki z jego artykułu „Awangarda wezworalsza — konstruktywizm” („Sztuka” 2/74), odnoszące aktualnych zadań i problemów konstruktywizmu:

„Zasadnicze idee konstruktywizmu nadal zasługują na bacznej uwadze, bowiem otwartymi ciągle problemami dla naszego społeczeństwa są zarówno kwestie związane z produkcją dóbr materialnych, jak i zasady kształtowania społecznej przestrzeni. Najogólniej sprawie traktującej kwestie te muszą być rozpatrywane w podobny sposób, jak w konstruktywizmie, a więc zarówno w aparacie o znajomości doświadczenia społecznego związanego z rozwojem środków produkcji, jak i z uwzględnieniem związków twórczości artystycznej z przemianami społeczno-ustrojowymi. Problemów tych wszakże nie można dziś trafnie formułować i rozstrzygać, bazując na pozytywistycznej, empirycznej metodzie charakterystycznej dla konstruktywizmu (dawniejszego — A. G.). Do tego aby dziś ideę konstruktywizmu rozwijać były na wyższym poziomie, niezbędne jest dyspono-

wanie naukowa teoria kultury, uzupełniająca ogólne schematy materializmu historycznego bardziej szczegółowymi dyrektywami teoretyczno-poznawczymi. Potrzeby takiej teorii stają się tym bardziej niezbędne, kiedy uwzględnimy fakt, że zarówno niepomniernie rozszerzyła się doświadczenie społeczne, związane z wielkim rozwojem środków produkcji, jak i z doświadczeniami w dziedzinie kultury. Działalność produkcyjna, przekształcenie materialnych warunków bytu społecznego, nie może być traktowane wyłącznie w kategoriach technicznych, przeciwnie — wszelka działalność materialna jest zarazem działalnością w sferze kultury, a olbrzymie siły, jakimi ludzkość dysponuje umożliwiają bardziej niż w przeszłości realizację różnych programów kulturowych. Konstruktywizm nie należy wyłącznie do historii — przyszłość konstruktywizmu zależy od zespolenia sztuki z najnowszymi doświadczeniami techniki i nauki na płaszczyźnie marksistowskiej teorii kultury”.

5. Na wypadek, gdyby organizatorów cyklu wystaw prezentujących aktualne tendencje wizualne i konstruktywistyczne w polskiej sztuce współczesnej zainteresowały rzeczywiste problemy konstruktywizmu, informuję, że drugi numer „Sztuki” przynosi obszerną dyskusję na powyższy temat, a także i kilka artykułów teoretyczno-krytycznych. Wstydzić się nie ma czego — człowiek uczy się przez całe życie (jeżeli oczywiście chce). Poza tym na naukę nigdy nie jest za późno. A swoją drogą coś o tym aktualnym konstruktywizmie polskim, coś o jakiejś aktualnej odmianie tendencji wizualnej chętnie bym się czegoś dowiedział wreszcie. Wiele może by jakąś wystawę „na temat” zorganizować.

ANDRZEJ GRUN

„L'EXPRESS” — PARYŻ

19 maja wieczorem pewien francuski dziennikarz zadzwonił do departamentu stanu w Waszyngtonie, żeby usłyszeć oficjalną opinię władz amerykańskich na temat wyboru prezydenta Francji. Po dłuższej chwili namysłu, jego rozmówca, wysoki funkcjonariusz departamentu stanu, wypowiedział banalne zdanie: „Odetchnęliśmy i jesteśmy zadowoleni”. W rzeczywistości, zajęci przede wszystkim misją Kissingera na Bliskim Wschodzie i rozwojem sprawy Watergate, funkcjonariusze departamentu stanu zapomnieli o wyborach prezydenckich we Francji. Kilka godzin później ambasador amerykański w Paryżu poprosił o potwierdzenie informacji o wyborze Giscard d'Estainga na stanowisko prezydenta i wówczas dopiero prezydent Nixon telefonicznie złożył mu gratulacje.

„PANORAMA” — MEDIOLAN

1973 rok był rokiem smutnych rekordów — do takiego wniosku doszli statystycy ONZ, międzynarodowe agencje statystyczne i rządowe organa różnych krajów. Oto kilka przykładów:

Najwyższa śmiertelność wśród dzieci zanotowano w Gaboronie — 229 na 1000 noworodków. Tam też zarejestrowano najkrótszą średnią życia człowieka: 25 lat dla mężczyzn i 45 dla kobiet.

W Indonezji ludzie odżywiali się najgorzej w świecie: 1750 kalorii dziennie na głowę mieszkańca. Najlepiej jedzą Irlandczycy: równowartość 3.450 kalorii dziennie.

Spośród ludności krajów rozwiniętych najmniej gazet czytują Włosi — 146 gazet na 1000 mieszkańców. W Związku Radzieckim na 1000 mieszkańców przypada 347 gazet, a w USA — 301.

Pierwsze smutne miejsce w świecie pod względem analfabetyzmu zajmuje Haiti — 90 proc. ludności nie umie ani czytać, ani pisać. Odnotowano tam również najniższy dochód na głowę mieszkańca.

Japońskie miasta: Tokio, Osaka, Kobe — są najdroższymi miastami na świecie. Za nimi postępują w kolejności: Sztokholm, Oslo, Dueseldorf, Frankfurt nad Menem, Zurich, Genewa, Kopenhaga, Paryż i Wiedeń.

Rok 1973 był także niekorzystny dla upraw rolnych. W większości krajów świata zanotowano gwałtowny spadek produkcji ryżu i pszenicy. Jedyną kulturą rolną, która zrobiła ogromny skok, był tytoń. W 1973 roku wyprodukowano na świecie 2.666.700 miliardów papierosów, czyli o 85,1 miliarda sztuk więcej niż w 1972 roku.

Zaludnienie kuli ziemskiej, które w końcu 1972 roku wyniosło 3 miliardy 700 milionów ludzi, zwiększyło się w 1973 roku o 2 procent. Rekordowy przyrost ludności odnotowano w Środkowej Ameryce — 2,9 procenta, najmniej — w Skandynawii, bo zaledwie 0,6 procenta. Najwyższy przyrost naturalny spośród krajów świata ma Meksyk — 3,2 procenta.

„SPIEGEL” — HAMBURG

W erze komputerów szpiegostwo przemysłowe „wzbogaciło się” o nową specjalność: szpiegostwo w sferze elektronicznej techniki cyfrowej. Na scenie ukazały się szpiegi — specjaliści od komputerów, tzw. „agenci — cyfranci”. Należą oni do nowoczesnej elity świata przestępczego i są bardziej niebezpieczni od bandytów grabiących pociągi, od fałszerzy pieniędzy, czy też rozpruwaczy kas pancernych.

„Agenci — cyfranci” mogą jednym pociągnięciem zniszczyć całą firmę lub spowodować niepowetowane straty w jakiegokolwiek gałęzi przemysłu, a nawet całego kraju. Przedmiotem szczególnego zainteresowania „cyfrantów” są instytucje i firmy, które opracowują i konstruują komputery. Ekonomiczne znaczenie takich przedsiębiorstw ilustruje następujący przykład: w 1972 roku obrotami amerykańskiej firmy IBM, produkującej elektroniczne urządzenia cyfrowe, wyniosły 8 i pół miliarda dolarów, przewyższając wartość globalnego produktu narodowego takich krajów, jak Portugalia, czy Pakistan. Opracowania, które pozwalają na poznanie tajemnic technologicznych przedsiębiorstwa produkującego komputery, sprzedają „agenci — cyfranci” po cenach nieustępujących cenie komputerów. Na razie brak specjalistów do walki z tym najnowocześniejszym rodzajem przestępstwa.

„ASSOCIATED PRESS” — NOWY JORK

Francja odmawia zaspokojenia żądań niewielkiej wsi szwajcarskiej przy Alpiach, dotyczących pokrycia strat, jakie poniosła ona podczas przemarszu wojsk napoleońskich w 1800 roku. Swego czasu Napoleon, przejeżdżając przez wioskę, w drodze do Włoch, obiecał jej mieszkańcom rekompensatę za straty, które rada gminy ocenia dziś na około półtora miliona dolarów. Jak powiedział jeden z członków rady, Francja odrzucała żądanie mieszkańców wsi, motywując to przedawnieniem obietnicy cesarza. Ponadto rząd francuski miał rzekomo poinformować radę, że skoro Napoleon osobiście obiecał naprawić szkody, to nie wypada, żeby dziś zrobił to ktoś inny...

Niemal nazajutrz po obaleniu faszystowskiego reżimu Salazara przez granicę Portugalii potoczyła się fala zmotoryzowanych turystów hiszpańskich, którzy „na własne oczy chcieli zobaczyć rewolucję”. Od 35 lat, to jest od momentu, gdy gen. Franco jest u władzy, prasa nigdy jeszcze nie zasnęła takiej swobody jak obecnie. Oczywiście w proporcjach frankistowskiej Hiszpanii.

Wysłannik pewnego pisma z Barcelony, komentując pobyt byłych portugalskich liderów politycznych na wygnaniu na Maderze napisał bez ogródek: „Mieszkańcy Madery nie są zadowoleni, że ich piękna wyspa została przekształcona w chlew”. Tygodnik hiszpański opublikował na dwóch bitych kolumnach wywiad z Hermínio da Palma Inacio, wrogiem nr 1 salazaryzmu. Także karykatuzyści używają sobie dowoli.

Zamach stanu w Portugalii do głębi wzbudził Hiszpanię, ale trzeba powiedzieć, że już trzy miesiące wcześniej można było dostrzec w tym kraju symptomy ożywienia politycznego. Wprawdzie nowy szef rządu Carlos Arias Navarro, sukcesor władzy po admirałe Carrero Blanco, który w grudniu ub. roku zginął podczas zamachu, jest również bezwzględny jak jego poprzednik. Niemniej, będąca dziś u władzy ekipa rządząca wykazuje pewne zrozumienie dla „la apertura”, to jest „pierwszego kroku”. Bynajmniej nie z miłości do postępowych idei społecznych, lecz po prostu z konieczności politycznej. „La apertura” stała się w Hiszpanii wielkim słowem, odkąd premier Navarro wypowiedział je przed parlamentem 12 lutego br. Słychać je na ulicach, w kawiarniach, salonach hiszpańskiej burżuazji.

Od trzech miesięcy delikatny wiaterek liberalizacji muska kraj. Nie ma tak drakońskiej cenzury prasy zagranicznej, z zastrzeżeniem, oczywiście, że nie będzie w niej wypadów pod adresem Caudillo oraz zdjęć „golizny”. W marcu tego roku, po wykonaniu wyroku śmierci na młodym anarchiście katalońskim Salvatore Antich, tylko cztery publikacje zagraniczne na ten temat, na około 500, zatrzymała cenzura. Zjawisko unikalne, gdyż przewijały się tam także, w cudzysłowach co prawda, nieprzyjemne hasła przeciwko Caudillo, rzucane przez manifestantów w Paryżu i Brukseli. Telewizja hiszpańska zainaugurowała obrady „okrągłego stołu” — „Cara al país” — na których dyskutuje się ekonomiczne i społeczne problemy kraju. Cenzura zwolniła ponad sto filmów długometrażowych, pozostających dotąd na indeksie. Wkrótce większość książek na temat wojny domowej w Hiszpanii, publikowanych za granicą, znajdzie się na półkach Biblioteki Madryckiej — do dyspozycji czytelników. Niedługo też ma się ukazać pierwsza praca o Leninie. A w najbliższych miesiącach jeden z hiszpańskich wydawców wyda książkę „Młocząca Portugalia”, której autorem jest przywódca socjalistów portugalskich, Mario Soares, obecny minister spraw zagranicznych Portugalii.

x Szczególny rekord Włoch x Stosunki, które powinny być stabilne

Był taki okres we Francji, kiedy rządy zmieniały się bardzo często. Pamiętam, że pisano wówczas o bezwzględnej jej rekordzie w tej dziedzinie. Tymczasem dzisiaj przed nami pod względem niestabilności gabinetów mają Włochy. Oto znów — po 86 dniach sprawowania władzy — podał się do dymisji rząd Mariano Rumora, trzydziesty szósty po wojnie, a dziewiąty centrolewicowy. Prezydent Leone nie przyjął jednak dymisji, oświadczając, iż interes narodowy wymaga, aby gabinet pozostał i stawił czoła trudnym problemom Włoch.

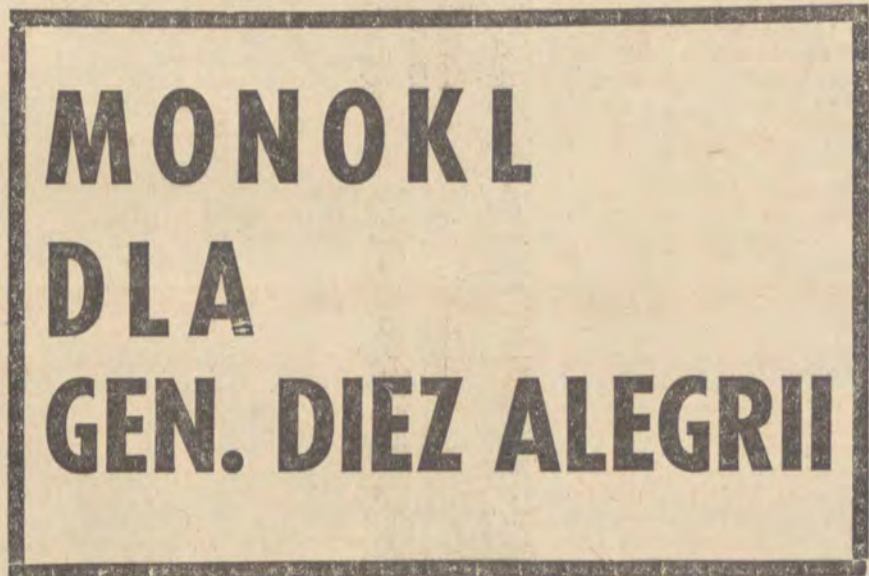
Jaka była przyczyna dymisji? Niemożność uzgodnienia polityki gospodarczej i finansowej między socjalistami i chadekami. Socjaliści, dla ratowania sytuacji, zgodzili się na zwiększenie podatków i inne „troki”, zmierzające do ograniczenia spożycia, ale stanowczo sprzeciwili się limitom kredytowym wobec drobnych i małych przedsiębiorstw oraz wzrostowi bezrobocia. Inaczej mówiąc szerszym powodem obecnego kryzysu jest fatalna sytuacja gospodarcza Włoch, która znamionuje inflacja, drożyzna, bezrobocie... Aby nie być gołosłownym podajmy za prasą włoską, że lir dewaluje się z szybkością 2 proc. miesięcznie, a koszty utrzymania rosną o 3 proc.

Trwająca już długo recesja gospo-

To wszystko także nie z sympatii dla hiszpańskiej lewicy. Nieprzejednani obrońcy reżimu, tzw. „inmovilistas”, czyli „niezmienni” — wykrzykują slogany o zdradzie. Na trzeci dzień po zamachu stanu w Portugalii, José Antonio Giron — przywódca Falangi (hiszpańska organizacja faszystowska — red.) — jeden z najstarszych i najbardziej zasłużonych jej członków, osobisty przyjaciel gen. Franco, długoletni minister pracy, skorzystał z okazji, żeby opublikować w organie Falangi, dzienniku „Arriba”, jadowity artykuł, wymierzony w „wolnomyślicieli”, czyli liberałów, z łona rządu. Kilka godzin później, skrajnie prawicowiec o najgorszej sławie, ultras gen. Tomas Garcia Rebull, były wojskowy gubernator Burgas, który zatwierdził dziewięć wyroków śmierci w procesie Basków, zgroził z kolei „wampirom” reżimu. Z całego garnituru rządowego tylko

takich i innych incydentów” — pisze korespondent „L'Express” — „Cabanillas obiecuje „iść dalej pierwszymi krokami”.

Hiszpania nie jest Portugalią. Nie ma ani wojny kolonialnej, ani nie cierpi na chronicznie niedorozwój gospodarczy. W ciągu ostatnich lat wzrost produkcji przemysłowej w Hiszpanii był jednym z najwyższych w świecie. Dochód roczny na głowę mieszkańca zwiększył się ponad dwukrotnie. Statystycznie. Bowiem społecznie sprawiedliwy podział dochodu narodowego daleko odbiega od statystyki. Młode generacje nie popierają archaicznych struktur kraju. Nawet w zamkniętym kręgu reżimu zaczyna kielkować „nowe sprężenie”. W gruncie rzeczy nie jesteśmy niezadowolonymi z wydarzeń w Portugalii” — mówi się w kołach rządzących. Ale jest to opinia liberałów, gromionych przez falangistów.



Jeden jego członek — Josi Utrera Molina, minister komunikacji, przyłączył się do tej kampanii i wziął udział w ceremonii falangistów, by złożyć przysięgę wierności „idealom” antykomunistycznej krucjaty.

Ta ofensywa skrajnej prawicy, zapoczątkowana nazajutrz po wydarzeniach w Lizbonie, spowodowała zdecydowany opór, jakiego już od dziesięciu lat nie widziano w Hiszpanii. Dzienniki, w swojej ogromnej większości, przeciwstawiły się ultrasmom, dodając jednocześnie otuchy ministrowi informacji, Pio Cabanillasowi, by kontynuował politykę liberalizacji środków masowej informacji. Wspomniany już wcześniej gen. Rebull postanowił odpowiedzieć na atak, redagując drugi artykuł pełen gryzącego jadu. Nie został on jednak opublikowany. Rząd dał Rebullowi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli będzie trwał przy swoim uporze, może go to drogo kosztować. Rząd uznał, że to moment jest nieodpowiedni.

Wszelako ta liberalizacja jest uważnie dozowana. Ostatnio jeden z tygodników hiszpańskich pokusił się o zamieszczenie listy pięćdziesięciu niesummiennych płatników podatkowych. Jednakże figurowały na niej tak znakomite osobistości, że zasłała konieczność konsultacji z Ministerstwem Finansów. Artykuł zatrzymała cenzura, bowiem na liście figurowały dwa nazwiska członków aktualnego rządu i pięć — byłych ministrów... Nie zapłacili oni ani jednego centima podatków od dochodów za rok 1972. „Mimo

Także armia zaczyna się zastanawiać. W dniu zabójstwa admirała Blanco sztab generalny, za pośrednictwem swych emisariuszy, niejako poinformował przywódców lewicy i skrajnej lewicy, że „nie będzie masakry”. Żeby uniknąć represji ze strony faszystowskich komandosów, więźniów były „chronione” przez wojsko. Od tego czasu armia czuwa. Niektórzy z jej generałów, głównie prominiści wojskowi, nie pozostają też bezczynni. Zebrani wokół stołu nakrytego na dwadzieścia osób, trzech generałowie brzydki i wielu pułkowników dyskutowali ostatnio z osobistościami cywilnymi o przyszłości Hiszpanii w wypadku śmierci gen. Franco. Zaakceptowano hipotezę rządu tymczasowego w celu przywrócenia swobód demokratycznych. Miało to miejsce przed wydarzeniami w Portugalii.

W tym samym czasie gen. de Spinoła, którego brat mieszka w Katalonii, był przejazdem w Madrycie, żeby spotkać się tam z hiszpańskimi towarzyszami broni i otrzymać od nich zapewnienie, że armia gen. Franco nie będzie interweniować w Portugalii, do czego ma prawo w myśl Paktu Iberyjskiego, podpisanego przez oba kraje 35 lat temu. Po tym spotkaniu student z Barcelony przesłał gen. Manuelowi Diez Alegrii, szefowi sztabu najwyższego dowództwa armii hiszpańskiej, monokl. Taki, jakiego używa gen. Spinoła...

Jednakże armia jest ostrożna, a wszystkie rodzaje policji, mimo symptomów liberalizacji, są bardzo „czuj-

wowych problemów kraju. Dlatego też decyzja prezydenta Leone, będąca w istocie dramatycznym apelem, aby w gabinecie Rumora usunąć różnice zdań i osiągnąć kompromis, nie załatwia problemu. Droga do rozwiązania kłopotów Italii prowadzi się przez radykalniejsze decyzje.

Szybko zbliża się termin wyjazdu prezydenta Nixona do Związku Radzieckiego na kolejne, będące już ukształtowaną praktyką, rozmowy z przywódcami radzieckimi. Temu wydarzeniu poświęcił fragment swego wystąpienia Leonid Breżniew na spotkaniu przedwyborczym z mieszkańcami Moskwy.

Nawiązując do kilku pesymistycznych ocen w prasie zachodniej, co do wyniku moskiewskich rozmów — sekretarz generalny KC KPZR powiedział:

„My jesteśmy innego zdania. Połepszenie stosunków radziecko-amerykańskich może i powinno być kontynuowane”.

Breżniew stwierdził następnie, że ZSRR i USA mogłyby na mocy wzajemnej zgody przejawiać maksymalną powściągliwość w dalszym rozwijaniu swych zbrojeń oraz osiągnięć porozumienia, które zapobiegłoby tworzeniu coraz to nowych systemów broni strategicznej. ZSRR gotów jest także zawrzeć porozumienie o ograniczeniu podziemnych doświadczeń z bronią nuklearną aż do całkowitego ich zaprzestania w uzgodnionym terminie.

ne” i agresywne. Reżim nie chce pozwolić na zniszczenie swoich struktur władzy, przynajmniej dopóty, dopóki żyje gen. Franco. Ale opozycja w Hiszpanii okrzepła. Jej różne grupy zbliżyły się znacznie, przy tym łączą je wspólne pragnienie dokonania ogólnospołecznych reform. Nawet działacze polityczni lojalni wobec reżimu mówią o „wyczuwalnej presji nowej świadomości ze strony średnich grup społecznych” oraz o narastaniu opozycji. Na czoło wysuwają się tutaj tzw. Komisje Robotnicze. Ten swego rodzaju ruch związkowy rozwinął się tak szybko, że jest dziś, obok Komunistycznej Partii Hiszpanii, najsilniejszym postępowym nurtem społeczno-politycznym w kraju. Komisje Robotnicze powstały w początkach lat sześćdziesiątych w wyniku spontanicznego protestu przeciwko syndykatowi, podporządkowanemu władzom branżowym, do których wchodzi zarówno robotnicy, jak i właściciele fabryk. Komisje walczą o polepszenie warunków bytu i pracy hiszpańskiej klasy robotniczej i o prawo do zwyczajania zebrań. Motorem ich działania jest KPH.

Potężną siłą polityczną w kraju reprezentuje, działającą nielegalnie, Komunistyczna Partia Hiszpanii. Policja zadaje tropi komunistów i w prasie raz po raz ukazują się informacje o aresztowaniach członków i sympatyków KPH oraz karach wieloletniego więzienia za działalność polityczną.

Energiczną działalność polityczną i odwetową rozwija baskijska organizacja ETA (Euskadi Eta Askatasuna — „Kraj Basków i jego wolność”). Najbardziej aktywna jest wojskowa grupa ETA. W czerwcu 1963 roku, w Tolos, podczas wymiany strzałów z policją zginął młody ekonomista, jeden z przywódców wojskowej grupy ETA. Trzy miesiące później organizacja dokonała akcji odwetowej: w San Sebastian został zastrzelony inspektor policji politycznej (odpowiednik gestapo), Meliton Mansons. Miał on na sumieniu torturowanie i śmierć wielu ludzi podejrzanym o należenie do ETA. W prowincji ogłoszono stan wyjątkowy. Policja przeprowadziła prawdziwe polowanie na sympatyków organizacji. Aresztowano 500 osób. Kulminacyjnym punktem tej akcji policyjnej na modłę hitlerowską był proces sądowy w grudniu 1970 roku, w Burgos, przeciwko 16 członkom ETA, oskarżonym o zabójstwo Mansona. Dziesięć osób skazano na śmierć, wyroki zatwierdził wspomniany już ultras, gen. Rebull. Pozostałych aresztowanych skazano na długoladne więzienie.

Dzisiejsza liberalizacja życia w Hiszpanii dyktuje faszystowski reżim gen. Franco w rytmie: raz na prawo, raz na lewo. Tu uklon, tam represje i więzienia. Fakt jest, że pod naciskiem krzepnącej opozycji mas ludowych reżim mięknie i jest zmuszony do ustępstw. Z drugiej strony dąży do osłabienia sił lewicy, prowadząc nieustanną akcję policyjną przeciwko komunistom. Ale...

Po wydarzeniach w Portugalii, Hiszpania doznała ulgi, konstatając, iż nie ma potrzeby wywołania ewolucji, żeby obalić faszystowską dyktaturę. Wystarczy jeden pułk.

JERZY CZECH

Zwraca uwagę również podkreślenie charakteru stosunków radziecko-amerykańskich. Powinny one być stabilne i nie powinny zależeć od momentów koniunkturalnych.

„Jesteśmy za tym — powiedział L. Breżniew — aby korzyści wynikające z ich dalszego rozwoju czerpały nie tylko oba nasze kraje, lecz także cały świat”.

Zwrot, jaki dokonał się w stosunkach między ZSRR i Stanami Zjednoczonymi, jest niewątpliwie jednym z najważniejszych wydarzeń ostatnich lat. Wpłynął on bardzo dodatnio na rozwój sytuacji międzynarodowej, przyspieszył proces odprężenia. Nowy krok w kierunku ustabilizowania pokoju na Bliskim Wschodzie — rozdzielenie wojsk na froncie syryjsko-izraelskim — jest też pośrednim następstwem tej sytuacji. Dlatego radziecko-amerykańskie rozmowy na najwyższym szczeblu będą obserwowane z największym zainteresowaniem na całym świecie.

Sobotnia prasa przyniosła informację o ustaleniu przez komitet koordynacyjny miesięcznego programu prac Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, której obrady toczą się w Genewie. Zapowiada on intensywną działalność w całym miesięcznym okresie — do 12 lipca. Obserwatorzy nie wykluczają, że w tym terminie uda się zakończyć prace drugiego etapu konferencji. Czy więc jeszcze latem dojdzie do trzeciej i decydującej fazy?

W. ŚLAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Co jest grane najlepiej wie Jerzy Urban. Niektórzy nazywają go swawolnym Dziem polskiej felietonistyki — inni określają to bardziej uczenie — „enfant terrible”. Z pewnością oba te określenia, w gruncie rzeczy mówiące to samo, oddają w jakiś sposób charakter felietonistyki Urbana. Ale to za ledwie część prawdy — tkwiaca w warstwie stylistycznej urbanowego pisarstwa.

W czasach gdy wszyscy jesteśmy tacy elegancy i uprzejmi, że nawet inwektywy pisze się salonowym stylem, w tych czasach ludzi razi felietonistyka Urbana, który ma, normalnie i po prostu — niewyparzoną gębę.

Burzę wywołał swego czasu felieton Urbana o krzyżówkach. Oczywiście wiele osób uważa tę zabawę za dość nie mądrą — ale kto odważył się napisać tak: „zajmowanie się krzyżówkami jest... szczytowym przejawem kretyzmu, nieoświecenia i zacofania umysłowe-

go”? Wiele osób uważa esepantystów za śmiesznych maniaków, ale kto się odważył napisać, że Ludwik Zamenhof wpadł kiedyś na głupi pomysł? Wiele osób uważa Festiwal Sopotki za nieporozumienie, ale kto się odważył napisać: „Gdyby udało się zamknąć Sopot — tę Chmielną piosenkę — byłby to precedens tworzący nadzieję, że w Polsce w ogóle można by już zacząć zamykać. Nie jest bowiem prawdziwą alternatywą: albo ludzi, albo nie”.

Słowem — Urban pyskuje, co jest niesłychanie krępujące w czasach, gdy ludzie odzwyczaili się od pyskowania. Co byśmy bowiem nie powiedzieli, to pyskowanie — nasze lub cudze — jest swego rodzaju społeczną higieną psychiczną. W pyskowaniu wyładowują się nasze frustracje i irytacje, a przecież nie jesteśmy ani tak zarozumiali, ani tak zaślepieni, aby twierdzić, że to codzienne i cholernie szybko biegające życie nie dostarcza nam powodów do irytacji i frustracji.

Tom felietonów drukowanych w „Szpilkach” zatytułował Jerzy Urban: „Impertynencje”. Tytuł, co prawda nie nowy, bo coś może być nowego pod słowem, ale ten tego pisarstwa jest niebanalny. Osobiście wolalbym, aby Urban dał swoim felietonom tytuł: „Co jest grane”. Też już to gdzieś było, ale bardziej mi pasuje do książki.

Bowiem to urbanowe pyskowanie nie jest tylko, wbrew pozorom, pokazywaniem języka. Co prawda czytalem w jakiejś gazecie (zapomniałem tytułu) dość kłujący wywód nieologiczny, usiłujący dowiedzieć, że Urban jest wesołek, co to stoi z boku i chichocze... Tak nie jest — na szczęście, dla nas i dla Urbana. Kto tego nie widzi, przypomina faceta, który oglądając kobiety Rubensa widzi tylko cycki.

W tych urbanowych polajankach i żarcikach jest dużo więcej racjonalizmu i tzw. szczerzej troski niż się to może na pozór wydawać. Urban kpiąc z krzyżówek nie tyle łaje abo-

mentów pisma „Rozrywka”, co uderza w pewne stany umysłowe, Urban kpiąc z tytułomani, nie tyle czepia się tasiecowego „Przewodniczącego Przewodni Powiatowej Rady Narodowej”, co uderza w pewne obyczaje i nawyki, obnaża ich źródła... Z tym Przewodniczącym zresztą miał rację, jak wiadomo nomenklaturę zmieniono na prostszą i zgodną z duchem języka. Urban zresztą akurat nie wnosil o zmianę nomenklatury tylko obyczajów...

Jerzy Urban wie, co jest grane, co nas boli i co nam przeszkadza. A że kpi? Mój Boże, gdyby przemawiał językiem salonowej perwazji, któż by zwrócił uwagę na takie gadanie? A tak — ma Urban zapiekłych wrogów i prawdziwych przyjaciół. Czegoż można chcieć więcej, gdy się uprawia tak podejrzany zawód jak felietonistyka?

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

WYJŚĆ

NA SVOJE...

Zbliżają się wakacje i znów częściej można znaleźć w dziennikach ogłoszenia o zgubieniu legitymacji studenckiej na takie a takie nazwisko. Jak tu jest związek? Wtajemniczeni twierdzą, że studenci kończący studia powinni oddać wiosną swe legitymacje w rektoracie. Ale lepiej nie oddawać, bo ważne są do października i przez całe lato można je jeszcze wykorzystywać dla uzyskania zniżek na kolejach. Wiecej pokazuje się w rektoracie ogłoszenie o zgubieniu legitymacji, tam odnotowują i gra. Po wakacjach dowód się znajduje i już można załatwić wszelkie formalności z dyplomem.

Czytalem zresztą rozbijającą szczerą wypowiedź pewnego młodzieńca, który przejechał parę tysięcy kilometrów autobusami w ogóle bez biletów. Wreszcie na którejś tam trasie przypała go kontrola i zapłacił sto złotych kary. Turysta ten stwierdził, że ową setkę znakomicie mu się opłaciła.

Tak więc głowicie pracują i poprawiają, gdzie się da, wórtyn podział dochodu narodowego na swoją korzyść. Od dawna przebiega wiadomo, że obuwie młodzieńcze ma górne numeracje takie same jak dolne numery obuwia dla dorosłych, a za to jest sporo tańsze. Wiecej dorodzi o małych stopach kupują bez trudu obuwie młodzieżowe i znów wszystko w porządku.

Oczywiście bywa też i odwrotnie, bywają niezupełnie praworządne decyzje różnych szczebli, działające na niekorzyść obywatela. Znane jest zjawisko podciągania lada wyrobu pod dumne miano nowości celem przylepienia mu odpowiednio wyższej ceny. Powtarzają się przypadki żądania ustalonej opłaty konsumpcyjnej w lokalach zbiorowego żywienia, chociaż ogólne zarządzenia zabraniają takich praktyk. Do pocłagów ekspresowych, lecących przez Koluszki, kłodzianin zawsze musi dopłacić dziesięć złotych za miejscówkę, mimo że prawie nigdy tej miejscówki w Koluszkach nie dostanie i mimo że w pociągu nikt mu za to miejsca siedzącego nie gwarantuje. Niechby to wreszcie była dopłata za ekspresowość, za pośpiech — niechby się tak nazywała — byleby to pociąg rzeczywiście się spieszył co tylko niekiedy im się udaje. Od szeregu tygodni jeżdże co parę dni „Chemikiem” do Gliwic i z powrotem. Jeszcze ani razu niejechałem zgodnie z rozkładem, natomiast zawsze placę za miejscówkę. Sama różnica ceny biletu pośpiesznego w stosunku do osobowego bardzo często jest bezpodstawa, bo np. pociąg pośpieszny do Warszawy nieraz-

jechał dłużej niż zwykłe. Ale o tym pisałem już multum razy i nie. Kiedy spóźniły się z opłatą za telefon o dwa, trzy dni, aparat zostaje wyłączone i jego ponowne włączenie zależy od dodatkowej spłaty grzywny. Ale kiedy telefon jest nieczynny przez wiele dni z powodu jakichś tam awarii, której przecież nie spowodowaliśmy, a także wtedy, gdy przez tydzień nie możemy się doprosić zwyczajnego odblokowania — żadne ulgi w opłatach z tego tytułu nie przysługują.

Kiedy kupimy bułki za paraset złotych i odklei się podeszwa, mamy przepis, który zezwala nam żądać zwrotu pieniędzy, chociaż przyklejenie jest bardzo proste i przywraca pełną wartość użytkową bułkom. Natomiast, gdy kupimy telewizor za dziesięć tysięcy, a ciagle coś w nim strzela, trzaska, nie działa — możemy najwyżej nosić go w te i z powrotem do napraw gwarancyjnych, trwających wiele tygodni, opłacając oczywiście przez cały czas abonament.

A w ogóle — trudno ludziom dogodzić. Nasze tygodniki zwiększyły objętość — i oto czytamy alarmujące listy czytelników: ojej, kiedy my to mamy czytać! Tych listów, że czytelnik musi przeczytać wszystko od deski do deski, od „Komu zgasić światło” do „znaleziono — zgubiono”, bo inaczej nie wyszedłby na swoje. Nie może przecież zapłacić za całe pismo, a przeczytać tylko część. Kapitałne głosy! Co by powiedzieli ci sami czytelnicy na widok tygodników o dwustu stronach formatu „Życia Warszawy”? A są takie tygodniki i mają wielkie nakłady. Co tydzień kilogram makulatury!

To są zapewne ci sami czytelnicy, którzy śmieją się z każdego zdania w teatrze, bo zapłacili za śmiech. Muszą wyjść na swoje. I ci sami, którzy muszą handlować kremem Nivea w Bulgarii, bo inaczej urop nad Morzem Czarnym mógłby się okazać równym droż jak w Czechosłowacji, u których w domu radio brzęczy o światu do nocy, żeby zamortyzować opłatę miesięczną. Zapłacone — niech gadą. Niektórzy tylko z nas są zdania, że płaci się za możliwość wyboru, a nie za cały serwis en bloc. Widocznie tylko niektórym zależy na czynnym, świadomym wyborze, i to niekoniecznie według kryterium lepszej opłacalności w złotychkach. Ech, co ja tam będę wybrzydział. Suum cuique!

GLOBTROTTER

ĆWIEK

nej ofiary, tańca pierwotnego, w którym każdy gest ma swoją treść, jest następstwem i dopełnieniem, afirmacją lub negacją gestów poprzednich i następnych.

Kierunek zachodzenia i towarzyszące owemu zachodzeniu ruchy mogłyby właściwie wystarczyć dla zrozumienia tego, z czym Znany Krytyk zachodzi, gdyby rozszyfrować istotę kodu, jakim się on posługuje. Niestety. Jest to prawie niemożliwe, a to z tych względów, że Znany Krytyk, obok faktu, iż jest niebywale hermetyczny, bywa równocześnie szalenie elastyczny, czyli innymi słowy — zmienny; lub też kiedy indziej — jest konsekwentny do granic klasycznego skonservatywizmu przy jednoczesnym infantylnie sięgającym aż po najdalsze sfery liryzmu.

Tak więc Znany Krytyk zaszedł mnie z tej właśnie strony, a nie z innej i nie było tu krzywny przypadku, a sam cel i zime wyrachowanie, że nie wspomnę o zgodności formy i treści, które można by nazwać „harmonia pierwotna”. (Z określeniem „harmonia pierwotna” zetknąłem się wiele lat temu pośród plemienia zamieszkującego Centralną Papuę, a odnosiło się ono do prawiecznych stosunków „mąż — żona”; otóż wojownicy tego plemienia mieli prawo — jeśli nie obowiązek — zjadać swoje żony, gdy te znadły się im do imentu; istotnie, to rzeczywiście „harmonia pierwotna.”) Tak więc Znany Krytyk zaszedł mnie na peronie dworca w Koluszkach z tej a nie z innej strony i to na dodatek w owej przedziwnej godzinie, w której dzień dzisiejszy ostatnimi technikami zmierzchu a noc stoi tuż tuż za naszymi plecami niecierpliwa, lecz jeszcze opanowana, jeszcze sycząca się rozkoszą oczekiwania, nieczym nagi kochanek wobec nagiej kochanki cięszący zmysły swoje jej biernym oddaniem, które jeszcze nie jest oddaniem zupełnym i ostatecznym, a które jest jednak oddaniem w zupełnie innej sferze. Tę godzinę ludzie nazywają godziną milczenia, bowiem cichnie w niej wszystko to, co żyło w ciągu całego dnia, a nie zaczęło żyć jeszcze to, co nocne.

Muszę panu wyznać, że od niejakiego czasu żrą mnie — zaczął głosem człowieka z pozoru spolegliwego — wyrzuty sumienia. Otóż zniszczyłem człowieka. Zdmuchnąłem płomyczek jego domowego ogniska. Sprawilem trwały rozkład małżeńskiego stadła. Zgwałciłem naturę. Dokonałem animacji, do których nikt mnie nie upoważniał. Zmalwersowałem kapitał ludzkiej dobroci. Naruszyłem liczne kredyty zaufania. Słowem, czuję się jak świnia i padalec. Zupelnie jak wieprzopadalec. I odczuwam wyższą konieczność opowiedzenia panu tej historii, bowiem pan jako człek bywały znajdzie może jakieś...

Dalsze jego słowa pochwylił w siebie i uniósł 42-wagonowy pociąg towarowy, który akurat przejeżdżał przez stację. Kiedy minął stukot oszalanych kół, do uszu moich powrócił, jakby z bardzo daleka, głos Znanego Krytyka: — Swego czasu spotkałem człowieka, który sprzedawał na rachunek papier impregnowany firmom, które tego papieru zu-

pełnie nie potrzebowały. Poza tym prywatnie człowiek ten zajmował się rzeźbieniem w drzewie różnych figurek, które rozdawał znajomym, albo i nie rozdawał. Wtedy, kiedy go poznałem, był dobrym pracownikiem mającym swoje hobby, tudzież w miarę sześcieliwym mężem i ojcem dwojga dzieci. Jego rzeźby miały w sobie to coś, co mnie zaciękawilo: świeżość, bezpretensjonalność, naturalną interpretację tematów prostych, typowych dla plebejskiej wyobraźni, wcale niezłą obróbkę narzędziem, a nade wszystko znać w nich było prawdziwe umiowanie materii, z której były zrobione, czyli drzewa.

Zachęcałem go do bardziej wyteźonej i uważnej pracy, napisałem o nim tu i ówdzie w gazetach, a na koniec zorganizowałem mu wystawę jego rzeźb z katalogiem, do którego skreśliłem nawet krótki wstęp. I od tego momentu zaczęło się właśnie to straszne!

W zwykłym człowieku, szarym zresztą, oknał się nagle ARTYSTA, obudził się ZWIERZ, leniwie (z początku) przeciągnęło się w nim BYDŁE! O, mój panie! Jakże ja cierpie. Ten osobnik zmienił się z dnia na dzień. Krótko powiem! Najpierw zaczął pić („Słoń”, SPATIE, Klub Dziennikarza, Honoratka), potem rzucił pracę, wyprowadził się z domu i zabrał się do panienek. W międzyczasie zaczął filozofować i kontestować; dalej — zagnieżdził się na poddaszu, gdzie za instalował tapczan i ogromną, przedwojenną wannę. No, słowem, stał się artystą pełną gębą. Oczywiście nie rzeźbił już, ale za to bez przerwy mówił o tym, co wyrzeźbił i co wyrzeźbi. Zaczął też jeździć do Koluszek, do Warszawy, pokazywać się z filmowcami na mieście. Robił od czasu do czasu drewniane figurki dla Cepelli, dla Pax-u i dla jakiegoś tam dziennikarzyni, co miał kontakty. Produkował też wyplatane z rafli kosze na śmieci i abażury z brystoli. Spotkał wreszcie Tatar z Argentyny, który zaprosił go do Wenezueli, czy też do enerefu na dwa tygodnie; może zresztą zaprosił go do Włoch, a może dostał on po prostu sto dolarów z przydziału i wyjechał do Szwecji na miesiąc. No i gdzieś tam przepadł. I tak to zniszczyłem człowieka, proszę pana — zakończył żałośnie na polu spolegliwy Znany Krytyk.

Odrzuciłem się w stronę wschodnio-północno-wschodnią, spojrzalem mu w oczy i wyszeptałem: — Życie! Zrobić z człowieka artystę — łatwo! Z artysty — człowieka — nie sposób!

W chwili, gdy Znany Krytyk odchodził na północno-północny-wschód (znamiennie), podszedł do mnie Znakomity Malarsz Profesor.

— Panie kolego, ja maluję, rozumiecie, teraz obraz, który zadziwi. To będzie prawdziwe arcydzieło. Zaangażowane. Ja wam, kolego, opowiem...

Ale w tymże samym momencie mi stąd ni zowąd zjawił się Popularny Aktor:

— Przygotowuję monodramę taką jedną. Jeden aktor i widownia. Ograniczona. Zadziwie. To będzie arcydzieło. Zaangażowane... A idzie o to, że...



Do mojego ekspresu czasu a czasu; włóczę się po peronach, nie mogę usiedzieć na ławce. Twarda i uwiera jak przyciasne buty, jak czyrak na zadku. Piwo w butelce ma smak cierpki, jak to się mówi — „jedzie pluskwa”. Przypomniało mi się to powiedzonko i na chwilę, na krótki moment, chandra przysiadła, przysiadła. To Matka często, kiedy coś jej nie przypadło do gustu, mawiała: „jedzie pluskwa”. A zatem „pluskwa jechało” mieszkanie sąsiadki, której matka nie darzyła sympatią i nieudana ciasto z kakao; „pluskwa jechała” wódniasta śmietana i Orzeszkowa, którą Matka uważała za grafomankę; „pluskwa jechało” ustrój (przedwojenny), zle wyprana białizna w pralni, August Bec-Walski (powojenny)... Wszystko, co było nie tak, jak być powinno, „jechało”, zdanien Matki, „pluskwa”.

Mnie dzisiejszy dzień jedzie najwyraźniej pluskwa. Są takie dni, kiedy nawet porządny tyk gruzińskiej gorzałki gwiazdkowanej niczego nie zatławia. Chandra siedzi w środku, można jak kornik, uparta jak menda, nielaskawa jak kochanka, której znudziło się do szczytu. Skąd się coś takiego w czelu k bierze?

Starzy ludzie mówią, że to wapory i że krew najlepiej puścić albo piwki przystawić. Ale skąd ja tu, u Boga ojca na dworcu w Koluszkach piwki wezmę? Krew to jeszcze by mi może puścił. Z nosa. Ale władza czuwa. Dzięki władzy za czuwanie! Współczesny świat jest tak sprytnie urządzone, że musi czuwać ktoś, aby kogoś wapory mogły gryźć. W czterdziestym piątym gryzły mnie wazy.

Sam byłem ze swoją chandrą, gdy zupełnie zniknacka zaszedł mnie Znany Krytyk. Tym razem zaszedł mnie od wschodnio-północno-wschodniej strony, co już wskazywało na to, że zaszedł mnie nie ot, tak sobie, dla zwykłej przyjemności pogwrażenia, a dla jakichś celów znacznie szerszych i wyższych. Bowiem kierunek świata, z jakiego Znany Krytyk kogoś zachodzi, ma znaczenie zasadnicze, stanowi ściśle określony kod, jest czymś w rodzaju rytualnego tańca wokół upatrzo-



MADRYT

Stare dziennikarskie porzekadło mówi, że o mieście czy kraju można napisać ciekawie albo po trzech dniach pobytu, albo po dwudziestu latach. Wilhelmína Skulska z całą pewnością nie była w Madrycie 20 lat. Była wszakże dłużej niż trzy dni, a jednak jej „Madryckie ABC” jest i ciekawe i poznawczo bardzo bogate.

Po części to za-
sługa dziennikarskiej
wyszukiwania, że o Hiszpanii dzisiejszej w ogóle
wiemy raczej mało. Stąd książkę czyta się z zainteresowa-
niem — prezentuje nam ona tę podstawową sumę wiedzy o
kraju na Półwyspie Iberyjskim. Znakomita „Iskrowa” seria
ABC wzbogaciła się o jeszcze jedną atrakcyjną pozycję.

J. WIL.

Wilhelmina Skulska „Madryckie ABC”, Wyd. Iskry, cena 30 zł.

„MIRANDA” PRZEZ ATLANTYK

Relacja Zbigniewa Puchalskiego to kolejna pozycja w udanej serii Wydawnictwa Morskiego „Sławni żeglarze”. Jest o czwartym obok D. Boguckiego, L. Teligi i K. Baranowskiego, prezentowanym tam Polakiem. Własnymi siłami odbudował przeznaczony na złom wrak starego jachtu, wykonanego w 1935 r. w stoczni gdynskiej. Tak narodziła się „Miranda”, na której w 1971 r. odbył samotny rejs po Atlantyku, uzyskując za to nagrodę „Conrada” i nagrodę II stopnia „Rejs roku”. Było to przygotowanie do startu w Transatlantycznej Regacie Samotników, w których w 1972 r. pokonał trasę Plymouth-Newport w 45 dni i 10 godzin. Otrzymał za to specjalną nagrodę honorową „Rejs roku 1972”. Relacja z obydwu rejsów jest niniejszą książką. Oczywiście na tego typu jachcie nie mógł autor odnieść większych sukcesów, lecz obecnie przygotowuje nowy, na którym zamierza startować w następnych regatach TARS w 1976 roku.

A. S.

Zbigniew Puchalski — „Miranda” przez Atlantyk, Wyd. Mor.

DUCHY W MODZIE

Ostatnio duchy w modzie. „Przekrój” wprowadził rubrykę „Poczet duchów polskich”, coraz więcej się mówi o spirytach. Przewidzieli ów trend Ryszard Marek Gronski i Antoni Marianowicz, przygotowując dla „Iskier” świetne czytadło „Duchy na dachu”. Nie jest to wszakże czytadło w typie prymitywnego dreszczowca. Jest to bowiem bardzo interesujące i ambitne zestawienie antologii groteski, której hasłem wywalczymy mogłoby być zawołanie „Czuj duch!” Autorzy czują klimat tych literackich „niesamowitości z przymrużeniem oka”, czują wszechobecnego ducha, który się błąka po kartkach tej zabawnej i ciekawej książki.

A nazwiska w tej antologii nie były jakie. Sławomir Mrożek i Bruno Schulz, Julian Tuwim i Jeremi Przybora, A. M. Swiniarski i Zygmunt Filipowicz, Z. M. Kłopotowski i Adam Krecmar (IIR — były niestety, i Andrzej Warchał („przekroju”) felieton „bokiem” — były niestety, Jerzy Górzński i Maciej Zembaty. W sumie trzydzieści „historii nie stworzonych”. Najbardziej nieprawdopodobna historia jest wszakże nakład tej antologii. Dwaście tysięcy egzemplarzy — a więc wydawcy przestraszyli się duchów i nakład obliczyli przywołali.

„Duchy na dachu”. Wyboru dokonali: R. M. Gronski i A. Marianowicz, Wyd. Iskry, cena 23 zł.

„NORSK HYDRO”

O produkcie „ciężkiej wody” potrzebnej hitlerowskiej Rzeszy do badań atomowych pisano sporo. Przed laty ukazała się — także w Polsce — powieść Frantiska Behounka „Wawóz pod Rjukanem” — mocno beletryzowana historia operacji alianckiej, mającej na celu uniemożliwienie fascystom korzystania z zasobów „ciężkiej wody” z zakładów opodal miasta Rjukan. Znamy także film „Bitwa o ciężką wodę”. Nie licząc tu popularnych opracowań z serii „Złotego Tygrysa”.

Na tym tle trzecie już wydanie książki Hasso Grabnera „Tajna sprawa „Norsk Hydro”” nie jest ewenementem. Jeśli pisze o tym wzniołemu do po prostu dlatego, aby zanotować pewną refleksję.

Książka Grabnera jest solidna i udokumentowana. Rol się w niej od szczegółów i nazwisk. Sama akcja jest pasjonująca. A jednak... książkę — jak na literaturę sensacyjną — czyta się ciężko (nomen omen). Oto jak przedstawia faktografię, topografię i dokumentację — mogą zbliżyć sensacyjność. Bo przecież mocno dowolna fikcja Behounka czyta się znakomicie. Czeski autor wysunął na czoło swej książki sama akcja wywiadu. Natomiast Grabner — zbyt solidny, zbyt drobiazgowy, zamęczył szczegółami czytelnika.

Hasso Grabner „Tajna sprawa „Norsk Hydro”, Wyd. Książka i Wiedza, cena 45 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Czesław Michalski „Wojna warszawsko-niemiecka”, Wyd. Czytelnik, cena 35 zł.
Bogdan Rutha „Misja o północy”, Wyd. Czytelnik, cena 22 zł.
Jan Kasprów „Księga ubogich”, PIW, cena 20 zł.
Janusz Sławiński „Dzielo, Jezyk, Tradycja”, PIW, cena 40 zł.
Paul Daubeny „Mój świat teatru”, PIW, cena 90 zł.
Wanda Leopold „Antologia poezji afrykańskiej”, LSW, cena 65 zł.
J. M. Rymkiewicz „Co to jest drożdż”, Wyd. Czytelnik, cena 12 zł.
Anna Philippe „Chwila westchnienia”, Książka i Wiedza, cena 10 zł.
L. M. Bartelski „Genealogia ocalonych”, Wyd. Literackie, cena 40 zł.
Jan Chalasiński „Kultura amerykańska”, LSW, cena 120 zł.

J. WIL

FILM CZAS EGLANTINE

Eglantine to imię popularne we Francji przed wiekiem, to także nazwa kwiatu dzikiej róży. Nosi to imię tytułowa bohaterka filmu — babcia, do której w czas kanikuły zjeżdżają wnukowie. Jean Claude Brialy, popularny francuski aktor, zrealizował film, będący wspomnieniem dziecięcych lat, choć czas akcji „EGLANTINE”, czyli „la belle époque”, świadczy, iż nie jest to akurat jego dzieciństwo — urodziłbyś amant byłby bowiem dziś równie przystojnym, lecz już sędziwym panem. Brialy w „Eglantine” uchwycił jednak atmosferę tego, co jest urodą i szczęściem dzieciństwa, bez względu na to, jaki krój sukni aktualnie babcie obowiązuje. To prawda, że świat „Eglantine” dzieli od naszych czasów kilka epok, lecz nie wspominamy tym razem, co w nich było doświadczeniem wnuków i ich babek. Idąc do kina poddajmy się urodzie świata, którego już nie ma, z którego pozostało tylko dzieciństwo miłości i marzeń, miłości najbardziej bezinteresownej i marzeń najczystszych. „La belle époque” również w

„Eglantine” Brialy’ego jawi się jako czas cudownej bez troski i słodkiego próżniactwa jej bohaterów w miarę żalonych w tym leniwym trwaniu, w miarę zabawnych w swym zachwycie dla kankana i pierwszych mechanicznych pojazdów. W prowincjonalnym francuskim dworku żyło się dobrze i nieco głupio, lecz nie o tym jest ten film, nawet jeśli ton nostalgii za życiem tym dość silnie czasami pobrzmiewa. Ta nostalgia „Eglantine” daje się jednak tłumaczyć nie tyle tęsknotą za tamtym życiem, co jego oprawą, utraconą również bezpowrotnie.

Dla swej tęsknoty i swych wspomnień Jean Claude Brialy przy pełnej pomocy operatora Alaina Derobe znalazł w filmowych obrazach kształt doskonały. Przy realizacji „Eglantine” mówił Brialy, że jego film ma być holdem dla Augusta Renoira. Cudowne w urodzie swojej impresjonistyczne kadry „Eglantine” intencje te potwierdzają, nie popadając ni razu w plastyczny banał, o co w kinie przecież tak łatwo. Podkreślić to warto, gdyż sam senty-
ment

talny nieco temat z naiwnym przecieciem w końcu wdziękiem przez Brialy’ego traktowany, ku banałowi obrazów aż popychał. Renoirowski tradycje nie kończą się jednak na konwencji plastycznej filmowych kadrow „Eglantine”. Brialy o udział w filmie poprosił madame Valentine Tessier, aktorkę Jeana Renoira, odtwórczynię roli Emmy Bovary w słynnym filmie syna wielkiego impresjonisty, zrealizowanym w 1934 roku. Valentine Tessier, gwiazda francuskiej sceny i filmu lat międzywojennych, powróciła po latach na ekran, tworząc zupełnie cudowną postać babci Eglantine. Wniósł do filmu Brialy’ego czas przeszły w sposób, którego młodsza od niej aktorka nie podobałaby chyba. Piękna uroda nie tylko swego wieku, ale i swej epoki, nieco staroświeckie w typie prezentowanego aktorstwa, pani Tessier sama sobą, choć przy kobiecie mówiącej tak to wielki nietakt, wnoszą do filmu przeszłość bezpowrotnie odchodzącą.

Jej Eglantine uczy miłości życia w jego najprostszym przejawach, uczy umiejętności cie-

szczenia się nim tak, jak mało kto dziś potrafi. Jej świat to dom, ogród, las i kwiaty, wspomnienia o tych, co odeszli, życzliwość dla tych, co są wokół, z wszystkimi ich słabościami, lecz pierwsze w świecie tym miejsce zajmują dzieci. Eglantine jest bowiem po tej stronie życia, gdzie jego smak mogą odczuwać albo ludzie starzy, albo dzieci, gdzie spotyka się mądrość i spokój starości oraz naiwność i wiara dzieci. Film Brialy’ego ukazuje ową plastyczną porozumienia, która, choć dziesiątki lat dzieli nas od czasów, gdy babcia Eglantine bawiła się ze swymi wnukami, jest również dziś wspólnością wszystkich babć i dzieciom świata.

Ten film o Eglantine, o jej ostatnim pięknym lecie spędzonym wśród wnuków, o wielkim między nimi porozumieniu i pięknej miłości, film o damie, żyjącej w tak pięknych czasach i w spokoju, który nie jest niestety udziałem współczesnych starszych pań, im trzeba jednak zadedykować. Bo choć z czasów Eglantine tak niewiele zostało, to najważniejsze, czyli miłość, trwa nadal. Zaprosimy choć raz nasze babcie do kina — ten film jest o nich, ale nie tylko dla nich.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA BITWA NARODÓW

Nieomal abstrakcyjna lektura pół miliarda widzów oglądających mecz Polska — Argentyna powoduje zawrót głowy, który bynajmniej nie może zwalniać od próby chłodnego przeanalizowania tego niezwykłego fenomenu cywilizacji ostatnich lat. O takiej lekturze odbiorców nawet nie marzy żaden z twórców filmowych czy teatralnych, żaden pisarz. Proces tak powszechnego zainteresowania sportem, a piłka nożna jest przykładem najbardziej skrajnym, rozwinął się na naszych oczach. Już pobieżnie choćby spojrzenie w niebyt odległą przeszłość wykazuje oczywistą bliskość pomiędzy niebywałą popularnością sportowych

nieomal abstrakcyjna lektura pół miliarda widzów oglądających mecz Polska — Argentyna powoduje zawrót głowy, który bynajmniej nie może zwalniać od próby chłodnego przeanalizowania tego niezwykłego fenomenu cywilizacji ostatnich lat. O takiej lekturze odbiorców nawet nie marzy żaden z twórców filmowych czy teatralnych, żaden pisarz. Proces tak powszechnego zainteresowania sportem, a piłka nożna jest przykładem najbardziej skrajnym, rozwinął się na naszych oczach. Już pobieżnie choćby spojrzenie w niebyt odległą przeszłość wykazuje oczywistą bliskość pomiędzy niebywałą popularnością sportowych

W czasach dzisiejszych coraz bardziej oczywiste wydaje się przekonanie, iż sport pełni niezmienne istotne funkcje symboliczne. Stanowi on formę sublimacji „instynktu agresji”, który od wieków wydaje się przyrodzony zarówno indywidualny jak i kolektywny naturze człowieka. Piłka nożna jest tą dyscypliną, która najlepiej realizuje symboliczne potrzeby agresji, ponieważ polega na bezpośrednim starciu dwóch drużyn, ale bez przynajmniej w założeniach, brutalnego konfliktu cielesnego, czym grzeszy np. boks. Jest przy tym widowiskiem niezwykle spektakularnym i pasjonującym, gdzie napięcie jest nieporównywalnie większe niż w najbardziej dramatycznym filmie kryminalnym. Jednakże ów niepowtarzalny „suspense” meczu nie jest jednakowo przeżywany, nie jest obiektywny. Jego intensywność mierzy się na skali różnic patriotyzmów — tak narodowych jak i lokalnych. Nie tak nie poprawia ogólnospołeczne samopoczucie, nie wywołuje takiej euforii jak wygrany mecz z groźnym przeciwnikiem i nie tak skutecznie nie powoduje głębokiej depresji i dotkliwej frustracji jak porażka w prestiżowym spotkaniu. Falowanie nastrojów społecznych wokół narodowych stadionów może przybierać i niekiedy przybiera kształty niepokojące i nie mające nic wspólnego z humanistycznymi ideałami sportu, a za to dające ujście odruchom szowinistycznym i nacjonalistycznym. Histeria prasy angielskiej przed występem polskiej drużyny na Wembley w zeszłym roku i atmosfera tego pamiętnego „mecz” obawiały groźne i ponure oblicze sportowych emocji.

Organizowaniu narodowej solidarności doskonale służy patetyczna frazeologia sportowych dziennikarzy. Kiedy Jan Ciszewski drącym głosem wołał, że polska armada narodowa bohatersko broni każdego metra, każdej błędzi ziemi przed Argentczykami, rzadko kto potrafił zdobyć się na ironiczny dystans wobec tej emfazy. Całkowita zaturała w sportowym widowisku test szczególnie charakterystyczna dla piłki nożnej. Nieodparta

magia tego widowiska polega na prostej identyfikacji psychologicznej kibiców z zawodnikami. Jedenastka grająca na boisku stanowi reprezentację narodową w pełnym tego słowa znaczeniu. Piłkarze grają w imieniu wszystkich widzów danej grupy społecznej i każdego z nich z osobna. Ich umiejętnościom powierza się prestiż, dumę, honor i godność — nieomal rację stanu. W dzisiejszym świecie, gdzie trudno o bardziej bezpośrednie miejsce konfrontacji stadion pełni doniosłe funkcje psychospołeczne i nieprzypadkowo sprawy sportu splatają się coraz ściślej z kalkulacjami polityków. To bezkrytyczne utożsamienie narodu z jego piłkarskimi reprezentantami może prowadzić do groteskowych deformacji świadomości społecznej, które streszczają się w przekonaniu o wyższości jednego narodu nad drugim z powodu wygraniego meczu.

W ten sposób sport, a piłka nożna — powtórzmy — jest ze względu na ogromną popularność tej dyscypliny najbardziej podatna na opisywane tendencje, wychodzi poza własne, zakreślone przepisami granice. Jako część symbolicznej naddbudowy nad konfliktami społecznymi coraz częściej przybiera niepokojące formy. Niepostrzeżenie stadion stał się bardzo czułym sejsmografem zbiorowej świadomości. Wydaje się jednak, że wskazania tego sejsmografu coraz częściej dowodzą, że społeczne funkcjonowanie sportu zaczyna przypominać sytuację ucznia czarnoksiężnika.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA WIEKSZE O CZASIE, KTÓRY PRZEMIAJA I POZOSTAJE

Henryk Hartenberg jest zjawiskiem znanym w poezji polskiej. Czy stosunkowo późny debiut, czy też inne przyczyny spowodowały wyodrębnienie się cech indywidualności autorskiej, dziś nikt nie jest w stanie określić. Oczywiście jest, że w poezji Hartenberga znajdziemy przewagę myśli racjonalistycznej, będącej wynikiem doświadczenia życiowego, nad gorącym temperamentem i maksymalizmem, charakterystycznym dla młodego pokolenia twórców, a spowodowaną pewną inflacją słów i myśli.

Szkoda, że poezji Hartenberga brakuje tej wielkiej krystaliczności językowej, która nie pozwala na obecność w wierszu nawet jednego zbędnego słowa. Niektóre wiersze grzeszą nieco przepychem elementarnych obrazów ujawniając zarazem swój literacki rodowód. Odczytać w nich można wpływ Salvatore Quasimodo, wynikający raczej z kultury poetyckiej autora, niż ze świadomego sięgnięcia do tego wzorów. Zresztą, jeśli Quasimodo stanowił nawet jakiś wzorzec, to własna wiza poetycka Hartenberga i daleko bardziej bodźce do wielorakich i różnorodnych skojarzeń, opartych na osobistym przeżyciu i doświadczeniu.

Jest to poezja starająca się dotrzeć i wyrazić wewnętrzną istotę zjawisk, zmusić czytelnika do poważnych refleksji nad sensem istnienia. Najlepsze są te wiersze, w których poeta nie wypowiada się do końca, gdyż zawsze najbardziej wabi i kuszą tajemniczo, pełna uroku głębia, w której jeszcze nie opuszczano sondy badacza. Niepokój i trwoga poety zadiwiałego harmonizują z niedopowiedzeniem jego myśli.

Rozpięty na krawędzi wieku prowadzi dialog z umierającą chwilą, a nos dochodziła już do krainy Siedmna Zór gdzie wyrósł ciemny kamień nadziei. Tak wielki jak wielka jest wyobraźnia.

Henryk Hartenberg wybiera z przeszłości te obrazy, które pokonały niszczący pamięć Czas, zaś zabrane razem na kartkach książki tworzą one sylwetkę poety. Wiek twórcy nie jest gwarancją talentu, a to, co nazywamy doświadczeniem, nie jest zależne od dramatyzmu przeżyć.

Dojrzałość poezji zależy od umiejętności wartościowania przeżyć. Specyfika poezji H. Hartenberga polega na tym, że tu w poezję przelatają się realia życia osobistego i że zmuszają one do refleksji najważniejszych, o Czasie, o przeznaczeniu człowieka w bezgranicznie zagadkowym, pięknym i skomplikowanym świecie.

Poeta nie obala ideałów młodości — na odwrót, wraz z przybywaniem lat stają się one coraz pełniejsze i trwalsze, choć historia obarczyła pamięć niejednym zmem:

I ementarz olców wbitych na pale Póległych spalonych obrońców w popiół —

Jest to ementarz-mauzoleum, symbol nieszczęść i symbol pamięci. Wiele wierszy w tym tomie ma charakter memorialny, zaś obraz poetycki przypomina maskę popielatą, zdjętą z twarzy czasu minionego, a pod tą maską kryje się żywy i szczerzy ból i niepokój „Czas zatrzymał się pod powieka-

mi” — ta metafora stanowi klucz do wielu wierszy poety. Nieoczekiwane przejścia od nadziei do jej utraty nie ukrywają swego naturalnego, zrozumiałego niepokoju. Jest w nich wystrzona historyczność myślenia i odczuwania, która przejawia się nie tylko w określonym doborze obrazów-relikwii, lecz również w charakterze skojarzeń, zaś wspomnienia o przeżytych czasach brzmią jak spowiedź. Wówczas znika granica między poezją i prozą. A choć przestrzeń i czas są w tej poezji obcy, to twórcą szczególnie określa „miejsce akcji” — Polskę i swoje w tym kraju miejsce. Stąd właśnie — od Polski i od poety — zaczyna się przestrzeń i czas. Wyobraźnia Hartenberga pozwala mu postrzegać i rozumieć jednostkę czasu i przeżywać go szczególnie poprzez swoją biografie. Poeta ciągle wraca do filozoficznego pojęcia czasu, który w kontekście jego wierszy staje się synonimem życia. I tylko pamiętając o specyfice poetyckiej wizji Hartenberga można zrozumieć język jego wierszy. Hipertrofia metafor ma w sobie coś z form biblijnych, w które włożono wszechświatne treści. Nawet znane akcesoria antyczne są w tych wierszach jakby pseudonimem rzeczywistych zdarzeń naszych czasów, a każdy czytelnik ma możliwość własnej ich interpretacji.

Można tu mówić o pewnym uniwersalizmie, który niejednego poe-
ty doprowadził do utrącenia cech indywidualności twórczej. Lecz Hartenberg potrafi skutecznie bronić się przed tym opowiadając o czasie i o sobie jako o dialektycznej jednostce przeciwności. Nawet polać u niego nasycony jest wystronim odczuciem przemijania, dlatego też

poeta stara się stworzyć obraz wielkiej przestrzeni, nie tylko ziemskiej, lecz i czasowej, uchołdzącej w biblijne dale i potwierdzającej trwałość i niewzruszoność wartości kulturowych.

W poezji Hartenberga nie ma poetyzacji cierpienia, gdyż cierpienie spłata się w niej z gniewem, wyzywaniem do walki i pasją. Stąd wywodzi się dążenie poety, by utrwalił w pamięci wiersza wszystko to, co nie może być zapomniane:

Pamiętam tylko dym pożarów podchodzący pod samą biel Oka w którym zastępy widzenie (ruchu i przestrzeni) Bezlistny wiatr tłukący puszkę zaby I otwarta ziemię

„To był czas opuszczony przez świat, gdy spłonęła wówczas cała epoka. Przemoc jest tu przeciwnostawiona i życiu i przemianom jednocześnie. Najlepsze wiersze Hartenberga oparte są na antytezie „gwaltu — śmierci” i „życia — czasu”. Autor ciągle powraca do myśli o prawdziwym i pozornym czasie, z których jeden to życie, a drugi — żałoba i godne politywa-
nia pozory życia.

Nieludzkie i straszne warunki życia uwarunkowały poetów na człowieczeństwo, wyzwalając naturalną skrytość ich dusz, a język poezji na zawsze utrwała przeobrażenia zasłane w ich sumieniach. Hartenberg słyszy głos historii nawet w czterech ścianach swojego mieszkania, we wspomnieniach z lat dziecięcych i w drobiazgowych otaczającego świata. W wierszach znajdujemy wiele wyraźnych najszybszych, wiele miłości, trwających przecież i nadziei — jednym słowem jest w nich przeżyć jak najbardziej obywateli, które zarazem są przeżyciem powszechnym.

Są w tym tomie wiersze tak ufnie i bezbronne, tak subtelne i świeże, że na pewno dobrze się stało, iż autor uchronił je przed zgubnym wpływem literackiej mody.

WASYL KOCZNOW

Henryk Hartenberg „Stromy jest czas”, WL 1974, str. 130, cena 15 zł.

MAGAZYN

KRYTYK POD WODĄ

W Bostonie pewien pijany marynarz zachowywał się na ulicy w sposób prawie skandaliczny. Gwizdał na przechodzących dziewczęta, urzędnikom robił tzw. „syfony”, w niewybrednych słowach zapowiadał wprowadzenie równości społecznej. Zakłopotane władze miasta gorączkowo zastanawiały się, jakich środków użyć, by poskromić tę nieobliczalną wesołość. Jednak sytuację wyjaśnił dopiero spotkany przygodnie krytyk filmowy. Prostymi słowami wyjaśnił on rozbrykanemu pracownikowi miasta, że nie jest on zjawiskiem nowym czy oryginalnym, bo postać pijanego marynarza występowała już, oględnie licząc, w dziesiątkach filmów, nie licząc oczywiście słynnego „Pancernika Potiomkina”. Pijany marynarz uznał ten argument, zawstydził się i uspokoił. Czując w sobie wielką wdzięczność, zaprosił zaraz krytyka filmowego do swojego M-1, mieszczącego się w łodzi podwodnej. Obaj panowie dyskutowali w głębokim zanurzeniu o problemach estetyki filmowej aż do białego rana. Dalszą dyskusję uniemożliwił, niestety, brak tlenu.

OSTROŻNIE Z NAWOZAMI!

Pan Jan Popielak z Kolna pewnego dnia stwierdził ze zdumieniem, że przypuszczalnie

wskutek nadużyć z nawozami sztucznymi, wyrosła mu trzecia noga. Pan Jan Popielak, wykazując godny uznania refleks,

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

udał się natychmiast do najbliższej Wytwórni Filmowej, gdzie został zaraz zatrudniony, jako statyw pod kamerą filmową.

AMBITNE PLANY

Jak się dowiadujemy, za twierdzone i skierowano do produkcji nowy polski film biograficzny. Tym razem bohaterem jego będzie znany komediopisarz Aleksander hr. Fredro. Ze szczególną pieczołowitością odtworzą twórcy schyłek życia wielkiego humorysty. Zobaczymy również wreszcie, jak stary Fredro w księgach grzebie.

BIERZMY PRZYKŁAD Z...

Kierownik kina „Ludowe” w Owsiance, to przykład prawdziwego gospodarza. Nie bacząc na zmęczenie, jest on obecny na każdym absolutnie seansie. Siada zwykle w pierwszym rzędzie i chętnie głośno wyjaśnia, jak film się zakończy. Zawsze też okrzykiem: „Teraz!” dyskretnie przypomina, że w tym właśnie momencie należy się szczerze i głośno śmiać. I tak dzięki staraniom kierownika, widzowie w kinie „Ludowe” bawią się doskonale, nawet na smutnych przebiegach i trudnych filmach Bergmana czy Bunuela.

SPOSÓB NA BUZIE

Mały Areczek Egejski miał przykry zwyczaj otwierania szeroko buzi w czasie oglądania programu telewizyjnego. Nie pomagały prośby ani nawet podstępne wrzucanie cukierków w papierkach. Areczek cukierka połykał i buzię nadal trzymał otwartą. Dopiero wujek Areczka, pedagog dziecięcy przy Browarze Nr 3, znalazł radę. „Zamknij gębę, bo ci Janosik wsoczy!” — zawstydził chłopca. Teraz Areczek grzecznie ogląda telewizję i nigdy nie otwiera buzi, bo wstydzi się mieć w niej zbrojnika.

SŁODKIE ŻYCIE

Swego czasu wymyślono akcję „Dziś telefon — jutro odpowiedź”. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Piekarskiego w Łodzi, ul. Jerzego 10/12 poszło dalej i ogłosiło w gazetach swój pomysł.

„DZIŚ TELEFON 239-70, JUTRO TORT”.

I dzięki temu możemy mieć słodkie życie.

TYTUŁ

Jedna z warszawskich gazet napisała: „WYMOGI OKREŚLA PRZYSZŁOŚĆ”. Na przyszłość prosimy o lepszą polszczyznę.

NIESTAJĄCA GIEŁDA NOWOŚCI

„Owoony chlebicek” i inne nowości zapowiada tym razem „Express Ilustrowany”. Jakież to nowości? Ano takie: konserwy warzywno-mięsne z Jugosławii, pasta pomidorowa, zielony groszek w puszkach, sok wielowarstwowy i sok pomarańczowy z Cypru oraz „owony chlebicek”, który „Powiększenia” konsumowały już dobry rok temu i to nie jeden raz. „Można mieć nadzieję — pisze „Express Ilustrowany” — że te nowości nie pojawią się w handlu na zasadzie meteoru”. Można mieć nadzieję, że niedługo bezkrytyczny „Express Ilustrowany” wraz z handlem uzna za nowość chleb nasz powszedni.

POWIEKSZENIA

WSPOMNIENIA KARIN STANEK (3)

START PO SŁAWĘ



Była zima 1962 r. Którejś niedzieli, jak zwykle, „zaliczałam” filmy. W Kronice Filmowej zapowiedziano zespół „Czerwono-Czarni” i na ekranie ukazała się Helena Majdaniec, potem Michaj Burano i Janusz Godlewski. Przyszedł mi się do tej pory byłem całkowicie zaabsorbowany Elvirem Presley'em, Tommy'ego Steele'a i nigdy nie interesowałem się naszymi krajowymi zespołami. Dopiero wtedy, po raz pierwszy zobaczyłam, że i w Polsce jest przecież naprawdę doskonały zespół. Szczególnie zachwyceni byliśmy Januszem Godlewskim i Michajem Burano. Natomiast na Helenę patrzyłam z dziwnym uczuciem. To, co ona robiła, nie wydawało się dla mnie zbyt trudne, czułam, że chyba też potrafię zaśpiewać tak jak ona. A jeśli Helena zdobyła sławę, to czy ja nie umiałabym? Natęczyłam się myślami i wróciłam do domu. Byłam tak bardzo podekscytowana, że tej nocy nie zasnęłam.

Prawie w każdą niedzielę spędzałam kilka godzin w Katowicach, tam było dużo kin, dużo ciekawych filmów. Któregoś dnia, wędrując z chłopakiem ulicą, ujrzałam duży, kolorowy afisz — „Czerwono-Czarni” szukają młodych talentów”. Można było zgłosić się w jednym z miast na Śląsku. Nie myślałam o tym, że sama mogłabym spróbować szczęścia. Ale za to chłopak uważał, że mam szansę. Namawiał mnie gorąco każdego dnia, ale ja byłam uparta. Pamiętałam doskonale, jak wyglądały moje dotychczasowe konkursy, nie chciałam więc znów ryzykować. A po drugie — jak mogłam śpiewać przy takich sławach jak Godlewski, czy Burano?

Tymczasem „Czerwono-Czarni” zawitali do Bytomia. Poszłam oczywiście na koncert z przyjemnością. Byłam zachwy-

cona Godlewskim — ale do konkursu się nie zgłosiłam. Po imprezie poszłam za kulisami i otrzymałam autograf od Michaj Burano.

Ponieważ impreza spodobała mi się bardzo, więc następnego dnia znów siedziałam i oglądałam program w Katowicach, oglądałam również eliminacje. Startowało wtedy sporo młodych ludzi. Po imprezie znalazłam się za kulisami i odnalazłam swą sympatię. Janusza Godlewskiego. Poprosiłam go o autograf, a w dowód ogromnej dla niego sympatii podarowałam mu swoje zdjęcie.

Ostatni koncert dawali „Czerwono-Czarni” w Zabrze. Nadal mój chłopak nie dawał za wygraną i molestował mnie, abym zgłosiła się na tym ostatnim koncercie. Tłumaczył, że tam nie muszę się wstydzę znajomych, tam nikt mnie przecież nie zna a znajomi się nie dowiedzą. Wreszcie dałam za wygraną i oto w marcu 1962 r. znalazłam się w Zabrzu. Nie byłam tym wszystkim zachwycona, a tu jeszcze na dodatek moja własna gitara zepsuła się i musiałam pożyczyć inną, od znajomego księdza.

W Filharmonii, gdzie właśnie miał odbyć się koncert, czekało już kilku chętnych, którzy tak jak ja przyszli spróbować szczęścia. Pamiętam, że ogromnie przeżywałam fakt przebywania za kulisami z gwiazdami polskiej piosenki. Zupełnie przypadkowo byłam świadkiem, jak Michaj Burano w garderobie pobierał pieniądze za koncerty. Wywarło to na mnie niesamowite wrażenie, taka ilość pieniędzy była dla mnie majatkami, przecież ja zarabiałam ogromnie, że on sam pobiera tyle pieniędzy i usiłował sobie wyobrazić, co Burano robi teraz z taką sumą?

Tak przebiegał mój pierwszy dzień w Zabrzu. Pojechałam do Bytomia. Poszłam oczywiście na koncert z przyjemnością. Byłam zachwy-

LIST Z WARSZAWY

LUDMIŁA GUTKOWSKA

TARGI, BALLADYNA KANADA



Fot. Z. Nasierowska

po targach. Wieczór warszawski najprzyjemniej jest spędzić w teatrze. A jeśli udało się dostać do Teatru Małego, filii Teatru Narodowego na sztukę Turgienie- wa w przekładzie Pawła Hertz- a i w reżyserii Adama Hanuszkiew- wicza „Miesiąc na wsi” — można się uznać tego wieczoru w stolicy za szczęśliwca. Spektakl to bardzo piękny. Scenografia Xym- eny Zaniewskiej była wiernym obrazem natury prawdziwego ogrodu, krzewy i kwiaty, świeżość piasz- ków, nawet dwa wiatry... Gwiazdą pierwszej wielkości w tej sztuce, i nie tylko przecież w tej, jest Zofia Kucówna. Jakże cudownie podaje ona słowa! W nudnym beznamiętnym świecie, bez uczuć, miłość Natalii do młodego nau- czyciela, jawi się subtelnością mimoz i blaskiem diamentu. A obiektem godziem zachodu. Młody Bielajew to Krzysztof Kolberger, nowe odkrycie Hanuszkiewicza. I cała obsada wysokiej klasy: Andrzej Lapicki, Jan Machulski, Włodzimierz Bednarski, Zofia Tymowska, Janina Nowicka, Halina Rowicka i kapitalny w epi- zodzie sasiada Bolszincowa, sta- ralcego siatek o młodą Wierockę Kazimierz Wichniarz. U progu jesieni zobaczmy go w „Poto- pie” w roli Zagłoby. Polecam do- dzianom „Miesiąc na wsi”, które- go premiera odbyła się niedaw- no, i Teatr Mały, wcale nie taki znowu mały, lecz przytulny i o wygodnych fotelach.

Chwałę Hanuszkiewicza, ale cóż kiedy nikt tak jak on nie potrafi zadziwić widza przenicowaniem klasycznej ku zachwyty młodzieży „Balladyna”, która w pojęciu zło- wykawcy od pokoleń uczeniowie- tym razem wchodzi — raczej wjeżdża do głowy bez trudności. Zobaczyć „Balladynę” na scenie Teatru Narodowego dorodził po- winni także. Chciałoby po to, aby wcielił udział w namietnej dysku- sji na temat granicy eksperymentu scenicznego. Może to i ekspe- rymenty nie tak wielkie, bo w końcu czy to nie wszystko jedno, że u Hanuszkiewicza nadgoplan- skie elfy są zmotoryzowane i wiernie służą Gopłanie, ubranej w ostatni model kolekcji Courre- gesa. Szaleństwo jazdy na moto- cyklach nad widowiska, bitwa mechanicznych zabawek, świe- cących w ciemnościach sceny, nie zmieniły piękna poezji lecz wy- dobyły je w nowym i przystawal- nym do naszych czasów wymia- rze. Balladynę odtwarza Anna Chodakowska, wschodząca gwiaz- da Melpomeny (w innym spektak- lu pyszna Antygona) zaś jej mat-

kę wzruszająco prawdziwie- ciepo i po kobiecie — Bohda- na Majda, aktorka dobrze znana łódzkiej publiczności.

Film pod rządami dyr. Olszew- skiego przeżywa swoje dni. CWF organizuje a to dni filmu swaj- carskiego, a to duńskiego, a to znowu kanadyjskiego. Pomysł jest doskonały, zapoznaje bowiem z kinematografią krajów, o których filmach niewiele dotychczas wiedziliśmy. Szwajcaria zawsze nam kojarzyła się z zegarkami, a Kanada pachniała żywicą, oka- zuje się, że może być i na odwrót. W tym sensie, że ludzie i tu i tam kręcą swoje filmy, poszukują tak samo stałe nowych tematów i nowych środków wyrazu.

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że film fabularny w Kanadzie narodził się zaledwie przed 5 laty. Raczkuje jeszcze, więc nie wymagajmy od młodego na- zbyć wiele. Na premierze filmu „Mój wuj Antoni” w warszaw- skim kinie „Bajka” był reżyser obrazu Claude Jutra. Od niego dowiedzieliśmy się, że na 20 fil- mów, jakie powstają rocznie w Kanadzie, połowa jest w wersji francuskiej, połowa w angielskiej. Reżyser otrzymuje dotację w wysokości 50 proc. kosztów, gdy idzie o film ambitny, o resztę funduszy martwi się sam. Tematyka dotyczy problemów obywatelskich i społecznych, mi- gracji ze wsi do miasta. Filmy oglądane w Polsce pokazują Kan- adę małych miasteczek, w któ- rych życie towarzyskie skupia się głównie w „General shop”, a pani sklepikarzowa należy do miejscowej śmietanki towa- rzyskiej.

Nie zapominajmy jednak, że Kanada jest krajem kontrastów. Dowodem są filmy krótkometra- żowe. Znakomite zresztą. To już jest najwyższa szkoła dokumentu. Liczne nagrody, również i u nas w Krakowie, a twórczość Norma- na Mac Larena i jego oryginal- ne techniki zwielokrotniania obrazu tzw. multilinkation i pixilation, zastosowane w obrazie „Pas de deux”, który zaprezen- towano w Warszawie, budzą za- chwyty.

Przed warszawską „Zachętą” pierwszym salonom sztuki, tym razem ustawiono ogromne kolo- rowe bryły, anonując wystawę światłowych plakatów z udziałem 42 kraków. Nagrody zdobył Ros- janin, za plakat polityczny. Ja- pończyk i dwaj Niemcy z NRD. A Polacy? Podobno tworzą pla- katy piękne, lecz niezrozumiałe za granicą. W kraju też nie zawsze.

szła koleją na mój występ. W ostatniej chwili wybiegłam na scenę. Miałam śpiewać piosen- kę „Hulla-tutulla”, która znaj-



dowała się w moim żelaznym repertuarze. Mimo to czułam, że ołbrzymia trema paraliżuje mi nogi. Ale to na szczęście trwało krótką chwilę, tylko przez pierwsze takt, potem już za- pomniałam o tym, że akom- panują mi „Czerwono-Czarni”, że to eliminacje. Śpiewałam i tańczyłam, a trema gdzieś u- ciekała. Sama nie wiem, kiedy skończyłam. Byłam jak we śnie. Z odrętwienia obudziły mnie ogromne brawa.

Za kulisami musiałam podać swój adres i została wpisana do rejestru młodych talentów. Cieszyłam się ogromnie, a jed- nocześnie z radością wraca- ła do domu. Szczerze mówiąc traktowałam to jako przygodę, nie liczyłam na nic więcej.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy po kilku dniach otrzyma- ła pismo zawiadaniające

mnie, że Komisja Kwalifika- cyjna Ogólnopolskiego Turnieju p.n. „Czerwono-Czarni” szuka- ją młodych talentów” zakwali- fikowała mnie do II etapu tur- nieju.

Eliminacje te miały odbyć się w Hali KS „Wisła” w Krako- wie. Miałam więc pojechać do Krakowa. Ale to okazało się nie- takie proste. W pracy i tak pa- trono na mnie krzywo, po- nieważ coraz częściej zwalnia- ła się na imprezy. Poza tym była ostra zima, nie miałam na pociąg. Wszystko było przeciw, postanowili więc kategorycz- nie, że nie pojadę. A zresztą po- co miałam jechać? Na sukces przecież nie miałam co liczyć, z tylu województw z pewno- ścią zebrali całą masę doskona- le śpiewających młodych ludzi. Nie było sensu.

Ale i tym razem nie wytrwa- ła w swoim postanowieniu. Mój chłopak znów tak długo suszył mi głowę, tak bardzo na- mawiał, przekonywał, aż wresz- cie zgodziłam się z nim poje- chać. Sam zorganizował zreszt- ą cały wyjazd. Dziś mogę szczerze powiedzieć, że to wła- śnie jemu zawdzięczam, co zdo- łałam. On mnie namówił do pierwszego startu, był mój pierwszy duchem. Tak więc wło- żyłam najładniejszą spód- nicę w krakowskie, błękitną bluzkę, cieniutkie pończoszki, najlepsze buty, włosy uczesa- ła w modny koński ogon, i wyruszyłam w drogę. W pracy pokazałam pismo, które otrzymałam, krzyknęli się, gło- wami kiwali, aż wreszcie po- długich „przemówieniach” uzy- skałam dwa dni urlopu.

c.d.n.

Opr. A. KRYSZKIEWICZ